

JESTEŚMY W TYM WSZYSCY RAZEM

Nie płaczcie!

Gdy jesteś dzieckiem, dorośli stale opowiadają ci o swym objawieniu, chwili, gdy mgła się rozplynęła i ujrzeli, czego naprawdę pragną, albo w końcu zrozumieli coś, co wcześniej zdawało się nie mieć sensu.

Na przykład dziadek opowiadał mi, że postanowił zostać działaczem związkowym, gdy pewnego ranka ujrzal wracającego do pensjonatu robotnika. Człowiek ów zszedł właśnie z nocnej zmiany w papierni. Przed drzwiami zdjął buty i wręczył je żonie, która następnie włożyła je i ruszyła do swojej pracy. Dziadek rozumiał, że kiedy mąż oddawał żonie buty, przekazywał jej swą godność, a życie bez godności nie różni się od życia bez miłości - bo jak pozbawiony godności człowiek może kogoś kochać, skoro musi nienawidzić sam siebie?

Doktor Vic twierdził, że zakochał się w mojej matce, gdy pewnego słonecznego popołudnia wyjrzał przez okno gabinetu i ujrzal, jak Emma podchodzi do starego księdza katolickiego, który całymi godzinami modlił się na chodniku przed siedzibą Towarzystwa Planowania Rodziny. Stary kapłan chwiał się lekko; Emma pomogła mu wstać z kolan i podprowadziła do ławeczki. Następnie wróciła do środka i zjawiała się jakąś minutę później z butelką zimnej wody dla świątobliwego starca. Doktor Vic przyglądał się temu wszystkiemu, zastanawiając się, ile razy stary świr ostrzegał moją matkę, że zmierza drogą prowadzącą wprost do piekła. A jednak zachowała się szlachetnie, ratując go przed porażeniem słonecznym albo czymś jeszcze gorszym. Do tego czasu tylko myślałem, że jest piękna - dodał doktor Vic. Ale owo wydarzenie tego dowiodło.

Na wiecu poparcia dla strajkujących dokerów w Portland moja babcia usłyszała dziadka powtarzającego historię o swych sąsiadach, którzy musieli dzielić się jedną parą butów. A choć jego słowa nią wstrząsnęły, na dobre oddała się sprawie dopiero po mityngu - gdy zszedł z platformy i uścisnął jej dłoń. Babcia widywała już występy innych działaczy związkowych. Widzia-

9

la, jak dramatycznie zrywają kurtki i przechadzają się po scenie w szelkach, rzucając gromy na swych szefów. Kiedyś nawet poznała jednego z tych roślących tupaczy; miała wówczas wrażenie, jakby zamiast dłoni uścisnęła kawał surowej wątróbki. Kiedy jednak przedstawiono ją mojemu dziadkowi, pojęła natychmiast, że ten człowiek jest inny. Mimo garnituru nie był chłopakiem 2 college u ani politykiem — był uczciwym sztauerem, takim samym jak jej brat i wuj. Świadczyły o tym drobinki brudu, które wżarły się w zmarszczki pod oczami; jej matka nazywała to robotniczym piętmem. A potem dziadek wyciągnął rękę, powiedział „milo mi” i babcia ją uścisnęła. Miał czyste, suche dłonie. Wzruszyła ją myśl o tym, jak ciężko pracował, by się wymyć. W końcu, pomyślała, spotkałam młodego człowieka, który w coś wierzy.

Historie te wpoily mi przekonanie, że aż do pewnej chwili-przebudzenia, znaku - każdy z nas czeka za progiem życia, które mu przeznaczono, niczym obcy człowiek niemający nic do roboty i siedzący na schodach w oczekiwaniu na przybycie pośredniczki handlu nieruchomości. A potem kobieta zjawia się, maszerując szybko chodnikiem, w brzęku kluczy i atmosferze niezliczonych możliwości. Otwiera szeroko drzwi i wprowadza nas do środka - w tym momencie już wiemy, że to właściwe miejsce. Miejsce dla nas.

Tyle że kiedy zastanawiam się nad tym teraz, dochodzę do wniosku, iż dla większości ludzi sprawa jest dużo bardziej złożona. Może w owej chwiii zrozumienia mgła się nie rozplywa, lecz gęstnieje, nabiera barwy, smaku, zapachu. Może dom wystawiono na sprzedaż, bo jest nawiedzony; może każdy dom jest nawiedzony.

Gdy dziadek ujrzal, jak robotnik oddaje żonie swoje buty, zobaczył, że coś jest nie tak. Ale może zbyt szybko wyciągnął wnioski i nie docenił głębi godności owego człowieka? Kiedy moja matka wyniosła starymu księdzu butelkę wody, może doktor Vic zanadto skupił się na serdeczności Emmy, zapominając o wynikającym z wieloletnich doświadczeń pesymizmie samotnej matki i oddanej aktywistki, która bez wątpienia znacznie bardziej przejmowała się możliwymi artykułami opisującymi śmierć kapłana na chodniku przed kliniką niż losem samego człowieka. I czy kiedyś nie nadeszła chwila - wiele lat po tym, jak w dokach babcia ujęła czystą dłoń brudnego

mówcy — gdy zaczęła się zastanawiać, na co zdały się wysiłki dziadka, skoro żyli teraz w czasach i miejscu, w którym najobrzydliwszym wyzwiskiem, jakim można obdarzyć człowieka, stało się określenie liberal i stwierdzenie, że ma zbyt wrażliwe serce.

Bez wątpienia babcie dręczyło coś w chwili, gdy umierała. Od stycznia nie opuszczała już sypialni dla gości, a pewnego poranka na początku marca znalazłem ją martwą i zimną. Na twarzy miała cierpki, zamyślony wyraz, grymas prawdziwego niezadowolenia, jakby oczekiwała niespodzianki, ale nie takiej, jaką otrzymała. Otwartymi oczami wpatrywała się w oprawiony w ramki portret Josepha Hillstroma wiszący na ścianie.

Co dostrzegła w oczach największego męczennika ruchu robotniczego w tych ostatnich sekundach? Czy ujrzała chłód prawdziwego działacza, czy też beznamienne spojrzenie zabójcy?

10

Cztery miesiące później, w samym środku lata, gdy trawa na grobie babci zdążyła już wyrosnąć i zbrązowieć, ja także zobaczyłem coś, co mnie zaskoczyło. W owym czasie uznałem, że to nie może być prawda, że mam do czynienia z halucynacją. Dziś jednak wiem, że nie zawsze można ufać własnym oczom. Czasami góra to naprawdę dół, czasami ziemia to woda, a niebo to skata.

* * *

Rankiem przed wyjściem z domu jem talerz owsianki i piszę krótki liścik do mojej matki: Miłego dnia z własnym sumieniem. Nie ma w tym niczego niezwykłego - prowadzimy z matką regularną korespondencję. Bez pukania wchodzę do łazienki, gdy bierze prysznic, i przyciskam żółty notatnik do matowego szkła kabiny, by mogła odczytać moje słowa. Uznaję jej milczenie, szum wody znikającej w odpływie i pisk mokrych stóp za drobne zwycięstwo.

Gdy wyprowadzam rower z garażu, doktor Vic wystawia głowę przez okno swojego bmw i pyta, czy podrzucić mnie gdzieś w drodze do pracy.

- Przykro mi, ale nie wsiadam do samochodu z obcymi ludźmi - odpowiadam i macham ręką, życząc narzeczonemu mojej matki szerokiej drogi.

Na me wyzwanie doktor Vic odpowiada wybitnie wkurzającą błogą miną. Pozdrowia mnie skinieniem głowy i po pros tu odjeżdża, a przecież każdy normalny człowiek dodałby ostro gazu, pozostawiając za sobą ślady spalonej gumy.

Ale nadal czuję się dobrze, pedałując drogą numer 12 w stronę wysokiego białego domu przy Dundee Avenue, w którym dorastała moja matka i umarła babcia. Wietrzyk niosący letnie zapachy trawy i smoły sprawia, że wydaję się sobie bardzo szybki, a na pustym odcinku drogi mogę udawać, że znajduję się między dwoma dowolnymi miejscami na świecie. Wyjazd zawsze dodaje mi skrzydeł, a od najgorszej części dnia -powrotu - dzieli mnie wiele godzin. Droga numer 12 wznosi się i opada; pochylając się, pokonuję zakręt i po raz pierwszy widzę miasto. Beachcomber, popularny motel udający ranczo, tkwi przycupnięty naprzeciwko zjazdu z autostrady, zapraszając nocnych kierowców, zbyt zmęczonych, by dotrzeć na południe do Bostonu bądź na północ do Bangor i Kanady.

I wtedy to widzę - widzę ich. Zerkam na motel i dostrzegam trzech mężczyzn stojących na chodniku przed pokojem, wsadzających torby do bagażnika taksówki. Nie ma w nich nic niezwykłego: są biali, wydają się mieścić w przedziale przeciętnego wzrostu i budowy, mają na sobie garnitury i krawaty. Innymi słowy to trzech mężczyzn, trzech normalni mężczyźni wsiadający do taksówki. Taksówka należy do miejscowej floty: rozklekotane kombi z plastikowymi panelami udającymi drewno.

Gdy zajmują miejsca, widzę, jak taksówka osiada lekko pod ciężarem pasażerów. A potem pokonuję zakręt i wjeżdżam do miasta. Dopiero za kolejną przecnicą dociera do mnie wyraźnie, co tak bardzo uderzyło mnie w owych trzech nieznanym: fakt, iż wcale nie byli nieznanymi. To byli dawni narzeczem mojej matki, Paul, Dale i Jupps, wszyscy razem. Po kolej-

11

nejprzecnicy umiem już wymienić długą listę powodów, dla których to niemożliwe, począwszy od najmniej istotnego: żaden z chłopaków mojej matki nie znalazł pozostałych. Poza tym Paul mieszka daleko na północy, a teraz jest sezon turystyczny, najpracowitszy okres w roku. Jupps już dawno wyjechał ze Stanów Zjednoczonych. No i, o ile dobrze pamiętam, tylko raz zdarzyło mi się oglądać któregoś z nich w garniturze - to był Dale na pogrzebie babci; miał wówczas muszkę.

Nie, oczywiście, nie. Oczywiście nie ich widziałem.

To, co zobaczyłem, nie kwalifikuje się nawet do nazwania halucynacją, bo jest zbyt nudne. To raczej żalodne marzenie małego chłopca, coś jak wyimaginowany przyjaciel albo Prawdziwy Ojciec - nie świrmięty pijak, którego

były chłopak matki musiał przegnać kiedyś łopatą do odgarniania śniegu, nie palant i przestępca, który nigdy w całym swym życiu nie dał ci niczego prócz dodatkowego palca u nogi i pięciodolarowego banknotu na dziesiątą urodziny - nie on, nie oszust, lecz twój Prawdziwy Ojciec, super-bohater. Twój Prawdziwy Ojciec bardzo przeprosza, że musiał narazić cię na to wszystko, ale nie mógł ryzykować. Bo gdyby wrogowie odkryli jego sekretną tożsamość, rodzinie zagrażałoby straszliwe niebezpieczeństwo. Teraz jednak wszystko będzie inaczej, bo potrzebuje twojej pomocy - i niewidzialny szpiegowski samolot czeka już na trawiastym polu pod miastem, a wy ruszacie w drogę. Zależą od tego losy świata!

W czasie potrzebnym do logicznego przeanalizowania sprawy i odkurzenia starych (choć nie aż tak starych) fantazji o Prawdziwym Ojcu pokonuję dwie kolejne przecznice. Zaczynam płakać. Gwałtownie naciskam hamulec i zawracam w stronę motelu, stojąc na pedałach i jak najszybciej podjeżdżając pod górę. Lecz żwirowy parking jest pusty. Mężczyźni i taksówka zniknęli gdzieś na drodze.

* * *

Gdy docieram do domu dziadka i widzę niewielkie zgromadzenie na trawniku, wciąż jeszcze pociągam nosem. Mój dziadek i sąsiedzi, Gil Desjardins i jego żona, pani Desjardins, stoją przed billboardem cztery i pół na cztery i pół metra, który dziadek ustawił niedawno na trawniku i który przedstawia prosto i otwarcie jego wyraziste poglądy polityczne dotyczące niedawnych wyborów pomiędzy Alem Gore'em i George'em W. Bushem.

Wjeżdżam na trawę i zatrzymuję się obok. Między ich ramionami dostrzegam linię różowej farby i natychmiast, jeszcze przed odczytaniem najnowszych oskarżeń, pojmuję, co się stało: po raz trzeci w tym miesiącu zaatakował wandal, faszystowski gazeciarski Steven Sugar.

- W jakiś sposób fakt, że farba jest różowa, jeszcze wszystko pogarsza, prawda? - mówi Gil.

Pani Desjardins odrywa paznokciem płatek różu i cmoka współczująco.

Dziadek splata na piersi ręce, w milczeniu przyglądając się różowej wiadomości.

12

Pani Desjardins ścisza mocno mój biceps. Ma na sobie kimono i cienką czarną wstążkę obwiązaną wokół starej, pomarszczonej szyi. Powszechnie wiadomo, że żona Gila jest nieco dziwna.

- Kto by pomyślał, że burżuazyjna gazeta może wzbudzić takie namięt ności. - Patrzy na mnie wyczekująco.

Wzruszam ramionami.

• Och, na miłość, Lano! - protestuje Gil.

• Ależ to prawda. „New York Times” jest burżuazyjny.

• Możliwe, ale jeśli mówisz „burżuazyjny”, wyrażasz się jak dupiek.

W istocie słyszałem, że „burżuazyjny” to hasło porozumiewawcze, dzięki któremu dupki rozpoznają się w obcym otoczeniu. Jeśli kiedyś ułożysz to słowo w scrabble, od razu widać, że jesteś dupkiem.

• Nie zachowuj się jak tępak, Gilbercie - mówi pani Desjardins z zado woloną miną.

Stojący pośrodku grupy dziadek ani drgnie. Teraz widzę, że tym razem wandal wypisał na billboardzie niezrozumiały - a jednocześnie wyjątkowo obraźliwy - epitet KOMUNISTYCZNY GÓWNOJAD. Dziadek wyciąga rękę i przesuwa kostką wzdłuż litery K. Zaciska wargi z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- To dość, by dać do myślenia... - zaczyna i urywa.

Powoli przesuwa rękę wokół litery O.

- Tylko się nie zabijaj, Henry. Wróć do domu, sprawdzę w słowniku i spróbuję się odlać.

Gil zaczyna przesuwać swój balkonik w stronę własnego domu. Gdy dociera do podjazdu, ma kłopot z przesunięciem nóg nad krawężnikiem. Podbiegam, by mu pomóc. Zarzuca mi rękę na ramiona, a ja wciągam balkonik na drogę.

- Dzięki, George - mówi, z trudem chwytnąc oddech, a potem dodaje, bardziej do siebie niż do mnie: - Za stary jest, by się tak nakręcać, zwłaszcza z takiego powodu. Jak gdyby istniała między nimi jakakolwiek różnica. Jeden to cholerny głupiec z Tennessee, który chce nam mówić, jak mamy

żyć, a drugi to głupiec z Teksasu, który chce nam mówić, jak mamy żyć. Tak czy inaczej wygrał głupiec, bez różnicy. - Powoli kuśtyka naprzód. Żo na idzie obok i masuje mu plecy. Wkrótce znikają za żywopłotem.

Wracam do dziadka. Stojąc tak z dłonią przyciśniętą lekko do tablicy, wygląda niemal jak pogrążony w modlitwie i przywodzi mi na myśl oglądane niedawno w kolorowym piśmie zdjęcie penitenta pod Ścianą Placzu w Izraelu.

- Dziadziu - mówię; nagle bardzo pragnę, by ktoś zapewnił mnie, że nie zwariowałem. Jeśli istnieje osoba, która zdołałaby wyjaśnić to, co widziałem - to, co zdawało mi się, że widzę - jest nią dziadek. - W drodze tutaj je chałem na rowerze i zobaczyłem taksówkę...

Dziadek obraca się i mrugając, patrzy na mnie.

Nagle pojmuję, że aż do tej chwili nie wiedział nawet o mojej obecności, nie zorientował się, że Desjardinsowie odeszli czy może nawet że w ogóle tu byli. I dlatego widząc mnie z poczerwieniałymi, spuchniętymi oczami

13

i zarumienionymi policzkami, tłumaczy to sobie w jedynej narzucający się sposób.

Podchodzi i obejmuje mnie mocno.

- Nie martw się, George. Ta farba zejdzie.

Otwieram usta. Zamykam.

Przez następną godzinę zmywamy z tablicy różową farbę, a potem razem z dziadkiem jedziemy do sklepu sportowego i zaczynamy szukać odpowiedniej broni.

1

. W poszukiwaniu zbroi zajrzałem do szafy ze szpargałami stojącej w garażu dziadka. Gdy otworzyłem drzwi, na podłogę wysypała się kaskada dwudziestoletnich dekoracji halloweenowych i rozmontowanych wędek, a także innych fascynujących rzeczy: zjedzonych przez mole kamizelek ratunkowych, plików stareńkich ulotek AFL-CIO zwiniętych i zbrą-zowiałych niczym łupiny cebuli, kilka wyliniałych przynęt, pęknięta łyżka do opon i maska Richarda Nucona. Usiadłem na skrzynce na mleko i założyłem maskę na rękę, udając, że do mnie mówi. Nie śpieszyło mi się.

- Może zaraz zapomni - powiedział cwany Dick.
- McGlaughlinowie mają długą pamięć - odparłem.
- Ale ty jesteś Claiborne - przypomniał Dick. - Poznaję po diabelskim palcu u nogi.

Te słowa zaskoczyły mnie i uciszyły. Siedziałem w półmroku garażu, próbując wymyślić, jaką głupią piosenkę mógłby zaśpiewać Nixon. Może dziadek naprawdę zapomni, może odzyska rozsądek. Chwilę później usłyszałem przez ścianę wzywający mnie starczy głos.

Westchnąłem, zrzuciłem maskę i wyciągnąłem z dna szafy sprzęt do softballu: za duży ochraniacz korpusu i popękane, śmierdzące pleśnią nagolenniki. Nie znalazłem natomiast maski i ochraniacza krocza.

Okrążyłem dom i zameldowałem się u dziadka na tarasie.

- Nic nie poradzimy - odparł. - Będę musiał celować nisko.

Dziadek był naćpany. Jadł orzeszki; brał po jednym, otrzepywał z soli, obracał między palcami i w końcu wsuwał do ust. Na poręczach leżaka ułożył karabin automatyczny.

Gil, który był nie tylko jego najbliższym sąsiadem, ale i najlepszym przyjacielem, odchrząknął z dezaprobatą. Próbował zapalić resztkę czarnego skręta osadzoną w wygiętym spinaczu. Raz po raz pstrykał zapalniczką i młascząc, głośno wciągał powietrze.

Dziadek machnął niecierpliwie ręką, pokazując, by oddał mu skręta. Gil odpowiedział kolejnym niechętnym pomrukiem, ale posłuchał.

W powietrzu, rozgrzanym i suchym, unosiły się pyłki i krzyki dzieci dobiegające z pobliskiego basenu. Nieopodal czekały pudełka z amunicją, każde na pięćset pocisków, ustawione niczym skrzynki z piwem w supermarketach. Poczuję się niepewnie, więc wsunąłem rękę do kieszeni szortów i pomacałem się w kroku.

14

Dziadek kciukiem zapaliił płomyk i zaciągnął się głęboko. Joint ożył z sykiem, a staruszek głośno wypuścił powietrze, uniósł siwe brwi. Kącik przekrwionego oka mu drgnął.

- O co chodzi?

Przestąpiłem z nogi na nogę, próbując wymyślić odpowiedź, która nie zabrzmiałaby tchórzliwie. Ochraniać wisił mi ciężko na piersi. Wyobraziłem sobie siebie pod ostrzałem, ujrzałem, jak uganiam się dokoła, coraz szybciej i szybciej, aż w końcu moje uniki nabrały niemożliwej prędkości przyspieszonego filmu; wyglądałem jak głupiec w niemym filmie, podskakujący na rozrzuconych wokół kapiszonach. W sekundę później obraz zniknął, zastąpiony nowym: zobaczyłem, jak pocisk trafia mnie w jądra i padam na ziemię bezwładnie, martwy, z urwanymi jajami.

Postanowiłem zrezygnować z udawanej odwagi.

- Może postrzelasz do Gila, dziadku?
- Z balkonikiem? Jest za wolny.
- Dzięki, mały.
- Powiedziałem, że będę celował nisko. - Oko nadal mu latało.
- Wysoko czy nisko, Henry, według mnie chłopak ma powody do obaw. Będzie miał odsłoniętą twarz i jaja. Twoja przezorność ma solidne podstawy, George. - Najlepszy przyjaciel dziadka odczekał chwilę, po czym dodał, jakby po namyśle: - Jeśli błędem jest zachować przezorność co do własnych jaj, to ja przynajmniej wolę, by nikt nie wyprowadzał mnie z błędu. - Aby podkreślić tę deklarację, mrugnął do mnie, jedno cześnie wsunął dłoń pod pachę i pierdnął przeciągle.

Wiele lat temu Gil był ważną osobistością, profesorem psychologii i dziekanem uniwersytetu. Teraz pozostał tylko staruszek umierający w nietypowo radosnym nastroju.

W swoim czasie mój dziadek, Henry McGlaughlin, także był ważną figurą. Przez trzydzieści lat przewodniczył związkowi Local 219. Mógł jednym słowem przerwać pracę stalowni Amberson i pozostawić miesiącami w doku szkielet lotniskowca niczym letni jacht bogacza. Oczywiście to także działo się wiele lat temu. Obecnie on też był stary - lecz umierał wolniej niż jego przyjaciel i zdecydowanie mniej radośnie.

Ja natomiast miałem piętnaście lat i bardzo chciałem zadowolić dziadka. Byłem jednak niezgrabnym, nieszczęśliwym chłopcem, który nikomu nie wierzył. Przez ostatnich kilka miesięcy mój świat wywrócił się do góry nogami; był teraz zupełnie jak garnitur włożony tył do przodu. Doktor Vic niepytany oświadczył, że to tylko faza - etap dojrzewania, tak to nazwał - i gdy dobiegnie końca, stanę się mężczyzną. Spytałem doktora Vica, kiedy on sam spodziewa się zakończyć swój etap dojrzewania. Potrzebował minuty, ale potem klepnął się w kolano i odparł, że to świetny dowcip.

Dziadek oddał Gilowi spinacz.

- Proszę, Gilbercie, wsadź go sobie w gębę.

Kiedy odwrócił się do mnie, do jego oczu napłynęły nagle łzy.

- Jesteśmy w tym razem, George - oznajmił. - W tym rzecz.

15

W ten sposób mówił, że stanowimy dwuosobowy związek, a w związku zawsze należy stać ramię przy ramieniu i nigdy nie pękać w obliczu szefów, śmierzdźli i bandziorów, prezentując jednolity front. Jesteśmy w tym wszyscy razem - to podstawowa obietnica, którą działacz składał robotnikom ryzykującym podczas strajku byt własnych rodzin. Jeśli czyjaś rodzina głodowała, dawałeś mu połowę tego, co miałeś. Jeśli drugiemu zabrakło na czynsz, wyciągałeś zaskórniaki. Jeśli potrzebował pomocnej dłoni, wyciągałeś ją pierwszy.

Teraz dziadek potrzebował mojej pomocy w starciu ze śmierzdzielem, młodym faszystą i wandalą Stevenem Sugarem. A ja potrzebowałem bezpiecznej kryjówki, przystani.

- Razem - powtórzył i zacisnął ręce, pokazując, co *znaczy* to słowo.

Wiedziałem, że to wyćwiczony gest dawnego wiecowego repertuaru, ale nie mogłem wątpić.

Jeśli ktoś z was potrzebuje pomocnej dłoni, wyciągasz ją pierwszy.

* * *

Wróciłem zatem do garażu, wypchałem spodnie parą sportowych skarpetek, naciągnąłem na twarz maskę Richarda Nixona i wsadziłem sobie na głowę kapuzę. Potem przez godzinę uganiałem się tam i z powrotem w słońcu, a dziadek próbował mnie podziurawić.

* * *

Ze swej pozycji na odległym o jakieś trzydzieści metrów tarasie dziadek mnie ostrzeliwał, a ja wyskakiwałem z kępy drzew na skraju podwórka. Kulki z farbą świsnęły mi nad głową, szarpiąc gałązki i rozbryzgując się na pniach drzew z ostrymi, wilgotnymi mlaśnięciami. Dziadek wrzeszczał, bym przestał ganiać tak szybko i odgrywał swą rolę jak należy, ale udawałem, że go nie słyszę. Pędziłem ile sił, spłoszony strzałami przypominającymi otwieranie szampana, chrzęstem cedrowych trocin pod stopami, wonią ozonu w powietrzu, mokrymi od farby gałęziami chlaszczącymi mnie po plecach. Biegałem tak, aż w końcu przed oczami wyglądającymi przez dziury w masce Richarda Nixona zatańczyły mi czarne plamy. Cały ociekałem potem.

I wtedy usłyszałem, jak dziadek zaklął.

- Wystarczy! - zawołał. - Wystarczy, do diabła!

Zostałem wśród drzew, póki nie skończył odkręcać karabinu od trójnogu i nie cisnął go z hukiem na ziemię. Według sprzedawcy w sklepie sportowym ten model, IL-47, to ekstraklasa karabinów do paintballa; litery IL stanowiły skrót od słowa Illustrator.

Wyłoniłem się spośród drzew, unosząc wysoko ręce.

- Nie mam broni.
- Nie pozwalaj sobie.

Gil spał na leżaku; na spodniach pidżamy między szesoko rozrzuconymi nogami widniała mokra plama. W słońcu jego łysa głowa miała

16

barwę odłuszczonego mleka, tak białego, że niemal błękitnego. Dziadek wyjaśnił mi, że rak przeżarł go już całego, tak samo jak babcię pod koniec. W wyobraźni ujrzałem dziesiątki czarnych pędów choroby oplatających kości Gila, zaciskających się i dławiących coraz mocniej i mocniej, aż w końcu coś pęknie i nadejdzie koniec.

Kiedy zrzuciłem już z siebie ochraniacze i odwiesiłem na płot spoconą twarz Richarda Nixona, podszedłem do Gila i potrząsałem nim, sprawdzając, czy jeszcze żyje.

Zamrugał kilka razy, bez specjalnego zainteresowania zauważył wilgoć w kroczu, po czym rozejrzał się po podwórku.

- Wygląda, jakby ktoś został tu zamordowany, i to bardzo brutalnie.

Podwórko faktycznie wyglądało upiornie. Zupełnie jakby dźgnięto tu kogoś nożem w szyję, a potem dramatycznie, całymi godzinami, włóczono wokół, rozbryzgując strumienie jaskrawoczerwonej krwi tętniczej. Farba była wszędzie: na kępie modrzewi, pniach, gałęziach i szpilkach, na grządce dzikiego rabarbaru i ogrodzeniu, na trawie i żwirze, na domku dla ptaków w kształcie igloo, zupełnie jakby w środku eksplodował maleńki Eskimos, a nawet na basenie, gdzie zbłąkana kulka pozostawiła niewielką różową plamę.

Gil z jękiem wstał, wsparł się na balkoniku i ze szcęką podszedł bliżej. Zatrzymał się i mrużąc oczy, spojrzął na brudną powierzchnię wody. Różowa plama przesuwała się powoli, zbierając pyłki.

- Postrzeliłeś basen, Henry - rzekł.

- To moja wina. Nie powinienem był tak się miotać.

Gil zachował kamienny spokój.

- Nie obwiniaj się; może basen sobie na to zasłużył.

Dziadek przykucnął z jękiem i zaczął zbierać rozrzucone wokół opakowania po amunicji.

— Nie zwracaj na niego uwagi, George, nie przejmuj się. To tylko złośliwy staruszek, wszędzie znajdziesz kogoś takiego. Kogoś, kto lubi siedzieć z boku, krytykować, marudzić, głądzić i narzekać. Kiedy byłem działaczem, nazywaliśmy ich firmowymi ciotkami. Bo gdy coś się działo, siedzieli w domu, narzekając i chowając się pod fartuchem, ale gdy w końcu zasiedliśmy z szefami do stołu i zmusiliśmy ich do podpisania kontraktu i oddania nam naszej działki, firmowe ciotki marudziły, że powinniśmy byli wytargować lepsze warunki.

Podniósł się z ziemi i przytrzymał trójnoga, głośno chwytając powietrze.

Po dziadku odziedziczyłem mój nowy wzrost i długie kończyny. Choć jednak wciąż górował nade mną kilka centymetrów, jego kręgosłup zgiął się wyraźnie; dziadek garbił się stale jak człowiek kopnięty w kostkę. Przyjrzał mi się przekrwionymi, brązowymi oczami, mrugając w słońcu jak zalotna dziewczyna. Matka uważała, że strata babci złamała mu serce i odebrała siły.

Matka nie miała pojęcia o gnieździe snajperskim wyszykowanym w pokoju gościnnym.

- Oczywiście z czasem uświadomiłem sobie, że ten akurat przydomek stanowi poważną obrazę dla starszych kobiet, z których większość potrafi przynajmniej od czasu do czasu przygotować pyszny deser, a kiedyś stanowiły ważną część społeczeństwa. Ale cóż zrobić. W każdym razie, choć ten akurat okaz wkrótce umrze, gdy dorośniesz, z pewnością spotkasz wielu mu podobnych.

- To prawda, faktycznie. - Gil uniósł do światła przypalony spinacz i zreżnie wydlubał z niego resztki popiołu. - Ale mogę ci zagwarantować jedno: samemu Alowi Gore'owi by się to nie spodobało.

- Chcesz postrzelać do mnie jeszcze jutro? - wtrąciłem z nadzieją.

Dziadek poklepał mnie po ramieniu.

- Nie martw się, George, naprawdę się starałeś. Zrobiłeś, co do ciebie należy. Musiałem po prostu wyczuć broń. Nadał rób, co do ciebie należy, pomóż staruszkowi utrzymać się na nogach, a wszystko będzie dobrze.

Powiodł wzrokiem po zaplamionym farbą trawniku i jego twarz rozjaśnił tęskny uśmiech, jakby spoglądał gdzieś w dal na piękną krainę ukrytą przed naszym wzrokiem.

- W odpowiedniej chwili pokażę temu sukinsynowi.

Rozmontowaliśmy trójnog, spakowaliśmy karabin i amunicję, żeby zanieść je na górę.

Dziadek polecił przyjacielowi zrobić coś użytecznego - niech przejdzie na front i stanie przy tablicy, byśmy mogli sprawdzić perspektywę.

- I skręć jeszcze jednego - dodał, udając, że zapala papierosa.

A potem, gdy przekroczyliśmy próg, dziadek zatrzymał się i odwrócił. Rozsunął gwałtownie drzwi i wyrzwał na zewnątrz.

- I nie mieszaj do tego Ala Gore'a! Do diabła, dość już wycierpiał.

u W pokoju gościnnym ustawiłem karabin przy niewielkim okienku wychodzącym na frontowy trawnik. Namierzyłem lunetką Gila. Przygarbiony nad balkonikiem, z błogą miną turlał skręta na masce buicka mojego dziadka. Dwa metry dalej na trawie mierząca cztery i pół na cztery i pół metra tablica stała pod kątem do ulicy, witając kierowców jadących na północ Dundee Avenue, w stronę centrum handlowego w południowym Portland i wjazdu na autostradę 195. Z tyłu stanowiła jedynie ścianę jasnobłękitnego plastiku. Lecz wcześniej, szorując farbę, nauczyłem się na pamięć tekstu z drugiej strony, zapisanego wielkimi, śmiałymi literami, surowymi i bezlitosnymi:

Albert Gore Jr. w wyborach 2000 wygrał 537 179 głosami, lecz stracił prezydenturę jednym głosem. Hańba! Przywódcą wolnego śwajaja został człowiek, który zdezerterował z oddziału Gwardii Narodowej, sprzedawca

oszukiwanych ubezpieczeń, niebezpieczny alkoholik, z radością podpisujący nakazy egzekucji osób chorych umysłowo. Oburzające! Nasz naród padł ofiarą przewrotu zorganizowanego przez prawicowe kadry, niszczące środowisko w imię zysku, gromadzące bogactwa w imię sprawiedliwości, zastraszące krytyków w imię patriotyzmu i powołujące się na słowo boże. Farsa!

Na dole widniał szkicowy portret Gore'a z podpisem:

PRAWDZIWY PREZYDENT STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Zaciągnąłem zasłonę i zakryłem nią karabin. Wylot lufy wciąż wystawał z kącika otwartego okna, lecz w cieniu gontów z zewnątrz był zupełnie niewidoczny, nawet gdyby ktoś specjalnie go szukał wzrokiem.

Wysiłek towarzyszący wniesieniu sprzętu na górę zmęczył dziadka. Staruszek usiadł ciężko na prostym krześle w kącie, patrząc w milczeniu, jak montuję broń. Na stoliku stał słoik z orzeszkami. Dziadek odkręcił go,

zaczął grzebać w środku jednym palcem, po czym odezwał się, nie unosząc wzroku.

- Myślę, że to rozstrzyga sprawę. O tak, zdecydowanie rozstrzyga.

Twój dziadek stał się oficjalnie prawdziwym świrem.

- To czym ja jestem? - spytałem.

- Moim adiutantem - odparł. - Jak idzie Gilbertowi?

Pochyliłem się i zerknąłem przez lunetkę ilustratora. Gil wciąż grze

bał w pogietej puszcze po miętówkach, w której trzymał trawkę.

- Pracuje nad tym.

Dziadek westchnął; w błękitnym półmroku jego twarz wydawała się chuda i zmęczona. Zmiażdżył zębami orzeszek.

W tym samym pokoju parę miesięcy wcześniej moja babcia umierała w łóżku.

Na ścianach w rzędzie wisiała seria w większości czarno-białych zdjęć jedenaście na trzynaście w prostych ramkach: Martin Luther King Jr, FDR, JFK, Walter Reuther, matka Jones, Cesar Chavez, Joseph Hill-strom i inni, wszyscy już nieżyjący, w większości męczennicy. Podczas jednej z wizyt moja matka opisała ów motyw dekoracyjny jako staro-świecko-postępowy. Emma zastanawiała się głośno, czy można by jakoś rozjaśnić ów pokój, na co dziadek odparł bardzo bystro, że jeśli o niego chodzi, pokój nie mógłby być jaśniejszy: ściany „pokrywają przecież gwiazdy”. Babcia, niezdolna mówić, pokazała, że zgadza się z tą deklaracją, unosząc maleńką, pomarszczoną pięść niczym czarni sprinterzy na igrzyskach w 1968 roku. Moja rodzicielka rozłożyła z rezygnacją ręce. Potem powiedziała, że jeśli kiedykolwiek zastanawiałem się, czemu zaszła w ciążę w wieku osiemnastu lat, to chyba wystarczy za odpowiedź.

Kilka tygodni później wbiegłem na górę z gazetą, by przeczytać mojej babci o najnowszej farsie: Bush wycofał poparcie naszego kraju dla protokołu z Kioto. Leżała sztywno, wpatrzona w zdjęcie Josepha Hill-

19

stroma z zastygłym na twarzy wyrazem odrazy, jakby w ostatniej chwili życia pociągnęła łyk zwarzonego mleka.

Teraz był lipiec, lato roku 2001. Mój dziadek żył samotnie, jedynie w towarzystwie swego niezadowolonego, narastającego z każdym dniem. Doskonale to rozumiałem. Sam także miałem problemy.

Widoczny na zdjęciu nad głową dziadka Woody Guthrie też najwyraźniej się orientował, w jaką stronę podąża nasz kraj. Woody siedział na futerale od gitary, w ubraniu białym od kurzu, poszarpanym słomkowym kapeluszu na głowie, ze szczęką pokrytą kępkami rzadkiego zarostu. Na jego twarzy widniał pełen rezygnacji uśmiech człowieka, który spodziewa się ciosu i marzy, by przeciwnik załatwił to jak najszybciej.

- No i co? Jak myślisz, odbiło mi? - Dziadek potarł dłonią wstrząsa ne tikiem oko i zamrugał gwałtownie.

Obejrzałem uważnie swoje paznokcie.

- Nie - powiedziałem.

Zerknął na mnie z ukosa; oko wciąż się poruszało.

- Może - dodałem.

• Ja też nie wiem, George. - Podniósł się z krzesła i jego kolana za trzeszczały głośno niczym para kastanietów. - A co z nim? Myślisz, że zwariował?

Oczywiście mówiąc „z nim”, dziadek miał na myśli Stevena Sugara, swego dawnego niedzielnego gazeciarza, którego ja znałem lepiej jako dowódcę dwuosobowego szkolnego oddziału ROTC. Początki ich sporu sięgały czerwca, kiedy to niedzielna edycja „New York Timesa” dziadka zaczęła trafiać do niego pozbawiona dodatku „Podróże”.

Gdy dziadek zadzwonił, by o tym poinformować, gazeciarz natychmiast warknął, iż przyjdzie, by przedyskutować ten problem twarzą w twarz, „proszę pana”. Zaledwie dziesięć minut później Steven Sugar zjawił się na werandzie dziadka i nim staruszek zdążył otworzyć, zastukał ostro kilkanaście razy dekoracyjną kołatką z brązu.

Steven Sugar, wysoki, pulchny chłopak o czarnych włosach ostrzyżonych najeża i kragłych, piegowatych policzkach, miał w sobie coś misio-watego i wrażeńiu temu nie przeszkadzał nawet pełny mundur we wzór kamuflażu. Wysłuchał skargi dziadka na baczność, wypychając do przodu niewielki brzuch i wysuwając szczękę. Później jednak dziadek stwierdził, że mimo owej pozycji wyczuł w chłopaku lekką wzgardę, dostrzegł w jego

oczach rozbawienie. Wrażenie to dziadek kojarzył ze złośliwymi przedstawicielami służb publicznych najniższego szczebla - funkcjonariuszami policji stanowej, władz miejskich, urzędnikami pocztowymi.

- Zapewniam, że dokładnie sprawdzam każdy egzemplarz, panie McGlaughlin - oznajmił Steven Sugar.

- Mimo to - emerytowany przewodniczący Local 219 wpatrywał się nieustępliwie w kapitana ROTC z Akademii Joshui Chamberlaina

20

w okręgu Amberson - w moim niedzielnym „New York Timesie” brak dodatku „Podróże”.

- Musiał pan go zgubić - oznajmił Steven Sugar, po czym dodał usługnie: - Starsi ludzie ciągle coś gubią.

Ta wymiana zdań doprowadziła do pierwszej złożonej przez dziadka skargi na gazeciarza. W lipcu, gdy zaczął także znikać dodatek o modzie i stylu, a dodatek podróżny wciąż się nie pojawił, dziadek złożył drugą, oficjalną skargę. I te właśnie protesty doprowadziły do decyzji firmy kolportażowej o odebraniu Stevenowi Sugarowi tej trasy i ponownego pojawienia się teraz już egz gazetiarza na ganku Henry'ego McGlaughlina.

- Posłuchaj, młodzieńcze. - Dziadek szarpnięciem otworzył drzwi, nim Steven Sugar zdążył raz jeszcze walnąć kołatką. - Twoje usługi nie były zadowolające. Wyraziłem swoje niezadowolenie i najwyraźniej zo stałeś zwolniony. Nie leżało to w moich zamiarach. Chciałem jedynie otrzymać kompletny egzemplarz niedzielnego „New York Timesa”, za który zapłaciłem. Tu kończy się moje zaangażowanie w sprawę. W żaden sposób nie odpowiadam za kwestię twojego zatrudnienia.

Krągła twarz Stevena Sugara poczerwieniała. Widząc zdenerwowanie chłopaka, dziadek próbował złagodzić cios, udzielając mu rady.

- Nie miałeś umowy? Jeśli istnieje system umów dla dostarczycieli gazet, możesz mieć prawo do regresu.

- Regresu? Regresu?! - Gazeciarz ściągnął z głowy miękki kapelusz z kamuflażem i klepnął nim mocno w udo.

Przy schodach czekał z rowerami jego porucznik, jedyny poza nim członek naszego szkolnego ROTC. Chudy chłopak nazwiskiem Tolson - który podobnie jak ja na jesieni rozpocznie naukę w drugiej klasie Akademii Joshui Chamberlaina, podczas gdy Sugar znajdzie się w ostatniej - spojrzał gniewnie i zacisnął palce na rączce hamulca.

- Tak, regresu. To forma apelacji.

- Pierdol się - powiedział mojemu dziadkowi Steven Sugar i obo ma rękami pokazał mu palec. - Możesz wyruchać się w tyłek swoim regresem.

Gazeciarz wskoczył na rower i wraz z porucznikiem zatoczył kilka kółek na trawniku. Obaj czynili wulgarnie gesty. Potem odjechali. Tolson rozdarł trawnik tylnym kołem roweru, a Steven Sugar ryknął przez ramię:

- To jeszcze nie koniec, ty gównojadzie!

I ta właśnie część najbardziej wszystkich rozbawiła.

- Gównojad - powtórzył rozradowany Gil. - Dawno już tego nie sły szalem.

- Stara szkoła - odparłem.

Gil zachichotał, wypuszczając z ust wstęgę dymu.

- Hej, ty, stara szkoło! - Dziadek pstryknął palcami, wskazując fajkę. - Podaj ją.

21

Tak się złożyło, iż incydent ów wydarzył się niemal jednocześnie z dostarczeniem tablicy. Dziadek ułożył tekst jakiś czas po śmierci babci i zamówił profesjonalny billboard u malarza związkowego w Providence.

- Przyjrzyj się dobrze, George - powiedział do mnie, gdy przyszedłem, by obejrzeć tablicę. Dziadek uśmiechał się szeroko, postukując w tekst palcem. - Oto jak wygląda demokracja. - Przesunął palec do portretu Ala Gore'a. - A oto jak wygląda prezydent.

Pierwszy atak miał miejsce tydzień później. Na twarzy Ala Go-re'a neonoworóżowym sprayem wymalowano słowa POGÓDŹ SIĘ Z TYM, GÓWNOJADZIE! PRZEGRZEŚ!

Od początku istniał tylko jeden podejrzany.

- Pogódź się z tym? Pogódź? - pytał retorycznie dziadek, gdy obaj szorowali farbę mokrymi gąbkami. - Za kogo on się ma, ten mały terrorysta? Za George'a Willa?

Potem, gdy tylko tablica została oczyszczona, wandalę uderzyli znowu i tym razem dziadek wygramolił się z łóżka, by sprawdzić źródło dobiegającego z zewnątrz hałasu. Zniknęli, nim zdążył ich zidentyfikować, lecz miał wrażenie, że na końcu ulicy dostrzegł dwóch ludzi na rowerach. Znalazł też kolejne dwa dowody: po pierwsze, drugi napis na bill-boardzie - ALBO SIĘ Z TYM POGODZISZ, ALBO WYNOCHA, GÓWNOJADZIE! - po drugie i bardziej złowieszcze, flarę myśliwską, wciąż dymiącą w żywopłocie.

Zdeptał flarę, wrócił do domu i zadzwonił do Gila. Aż do świtu oglądali telewizję satelitarną i palili skręty. A potem Henry McGlaughlin przystąpił do działania.

Zadzwonił po kolei do państwa Rodneyostwa Sugarów z Elkington Drive 113, następnie do policji miejskiej Amberson i wreszcie do ACLU.

Dziadek nawet się Sugarom nie przedstawił, lecz natychmiast przeszedł do rzeczy.

- Państwa syn naruszył moje prawo swobodnej wypowiedzi i chcę wiedzieć, co zamierzacie z tym zrobić.

- Słucham? - spytał senny głos z drugiej strony słuchawki.

- Moje prawo do swobodnej wypowiedzi zostało złamane. Naruszone. Zdeptane. Prawo wynikające z pierwszej poprawki do konstytucji. Przez pani syna.

Zapadła chwila ciszy, podczas której pani Sugar zbierała myśli.

- Swoboda wypowiedzi, o piątej dwadzieścia rano? Zgłupiałeś? Wal się, stary świrze!

Odwiesiła słuchawkę, lecz jeszcze przed lunchem adwokat Sugarów przysłał odpowiedź. *Panie McGlaughlin, wiadomo nam o pańskiej niedawnej stracie i bardzo panu współczujemy. Jednakże jeśli nie zaprzestanie pan tego nękania, w imieniu mojego klienta gotowi jesteśmy wystąpić o zakaz zbliżania się...*

Wezwany sierżant policji przyjrzał się pobieżnie ziemi wokół tablicy i z ponurą miną podrapał się po bródce zamkniętym notesem.

- W porządku, szefuniu - rzekł. - Wygląda na to, że mamy do czynienia z przypadkiem wandalizmu.

- Owszem, mój były gazeciarski...

- Wiem, wiem, ale nie ma dowodów. Rodzice twierdzą, że się pan myli i powinien pan trafić do wariatkowa. Może nie powinienem tego mówić, ale... - policjant zawiesił głos i zaczął demonstracyjnie węszyć w powietrze - czy wiadomo panu, że w stanie Maine palenie cannabisu jest nielegalne, panie McGlaughlin?

Mój dziadek odetchnął głęboko i spojrział w niebo.

- Czy wiadomo panu o istnieniu dokumentu zwanego Konstytucją Stanów Zjednoczonych, funkcjonariuszu Corcoran? Ma całą serię prawek - to znaczy praw - z których pierwsza daje mi prawo do swobodnej wypowiedzi.

Policjant gwałtownie otworzył notes, przyjrzał się pustej kartce i znów go zatrzaskał.

- Jeśli tak chcesz to rozegrać, szefuniu, nie ma sprawy. - Podparł się pod boki i pokręcił głową. Koniuszkiem języka oblizał wąsik. - Powiedz mi sobie szczerze, taka tablica musi wkurzać mnóstwo ludzi. Szczerze mówiąc, mnie też wkurza. Moim zdaniem to cholernie niepatriotyczne. Jasne, też jestem za wolnością słowa, ale nie aż tak, żeby zgadzać się na podobne bzdury. Co ty na to, szefuniu?

- Co ja na to? - spytał dziadek. - Uważam, że ma pan bardzo ładną bródkę.

Następna była prawniczka Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich. Dziadek opowiedział jej całą historię, a ona wysłuchała, zadając kilka pytań, lecz głównie milcząco. Kiedy skończył, spojrziała na niego przeproszająco.

- Nie mamy punktu zaczepienia, panie M.
- Co z moją swobodą wypowiedzi? To nie wystarczy? Dawałem wam pieniądze, kiedy jeszcze to coś znaczyło. Płaciłem, gdy urząd sprawował Hoover.
- Pańskiej swobody wypowiedzi nie narusza żadna organizacja, tylko gazeciarz. Gdyby subsydiowała go jakaś grupa interesu albo wspierała Ku-Klux-Klan czy coś takiego, jutro cała sprawa trafiłaby na pierwszą stronę „USA Today”. - Dziadek usłyszał syk gazu, gdy prawniczka ACLU otworzyła puszkę coli. - Poza tym, i proszę mi uwierzyć, wcale nie żartuję, Ashcroft w DC zapewne planuje stworzenie bazy wszystkich, którzy kiedykolwiek się dobrze bawili. Jeśli spuścimy go z oka choćby na chwilę, zacznie karać ludzi za to, że w dzień świąty poprawili sobie majtki. Naprawdę i z całym szacunkiem dla ogromu pańskich zasług, jeśli chodzi o jaja, stara Maryśka Hoover odpada w starciu z Ashcroftem. Proszę mi wierzyć, dla pana jako obywatela amerykańskiego w roku 2001 durnowaty gazeciarz to najmniejszy z problemów.

23

Oczywiście do tego czasu niedzielny „New York Times” dziadka przerodził się w symbol, co doprowadza nas do dnia dzisiejszego i trzeciego ataku, który przekonał dziadka, by wziął sprawy w swoje ręce.

* * *

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek rozmawiał ze Stevenem Sugarem czy nawet słyszał jego głos, choć znałem go z widzenia - grubawy chłopak dwie klasy wyżej, który maszerował z zajęć na zajęcia w wojskowych butach i obwisłym pustynnym mundurze, zwykle z podążającym parę kroków z tyłu porucznikiem Tolsonem.

Mimo to jednak, nim zaczęło się to wszystko - zanim na tablicy mojego dziadka i obliczu Ala Gore'a pojawiły się jaskraworóżowe napisy POGÓDŹ SIĘ z TYM, GÓWNOJADZIE! PRZEGRALĘS! i ALBO SIĘ z TYM POGODZISZ, ALBO WYNOCHA, GÓWNOJADZIE, a także KOMUNISTYCZNY GÓWNO-JAD - nie sądzę, abym zaszczycił Stevena Sugara nawet jedną świadomą myślą.

Teraz wyobrażałem sobie, jak pędzi przez pogrążone w ciemności przedmieścia na rowerze. Letni nocny wietrzyk przewiewa mu ostrzyżone na jeża włosy, torba na gazety pełna puszek sprayu brzęczy u boku, a on jedzie naprzód spokojny, pewny siebie, gotów do akcji, fanatyk, wojownik. Wizja ta mnie zaskoczyła i pozazdrościłem mu, początkującemu faszystcie, który okradał mojego dziadka z dodatku do niedzielnego „New York Timesa” i bazgrał po jego prawach wynikających z pierwszej poprawki. Mogłem tylko podziwiać jego pewność siebie i przestępcze zdecydowanie. Nie rozumiałem motywów kierujących Stevenem Sugarem, ale wyczuwałem jego satysfakcję niczym ciemną plamę na ekranie radaru, podobną gorze lodowej i równie wielką jak ona.

Wyobraziłem sobie Stevena Sugara skulonego pod osłoną kołdry, przeglądającego w świetle latarki skradzione gazety. Przewracał kartki ze zdjęciami ostatnich nietkniętych ludzką stopą wysp Morza Śródziemnego, białych plaż, pradawnych stosów kamieni i oblizując wargi, przeglądał ogłoszenia o ślubach bogatych mieszkanki Manhattanu, absolwentek uczelni z Ivy League zawodowo projektujących torebki.

Co to dla niego znaczyło? Czy wyobrażał sobie, jak sieje zniszczenie wśród owych przepięknych krajobrazów i miazdzy czołgiem malownicze wioski? Czy fantazjował o porywaniu tych pięknych, młodych żon ich mężom podczas miodowego miesiąca? A może nienawidził naszego małego miasteczka w Maine i marzył tylko o tym, by wyjechać jak najdalej, zacząć wszystko od nowa w nowym, obcym kraju? Czy to możliwe, by Steven Sugar czytał ogłoszenia o ślubach w ramach przygotowań, myśląc o

tym, jak za dziesięć lat zostanie chirurgiem (albo prezesem funduszu wzajemnego) i nadejdzie czas, by on także poślubił dwudziestosześcioletnią producentkę dziecięcych programów telewizyjnych (albo szefową marketingu w luksusowym magazynie), uroczą, jasnooką Hannę (bądź Caroline)? Może w ogóle nic to dla niego nie znaczyło? Może Steven Su-

24

gar okradał gazetę mojego dziadka z najprostszego powodu - dlatego że mógł?

Dlatego że mógł. Myśl ta sprawiła, że zjeżyły mi się włosy na rękach i musiałem zacząć oddychać przez usta.

Dziadek z wyczekującą miną położył mi dłoń na ramieniu i powtórzył pytanie.

- I co, George? Co tak naprawdę myślisz? Zwariował czy po prostu jest wściekły?

- Nie - odparłem. - Nie sądzę, by Steven Sugar zwariował. Myślę, że jest zły.

Dziadek uściśnął moje ramię i przeszedł przez pokój do okna.

- Czyli jesteśmy kwita, bo ja może i oszalałem, ale też z całą pewnością nieźle się wkurzyłem. - Staruszek pochylił się nad karabinem, zerknął przez lunetkę. - I w końcu uświadomiłem sobie, że aby porozumieć się z tymi potworami, należy posłużyć się językiem, który rozumieją.

Trudności z porozumieniem stanowiły w istocie źródło moich osobistych kłopotów. Nie dogadywałem się z matką i nie miałem ochoty dogadywać się z doktorem Yikiem. Ostatnio nie dręczyło mnie nawet wrażenie, że nikt mnie nie słucha, raczej że mówię w zupełnie innym języku. Albo może, pomyślałem, w ich uszach mojemu głosowi brak dźwięku, nadaję na złej częstotliwości, coś jak gwizdki dla psów. Czekają zatem, tylko, bym przestał ruszać wargami, a potem uśmiechają się, kręcą głowami i wyjaśniają, czego nie zrozumiałem.

Tej zimy przeprowadziliśmy się do doktora Vica, do nowego dwupiętrowego domu na samym brzegu jeziora Keynes. Z okna mojego pokoju na strychu roztaczała się wspaniała panorama na wielkie jezioro, porośnięte sosnami pogórze i jeszcze dalej łyse górskie zbocze, z którego w grudniu zjeżdżali na nartach turyści. Widziałem też z niego doskonale pomost, przy którym doktor Vic trzymał motorówkę i kajak.

Na początku lata matka i jej kochanek zaręczyli się i odkąd zrobiło się cieplej, co wieczór tańczyli na pomoście. Zabierali ze sobą przenośny odtwarzacz CD oraz stos płyt, parę kubków i puszkę środka przeciw owadom i tańczyli tam godzinami, czasami aż po brzask. Podobno chodziło o to, by znaleźć „ślubną” piosenkę, idealny akompaniament do ich pierwszego małżeńskiego tańca.

Dźwięki z kolekcji muzycznej doktora Vica płynęły w powietrzu, odbijając się brzęczącym echem. Gdybym chciał, mógłbym ich podglądać z mego okna. Zamiast tego siedziałem pod parapetem, oparty plecami o ścianę i nienawidziłem się za to, że zastanawiam się, którą piosenkę wybiorą, że mimowolnie uczestniczę w ich kretyńskiej zabawie. Pomiedzy piosenkami do moich uszu docierały fragmenty rozmów, śmiechy, brzęk toastów.

25

Gust muzyczny doktora Vica doprowadzał moją matkę do paroksy-zmów śmiechu. Słyszałem, jak turla się po pomoście, jak gdyby miała do czynienia z najśmieszniejszym facetem świata. Dźwięk ten przelatywał przede mną niczym ciężki przedmiot upuszczony z wielkiej wysokości i nigdy nie docierał do dna.

Pewnej nocy krzyczała z radości, odkrywając płytę Dona Johnsona. „Zupełnie jakbym znalazła twój sekretny zbiór porno”, mówiła ze śmiechem, tupiąc bosymi stopami w deski.

- Daj spokój - odparł doktor Vic. - Ty też go lubiłaś. Nie opuściłaś nawet jednego odcinka.

- To porno! Emocjonalne porno! „Crockett śpiewa tylko dla ciebie”.

- Matka popłakała się ze śmiechu.

- Chwileczkę, jedną chwileczkę. „Heartbeat” jest dobry, poważnie. Musisz to przyznać. „Heartbeat” to całkiem niezły numer.

Teraz doktor Vic także chichotał.

Minęło kilka chwil, nim matka zdołała wykrztusić choć słowo. Wykrztusiła, że sądziła, iż zakochała się w szanowanym wiejskim lekarzu, w istocie jednak związała się z dziewięciolatką z 1984, i o mój Boże, czy to straszne, że wciąż go kocha? Bo go kocha, kocha, kocha!

Nie słyszałem ich pocałunków, ale byłem dość duży, by wiedzieć, co nastąpi dalej. Czasami słuchali płyt aż do świtu, gdy niebo zaczynało szarzeć, a kiedy zasypiałem, zgredowska muzyka doktora Vica - Wynton Marsalis i Phil Collins, i upiorny pop z lat siedemdziesiątych o nazwach kojarzących się z produktami do jedzenia: Bread, Juice Newton, Hum-ble Pie - przenikała do mojej podświadomości, stając się ścieżką dźwiękową snów. W moich snach gonilem za matką i jej narzeczonym, a oni, trzymając się za ręce, spacerowali po zatłoczonych chodnikach, parkach i centrach handlowych. Biegłem obok, skakałem wokół nich i krzychałem, próbując przyciągnąć uwagę matki, zmusić ją, by wyłączyła ten syf i mnie wysłuchała, bo mam coś do powiedzenia, coś bardzo ważnego. Czasami doktor Vic uciskał mnie krótko albo matka patrzyła na niego przepaszająco, nigdy jednak się nie zatrzymali. A rano, gdy się budziłem, pod oczami miałem zaschnięte łzy. Wstydzilem się dziecinnej oczywistości owych snów i tego, że wzbierają we mnie nawet na jawie. Każda gniewna uwaga wlatywała w górę niczym mały czarny balonik. A potem zapadała noc i balony kłębiły się na moim niebie.

Miałem wrażenie, że przez cały dzień wypuszczam kolejne balonowe sznurki. Za każdym razem, gdy widziałem, jak doktor Vic masuje jej ramiona, kiedy siedziała pochylona nad książką. Za każdym razem, gdy stała z nim na zimnym deszczu, trzymając parasolkę, podczas gdy on wyprowadzał swoje psy; za każdym razem, gdy dokądś jechaliśmy i doktor Vic kazał mi usiąść z przodu, a ja wiedziałem, że przedyskutowali to w cztery oczy i postanowili mi ustąpić.

Dla nich byłem tylko zazdrosnym dzieckiem samotnej matki, nierozumiejącym co to seks i intymność, czym różni się miłość kochanka od

26

miłości dziecka i dlatego osoba dorosła potrzebuje jednej i drugiej. Dla mnie wszystko to było oszczerczym kłamstwem. Doktor Vic stanowił wyjątek. Mieszkaliśmy w różnych miejscach, moja matka umawiała się z najróżniejszymi mężczyznami i nigdy wcześniej nie miałem z tym problemów,

W Blue Hill mieszkał Paul, ciemnooki właściciel studia garncarskiego dla turystów, który przed urodzinami Emmy pomógł mi wypalić i pomalować pojemnik na ciastka w kształcie niedźwiadka Jerry'ego. Gdy matka pracowała na uniwersytecie Maine, umawiała się z niemieckim doktorantem Juppsem, który pozwalał mi oglądać w telewizji, co tylko zechciałem, i śmiał się ogłuszająco, nieważne czy program traktował o wypadkach na stoku narciarskim, czy też o Wielkim Wybuchu. W pierwszym roku po tym, jak przeprowadziliśmy się z powrotem do Yarmouth, nim babcia zachorowała, a matka zatrudniła się w miejscowej filii Towarzystwa Planowania Rodziny i poznała doktora Vica, umawiała się z Dale'em, wydawcą miejscowego tygodnika „Amberson Com-mon”. Z Dale'em dobrze się bawiliśmy. Próbowałem zgadnąć, które z drobnych ogłoszeń w gazecie wymyślił. Na przykład:

POSZUKIWANY

Biały mężczyzna, kawaler, poszukuje cheeseburgera, coca-coli i szacunku.

CZY UMIESZ RZUCAĆ?

Leworęczny poszkwny. Musi być dwunogi, żywy. Kandydaci zgłoszą się natychmiast do Fenway Park w Bostonie, MA.

Po zerwaniu Dale wydrukował mi następujące ogłoszenie:

STARY BIAŁY FACET

SBF może zapewnić referencje, nieleg. fajerwerki, domów, mikstury itd. Fajne dzieciaki zawsze mil. widzian.

Lubiłem ich wszystkich - nawet Juppsa, który pachniał płynem do płukania ust i czasami niepokoił mnie swym obłąkańczym śmiechem. Działo się tak dlatego, że ci mężczyźni po prostu akceptowali moją obecność i pozwalali, bym sam określił poziom naszych interakcji. Można by rzec, że zapłacili frycowe.

* * *

Wieczorem dnia, kiedy dziadek zrobił sobie ze mnie ruchomy cel, zaproponowałem, że wyprowadzę na spacer dwa jazgoczące pekińczyki doktora Vica - Chłopaczków, tak ich nazywał. Obiad smażył się już na grillu na tarasie. Ostatnio często je wyprowadzałem, ku wyraźnej radości doktora Vica.

27

- Nawet po najdłuższej zimie następuje odwilż - szepnął kiedyś do mojej matki; usłyszałem to przypadkiem.

Matka jednak знаła mnie lepiej, teraz głośnym westchnieniem dała wyraz swoim podejrzeniom.

- Tylko nie daj się wyrolować tym małym paskudom - powiedział na rzeczony mojej matki.

Zachichotał i pociągnął z kieliszka łyk białego wina. Nakładki na okulary przekrzywiły mu się nieco.

- Fajne szkła, doktorku - mruknąłem.

- Dziękuję bardzo - odparł, udając Ehdsa.

Odwróciłem się od niego i wykrzywiłem do matki. Wzruszyła ramionami i postukała palcem w zamek swoich szortów. Wywróciłem oczami. Ponownie postukała. Spojrzałem w dół - a potem błyskawicznie zapiąłem rozporek i ruszyłem do domu.

- Wiesz, Emmo, myślę, że nasz młody George odkrył przypadkiem jeden z największych sekretów w życiu mężczyzny - oznajmił doktor Vic i nie musiałem się nawet oglądać, by wiedzieć, że jego twarz rozjaśnił sze roki, szczery uśmiech. - Jeszcze w czasach kawalerskich spacerowałem z Chłopaczkami po kilka godzin dziennie. Może wyda ci się to wykalkulowane, ale zwykły facet musi czasem zrobić sobie przerwę, a nie każdy umie grać na gitarze. Dla przeciętnego faceta pies to niemal jak zostanie muzykiem, możesz nawet rzec, że Chłopaczki to prawdziwy „hit”. - Pod kreślił to słowo, rysując w powietrzu palcem cudzysłów. - Są superzaści.

* * *

Jakież to typowe dla doktora Vica, robić wielkie halo ze wszystkiego, nawet imion swoich psów. Za każdym razem, gdy się odzywał, jego szeroka, ciastowata twarz otwierała się w sposób, który kojarzył mi się ze śpiewającymi ostrygami z disneyowskiej „Alicji w Krainie Czarów”. Uważałem, że doktor Vic jest najbardziej zawstydzającym człowiekiem świata.

Zacznijmy od tego, że pisywał krótkie, absurdalne wierszyki mówiące o tym, jak bardzo kocha moją matkę i co by zrobił, gdyby nagle zamieniła się w coś innego, zwykle nieożywionego, jak przystawka albo chałwa.

Kobieta, którą kocham, jest chałwą (dla celów tego wiersza)

autorstwa Yictora Lipscomba

Gdyby by ta chałwą, a ja byłbym małpą,

Czekałbym całymi dniami i myślał nad sposobami,

Nie by się pożywić, lecz by ją ożywić.

Ale gdybym miał ją zjeść, zrobiłbym to i częściej.

Bo Emmajest taka słodka.

Specjalnie dla nas przylepiał te wiersze do lodówki, jak to czynią pierwszoklasiści ze swymi akwarelkami.

28

Druga sprawa - jego ulubiona muzyka, potworne piosenki, których słuchał zawsze w samochodzie i w swym gabinecie. Numery typu „Seasons in the Sun” i „Dream River”; piosenki, od których człowiek w żaden sposób nie potrafił się uwolnić i które nucił bez przerwy; przypominały karteczki przylepione do wnętrza czaszki i póki klej nie zaschnie, a kartka nie odleci, nic nie można zrobić, by obronić się przed kretyńskim, niekończącym się świergotem syntetyzatora w „Dream River” ani powstrzymać przed bezradnym nuceniem raz po raz: *We had joy, we had fun, we had seasons in the sun.* Poza tym doktor Vic rozmawiał z krzyżówkami; za każdym razem gdy stwierdził, że odpowiedź brzmi Yoko albo Ono, krzyczał: „To znowu ona!”, jakby znalazł się w salonie bingo. A kiedy nalewał wina matce, stawał przed nią ze ściereczką przewieszoną przez przedramię i podkręcał koniec niewidzialnego węża, czekając, aż matka kiwnie głową. I wreszcie - osobiście

uważałem to za koronny dowód - miał ulubione robocze spodnie, rozciągnięte pod ciężarem landrynek i przysmaków dla psów, które wpychał do kieszeni; tak rozciągnięte, że chodząc, jedną ręką musiał podtrzymywać pasek niczym jakiś pieprzony kłown.

We wszystkim, co robił, krył się przerażający optymizm, który mnie osobiście wydawał się kompletnie fałszywy, choć wiedziałem, że doktor Vic należy do ludzi niezdolnych do jakiegokolwiek nieszczerości. Całe jego zachowanie - zamaszty chód, kolorowe koszule LL Bean, oklapła fałda brzucha zwisająca nad paskiem - potwierdzało ten niezaprzeczalny fakt.

Doktora Vica można było zranić, ale nie zniechęcić. Gdy mi oznajmił, że wszystko to jedynie etap dojrzewania, w jego oczach widziałem, iż wyobraża sobie jakiś abstrakcyjny tunel, na którego końcu plonie jasne światło, a z dali dobiegają świergoty ptaków i dzwonek lodziarza.

Być może u podstaw niechęci, jaką darzyłem narzeczonego matki, nie kryło się nic poza prostym niedowierzaniem. Byłem synem samotnej matki, mieszkałem w okolicy, której nie odwiedzały furgonetki lodziarzy. Wierzyłem, że dobra wola nie wystarczy, że kiedyś każdy zostaje sam.

Nawet ja nie wiedziałem dokładnie, jak ta wiedza przekłada się na moją najnowszą kampanię sabotażową, rozumiałem jednak doskonale, że nie czas na wahanie ani półśrodki.

* * *

Z zamrażarki wyjąłem niewielki foliowy worek ukryty pod kupką lodu, za stosikiem steków z miecznika. Włożyłem kuchenną rękawicę i wyprowadziłem Chłopaczków na łąkę. Po tygodniach tresury dwa pekińczyki pomknęły naprzód, gotowe do zabawy. Śmigały przed siebie i cofały się, zachęcając mnie, bym się pośpieszył. Kręciły zadkami z entuzjazmu.

- Już dobrze, dobrze - powiedziałem.

Wyciągnąłem z torebki zamrożone gówienko i cisnąłem na łąkę. Chłopaczki pobiegły za mknącą w powietrzu brązową bryłką, znikając w morzu rozkołysanych bławatków.

29

Myśl, że jest coś okrutnego w uczeniu psów mojego przyszłego ojczyrna aportowania własnych odchodów, i że to, ile kłopotu sobie zadałem (wykradając się po zmroku, by zebrać gówienka i je zamrozić), jest podejrzenie bliskie obsesji, parę razy przyszła mi do głowy w najdziwniejszych chwilach. Na szczęście zwykle potrafiłem odparować ataki sumienia. Jeśli była to wojna - a była - czy prawdziwy żołnierz - taki jak Steven Sugar - przejmowałby się dwoma łajnożernymi psiakami, tak głupimi, że nie mają nawet własnych imion? Gdzieś, zapewne w filmie

O Wietnamie, usłyszałem określenie „przypadkowa ofiara” i wydawało się ono doskonale pasować do obecnej sytuacji.

Wymyśliłem już nawet tekst, którym zamierzałem potraktować doktora Vica. Wyobrażałem sobie, że mówię jak Gil, z porozumiewawczym mrugnięciem i uśmiechem, podkreślając słowa donośnym, przeciągłym pierdnięciem.

- Osobiście sędzę, że nie ma niczego gorszego niż pies gównojad - za uważę cierpko, a potem odczekam chwilę, nim dodam: - No, może dwa psy gównojady.

Po kilku rzutach zamrożone odchody zaczynały mięknąć. Szybko opróżniłem do końca worek, ciskając gówno w wysokie trawy, aż w końcu zaczęło mnie boleć ramię. Psy jednak niestrudzenie rzucały się w pościg i powracały szeroko uśmiechnięte, ściskając w zębach twarde czarne ciasteczka.

Gdzieś w okolicy dwudziestego rzutu jeden z nich podkuśtykał z powrotem, upuścił łajno i upadł na ziemię u mych stóp. *Zaczai* się dławić, głośno dysząc. Niepokojąco wywrócił oczami, a potem zakasłał i zaczął dyszeć jeszcze głośniejsze.

Wyczuwając słabość brata, drugi Chłopaczek podbiegł, złapał gówno zniknął wśród trawy, by ukryć swój skarb.

Chory pekińczyk przewrócił się na bok. Ukłakłem obok, czując, jak ściska mi się żołądek.

Zatrucie gównem, pomyślałem niepewny, czy podobna choroba w ogóle istnieje.

Położyłem dłoń na boku psa, który dźwignął się ciężko. Spojrzał na mnie spod rozczochranej grzywy i uśmiechnął się. Polizał mi dłoń. Przez chwilę pozwalałem mu na to, potem przypomniałem sobie, czego dotykał językiem, i pacnąłem go w pysk. Pies odskoczył i zaszczekał żałośnie.

- Jezu, już dobrze - mruknąłem. - W porządku, przepraszam.

Prowadząc je z powrotem, przypomniałem psom, że wcale mi ich nie żal.

- Nie rozumiecie nawet, co się dzieje - dodałem.

Matka patrzyła, jak wyciągam ze słoja na ciastka garść psich herbatników. Chłopaczki zaczęły radośnie chrupać. Dmuchięciem odrzuciła z oczu kosmyk ciemnych włosów i spojrzała pytająco na kuchenną rękawicę, wciąż tkwiącą na mojej dłoni. Wzruszyłem ramionami i schowałem ją z powrotem do szuflady.

30

* * *

Mam trzydzieści trzy lata i mogę robić, co mi się żywnie spodoba - napisała moja matka.

W ramach biernego oporu przestałem się do niej odzywać. Nie racząc wyjaśnić natury mojej demonstracji ani nawet tego, że to demonstracja, zacząłem nosić zawsze przy sobie żółty notatnik, na wypadek gdyby porozumienie okazało się nieodzowne. Matka, co okropnie wkurzające, w odpowiedzi także przestała się do mnie odzywać i również kupiła sobie żółty notatnik. Teraz zamiast wrzeszczeć na siebie, klóciliśmy się, przesuwając notatniki tam i z powrotem po stole w jadalni doktora Vica.

Ta akurat klótnia zaczęła się od rękawicy kuchennej. Matka chciała wiedzieć, co z nią robiłem i czemu tak dziwnie pachnie. Moje uniki szybko doprowadziły do jedyne go celu, do którego zmierzały ostatnio wszystkie nasze spory, prawdziwego sedna sprawy, to znaczy: Dlaczego mi to robisz? Czy przyjrzałaś się mężczyźnie siedzącemu po drugiej stronie stołu? Temu głupkowatemu facetowi, pulchnemu gościowi z zarzuconym na ramię krawatem z amerykańską flagą? Chcesz za niego wyjść? Za tego gościa? Za niego?!

Jak możesz być taka głupia? Jak ktokolwiek mógłby być taki głupi?

Zrobiłam w mym życiu mnóstwo głupich rzeczy, George'u Claiborne, a nie najmniejszą z nich stanowiło urodzenie dziecka w wieku lat dziewiętnastu. Jednakże ten akurat życiowy błąd okazał się największą radością mojego życia, mimo twojego obecnego zachowania. Gdy zdecydowałam się cię zatrzymać, wielu ludzi twierdziło, że postępuję głupio. Mam sporo pozytywnych doświadczeń z głupotą.

Wiedziałem, że kwestia mojego poczucia to wrażliwy punkt, toteż odpowiedziałem ulubioną zwrotką z jednego z wierszyków doktora Vica.

*Gdyby była przystawką, zrobiłbym jej podstawkę
Gdyby była przystawką, zmieniłbym się w nadstawkę.*

Matka przy pisaniu naciskała długopis tak mocno, że skrzypiał w proteście. *Co to wszystko ma z nim wspólnego? Nigdy nic ci nie zrobił, choć zważywszy na okoliczności, trudno byłoby mieć do niego pretensje.*

Nienawidziłem tego jej podkreślania.

Jesteś lamistrąjkim.

A ty nieznośnym smarkaczem i co więcej, nie masz bladego pojęcia, co znaczy to słowo. Po prostu szukasz pierwszego lepszego pejoratywnego określenia. George, to nie jest legenda o jednym ze strajków twojego dziadka. To historia małego chłopca, który wciąż musi się jeszcze wiele nauczyć idorosnąć.

Siedzący na końcu stołu doktor Vic z ponurą miną piłował nożem kurzą pierś. Patriotycznym krawatem otarł pot z twarzy.

- Chyba też powinienem kupić sobie notes - rzekł głośno. Nikt nie zareagował.

31

Czekając na moją odpowiedź, matka zachowywała pozę błęgiego, godnego zakonnicę spokoju. Splotła ręce na stole, długie czarne włosy odgarnęła starannie za uszy. Tej wiosny pojawił się w nich pierwszy siwy kosmyk, cienki srebrzysty owoc biologicznej reakcji na (jak miałem nadzieję) udęczone wyrzutami sumienia, choć do tej pory ani razu nie ustąpiła. Parę razy zdarzyło się, że przytrzymałem jej włosy, gdy wymiotowała w łazienkach nędznych mieszkanek w Orono, Blue Hill i Wa-terville po nocy picia z przyjaciółmi bądź kochankiem.

Dziadkowie nauczyli mnie wszystkiego o stronach, o granicy, linii dzielącej jedną stronę od drugiej i niemożności stania nad nią okrakiem. Albo jesteś w tym razem z nami, albo jesteś poza, przeciw nam. Przed doktorem Yikiem mężczyźni w życiu mojej matki zawsze starali się przedostać na naszą stronę. Kiedy jednak

pojawił się doktor Vic, matka oznajmiła, że pewne rzeczy nie podlegają negocjacjom. Lata przeprowadzek z miasta do miasta, gdy powoli, mozolnie zdawała kolejne egzaminy na drodze do licencjatu, lata spędzone w nędznych mieszkankach z trzema rozstrojonymi kanałami telewizyjnymi, gumowymi prysznicami i kocimi włosami zalegającymi w kątach, wszystko to stanowiło jedynie tymczasowy sojusz, wynikający z czystego wyrachowania. Teraz pojąłem, że obydwójce, Emma i doktor Vic, stoją po swej własnej stronie, a ja znalazłem się po drugiej i dzieli nas prawdziwa granica. Matka patrzyła na mnie, zaciskając splecione dłonie, unosząc wysoko głowę niczym szkolna świetliczanka.

„Aby porozumieć się z tymi potworami, należy posłużyć się językiem, który rozumieją”. Tak ujął to dziadek.

Miałem ochotę chlusnąć jej sosem w twarz.

Pozwolił babci umrzeć - napisałem i pchnąłem gwałtownie notes w jej stronę.

Później tego samego wieczoru zapukała do moich drzwi, a gdy je otworzyłem, po prostu tam stała. Na jej policzkach dostrzegłem ślady łez, spoglądała gdzieś w dal ponad moim ramieniem.

- I co? - spytałem.

Uniosła rękę i usłyszałem plaśnięcie policzka, nim jeszcze go poczułem. Dźwięk ów zdawał się narastać, rozszerzać, wypełniać cały dom, nieść ponad jezioro między lesiste wzgórza niczym odgłos strzału. Nie cofnąłem się nawet, byłem zbyt oszołomiony.

Matka nie zmieniła wyrazu twarzy; wciąż spoglądała gdzieś poza mnie. Sięgnęła do kieszeni i cisnęła na podłogę zmiętą w kulkę kartkę. Bardzo cicho zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy zostałem sam, wspomnienie śladów łez na jej policzkach mnie pocieszyło, choć zmusiłem się, by trochę popłakać. Liścik głosił: *Któregoś dnia będziesz się wstydził swojego dzisiejszego zachowania.*

Jeszcze bardziej pocieszyło mnie dobiegające z dołu trzaskanie drzwi i echa krzyków matki oraz głosu jej kochanka - onkologa mojej nieżyjącej babci i być może mego przyszłego ojczyma, Yictora Lipscomba, dok-

32

tora medycyny - próbującego ją uspokoić. Jego niski, błagalny głos przesączał się przez wywietrzniki. „Emmo, skarbie” i „Już dobrze”, i „Musimy dalej nad tym pracować”. Zасыpiając, ucieszyłem się, pojmując nagle, że czeka mnie spokojna noc bez muzyki.

* * *

O świcie obudziłem się wyrwany z koszmaru. Głośno chwytałem powietrze i przyciskałem do piersi koldrę, próbując zetrzeć słowa, jakie wypisał na mnie sprayem Steven Sugar.

W moim koszmarze stałem przywiązany do drzewa, na twarzy miałem maskę Richarda Nixona, która utrudniała mi oddychanie. Z cienia wyłonił się Steven Sugar. Miał na sobie mundur, z jego twarzy spoglądały oczy mojej matki, ciemne, nieubłagane. W dłoni trzymał puszkę z farbą.

Podczas gdy ja wiałem się i wzywałem pomocy, zaczął cierpliwie kreślić na moim tułowiu litery tanią, czerwoną farbą. **POGÓDŹ SIĘ Z TYM, GÓWNOJADZIE! PRZEGRALeŚ!**

T; Przez następne popołudnie wraz z dziadkiem trwaliśmy na posterunku w pokoju gościnnym i czekaliśmy, by Steven Sugar wykonał swój ruch. Nie zapalaliśmy lampy, bo pokój zanadto się od niej nagrzewał, toteż jedyne światło przenikało przez zasłony i zalewało wnętrze jaskrawą pomarańczową kolumną. Dziadek siedział na krześle obok karabinu i trójnogu, co parę minut odsuwał lekko rąbek zasłony, sprawdzając, czy coś się nie rusza na widocznym z okna zakręcie ulicy.

Przez większość czasu milczeliśmy. Po prostu zjawilem się i usiadłem na gościnnym łóżku.

- Czołem - mruknął dziadek, nie odrywając wzroku od okna. Na strychu odkryłem pudełko starych, kruchych książeczek z cyklu *Ułóż Własną Przygodę*, należących kiedyś do mojej matki - czytelnik poznaje w nich historię zgodnie z własnymi decyzjami strategicznymi - i z rozterg nieniem przeglądałem tomik zatytułowany „Grobowiec obcego”. Kątem oka obserwowałem dziadka; światło padało mu na czoło i sprawiało, że wyglądał młodo. Zastanawiałem się, czy myśli o mojej babce.

Jeżeli ufasz martwemu obcemu i podążysz za nim przez drzwi do Krainy Wieczności, przejdź na stronę 12. Jeśli

wolisz cofnąć się do najbliższej kapsuły czasu, przejdź na stronę 34,

- Powinieneś bawić się z przyjaciółmi. - Dziadek uniósł rąbek zasłony, krzywiąc się, wyjrzał na zewnątrz i znów ją opuścił.
- Nie mam żadnych przyjaciół - odparłem. - Nie takich prawdziwych. Przez chwilę ssał orzeszek, potem zgryzł go powoli.
- Pozwolę sobie wątpić w to ostatnie stwierdzenie.

33

- Za często się przeprowadzaliśmy.

Odkąd zacząłem szkołę, mieszkaliśmy z matką w sześciu różnych miastach, co w oczach dorosłych czyniło ze mnie niemal Cygana. Nie żebym nie dogadywał się z ludźmi ani nie rozmawiał z nikim na szkolnym korytarzu. Tyle że bardzo racjonalnie uznałem, iż samo dorastanie jest dość kłopotliwe i nie ma sensu próbować dodatkowo zdobyć zaproszenie na imprezę. Może byłem bardziej samotny, niż dawałem po sobie poznać; może po dwóch latach w systemie szkolnym Amberson czas pogodzić się z faktem, że moje chłopięce marzenia o pozostaniu w jednym miejscu mogą się ziścić. Z drugiej strony trudno przychodziło mi zaakceptować myśl, że doktor Vic miałby stanowić część owych spełnionych marzeń.

Jeśli chcesz zostać z dupkiem i jego psami gównojadami, przejdź na stronę 11. Jeśli przeniesiesz się do innego miasta, przejdź na stronę 45.

- Dziecko powinno mieć jakichś przyjaciół, George.
- Mam piętnaście lat.
- Przepraszam. Nastolatek powinien mieć jakichś przyjaciół, George.
- Nieźle dogaduję się z ludźmi.
- No cóż... - mruknął.
- No cóż... -powtórzyłem.

Odsunął zasłonę, wyjrzał, puścił. Potem zerknął na mnie z ukosa. Uniosłem pytająco brwi i otrzepałem kołnierzyk koszulki. Dziadek parsknął, strzepując z własnej okruczności orzeszków.

- Boisz się, prawda? To ryzyko, tak? Spróbować przełamać lody?
- Jasne. - Nie zamierzałem zaprzeczać.

Dziadek zakołysał się, poklepał po kolanach i przytaknął, jakby to wszystko tłumaczyło.

- W końcu jesteś cholernym dziwolągiem. Zgadza się?

Stwierdzenie to przez minutę wisiało między nami w powietrzu.

Dziadek patrzył na mnie pogodnie. Ja byłem zbyt zaskoczony, by poczuć ból.

• Wielkie dzięki - odparłem w końcu. - To pomaga, naprawdę po maga.

- Dzieciaki są ciekawskie, uwielbiają dziwolągi.
- Jezu, dziadku, ale super. Może jeszcze kopniesz mnie w jaja, co?
- Nie, nie. - Założył nogę na nogę i poklepał się po kapciu. - Pokaż im palec. To niezły początek rozmowy. Interesujący.

Klapnąłem ciężko na łóżko.

- Pokaż mi go - ciągnął. - No, dalej.

- Popatrz tutaj. - Pokazałem mu środkowy palec.

Zachichotał i z powrotem skupił się na czuwaniu.

Przeczytałem zatem resztę „Grobowca obcego” i po serii błędnych wyborów i nieszczęść odkryłem, iż najlepsze, co mogę zrobić, to wrócić w miejsce, z którego zaczynałem.

34

* * *

W pewnym momencie przysnąłem i ocknąwszy się, ujrzałem patrzącego na mnie surowo Josepha Hillstroma. Mężczyzna na czarno-białym zdjęciu miał twarz o ostrych rysach i niesamowicie jasne oczy, niemal jak u ślepeca. Zdawał się spoglądać nie w aparat, lecz dużo dalej. Odwróciłem się, by na niego nie patrzeć.

Dziadek wciąż siedział obok okna. Garbił się lekko, tak że promienie słońca padały teraz na jego włosy, ukazując różową skórę pod nimi.

Przekręciłem się na plecy i mrugając, spojrzałem w sufit, powoli dochodząc do siebie.

To babcia opowiedziała mi historię Hillstroma, autora piosenek i działacza skazanego na podstawie poszlak i straconego w Utah w 1915 za napad i zabicie dwóch ludzi. Jakiś świadek twierdził, iż w noc zabójstwa widział, jak Joe rzuca pistolet na środek pola. Lecz broni nigdy nie znaleziono. Co więcej, policja wiedziała, że jedna z ofiar zdołała wystrzelić, a gdy zjawili się u Joego, odkryli, iż leży w łóżku z raną postrzałową. Joe mówił, że zarobił kulkę, broniąc kobiety, ale honor nie pozwala mu ujawnić jej nazwiska. W przeddzień egzekucji Hillstrom zachował dość trzeźwości i odwagi, by napisać do przyjaciela. „Nie płaczcie! Działajcie!”.

Jego fotografia była ostatnią rzeczą, jaką widziała babcia. Poczułem, jak na przedramionach występują mi krople potu. Nie wiedziałem, skąd wziął się mój nagły niepokój. Obróciłem się z powrotem ku zdjęciu nieboszczyka.

- Stary Joe to ktoś w rodzaju świętego Ruchu, Georgie - powiedziała babcia, po czym nagle zrobiła zeza, by przełamać ponury nastrój wywołany przez historię traktującą o morderstwie, egzekucji i męczeństwie. Miałem wówczas jakieś siedem lat. - Nie żeby szanowny pan w Rzymie noszący śmieszny kapelusz i dysponujący bezpośrednią linią telefoniczną do Boga kiedykolwiek go uznał.

Zmusiłem się, by skupić wzrok na zdjęciu, i po chwili niepokój minął. Pomyślałem, że tak właśnie powinien wyglądać święty: spokojny, bez winy, wykuty ze stali, której nie zdoła stopić żaden pogański ogień. Pewnie babcia to właśnie zobaczyła.

- Gore wycofałby nas z NAFTA - oświadczył dziadek ni stąd, ni zowąd. Usiadłem.

Dziadek wciąż tkwił na krześle, przygarbiony, światło przeświecało przez jego siwe włosy. Cały czas czuwał.

- To nowe hasło Gila. NAFTA to, NAFTA tamto. - Z irytacją pacnął w zasłonę, najwyraźniej dobry humor już go opuścił. - A jeśli nie NAFTA, to inne słowo na N - odchrząknął i powiedział z niesmakiem: - Nader. Al Gore zrobił więcej dla robotników zeszłej nocy w łóżku niż Ralph Nader przez całe życie. Stary piernik lubi mnie drażnić, George, i dokładnie wie, jak to zrobić.

- Co to jest NAFTA? - spytałem.

35

- Błąd - odparł dziadek. Przez chwilę szukał stosownych słów. - Za miary były dobre, ale to nadal błąd. Niedoskonały dokument, owoc układu zbiorowego, kompromis. Kom-pro-mis. Coś, o czym ten sukinsyn Nader nie ma bladego pojęcia. - Dziadek uniósł róg zasłony. - Mam już powyżej uszu niebieskich samochodów - dodał.

* * *

Podczas wieczornej jazdy z domu dziadków poczułem, jak tylne koło zarzuca nagle. Zjechałem na pobocze i zobaczyłem, że mam kapeć. Mając do wyboru telefon do doktora Vica, by mnie zabrał, i wizytę w klinice, skąd matka mogła mnie zawieźć na stację benzynową, postawiłem na Emmę. Wolno pokonałem niecały kilometr dzielący mnie od ośrodka mieszczącego klinikę Towarzystwa Planowania Rodziny i parę innych gabinetów lekarskich.

Nie przewidziałem jednego: tego, że UPB znów zaatakują.

Matka stała przed budynkiem z butelką rozpuszczalnika i drapaczką, zdzierając spreparowane zdjęcie pokaleczonego płodu przyklejone do szklanych drzwi. Płód sprawiał wrażenie nie tyle usuniętego, ile ugotowanego w mikrofalówce, a potem zanurzonego w czerwonym wosku. Do tego nie przypominał wcale dziecka, raczej lalkę.

Zahamowałem przy krawężniku, a matka pokręciła głową. Pasemka włosów przylepiły jej się do czoła i policzków.

- Zjawiłeś się w samą porę, George - oznajmił Charlie Birdsong, szef

ochrony kliniki, który siedział nagi do pasa na odwróconym kubku po farbie i przeglądał nowy numer „Elle Girl”. - UPB znów bawili się Photoshopem, a tym razem jako kleju użyli wyjątkowo odpornego ścierniwa.

Matka przytaknęła, wzdychając ze znużeniem i kilka razy tłukąc głową w oklejone plakatami drzwi.

UPB to skrót oznaczający Ulubione Palanty Boże, którym to mianem moja matka określała grupę ewangelików żyjących w zamkniętej wspólnocie na wzgórzach, na północ od Amberson. Od czasu do czasu widywałem ich w mieście, w supermarkecie bądź Klubie Sama. Kobiety UPB miały zazwyczaj błyszczące oczy i poruszały się szybko jak wiewiórki, patrząc wyzywająco i popychając przed sobą wózki z olbrzymimi pakami najtańszego papieru toaletowego; typowy mężczyzna UPB miał zawsze ponurą minę, tłuste włosy i często ubierał się w koszulki, które można kupić za dolara na stacjach benzynowych, ozdobione „artystycznymi” podobiznami wilków bądź karibu. Ci dobrzy chrześcijanie zarabiali na życie, sprzedając wiadra robaków turystom wędkarzom. Poza tym trzymali się z boku.

Niestety, istniał jeden wyjątek: klinika mojej matki. Do niedawna ograniczali się do organizowania konwencjonalnych - choć bardzo entuzjastycznych - pikiet przed budynkiem, podczas których z głośników zarzewiałego niebieskiego minivana puszczały chrześcijańskiego rocka i przez megafon przemawiali do ciężarnych kobiet, prowadzonych przez parking pod osłoną grupki ochotników.

36

Jedna z harpii UPB zasłynęła wrzaskami: „Porzucicie swe rozpustne życie, ładaczniczo, i wróćcie na łono Pana!”. Tupnęła przy tym głośno w dach minivana.

Niedawno jednak UPB odkryli potęgę Photoshopa i zaczęli tworzyć olbrzymie plakaty przedstawiające poszarpane płody - takie jak ten zdobiący obecnie szklane drzwi kliniki. Podczas nocnych partyzanckich wypadów przyklejali je do szyb przemysłowym klejem epoksydowym. Najwyraźniej wandalizm przeżywał w miasteczku swój renesans.

(Po pierwszym ataku na tablicę dziadka matka zauważyła, że wandalizm pasuje do zachowań UPB.

- Nie - odparł dziadek po chwili namysłu. - To ten cholerny gazy ciar. Świrnięci kopacze robaków mają misję od Boga, są ponad polityką.

Nie istniał powód, by sądzić, że UPB pobierali nauki u Stevena Su-gara - bądź vice versa - ale gdyby kiedykolwiek złączyli siły, trudno orzec, jakie szkody mogliby wyrządzić).

* * *

Co to jest NAFTA? - spytałem matkę. Po kwadransie przeglądania „Elle Girl” z Charliem moje myśli zaczęły wędrować.

Matka cofnęła się od drzwi i wzięła ode mnie notes.

Serio? Wtarła spocone dłonie w rękaw mojej koszulki.

Cofnąłem się szybko i niecierpliwie postukałem palcem w pytanie. *Co to jest NAFTA?*

Dmuchięciem odrzuciła z oczu wilgotny kosmyk i spojrzała na zegarek. Twarz miała zarumienioną z wysiłku, plakat wisiał na szybie w strzępach. Pokręciła głową. *Spytaj Charliego; chcę skończyć z tym zardzięniętym dzieckiem poczętym i zdążyć do domu na dziennik.*

- Charlie, co to jest NAFTA?

Charlie, beznamiętny Indianin o ziemistej cerze, umiał nie rzucić się w oczy jak rzadko który człowiek z bronią; zwykle pełnił straż przy bramie i podczytywał zabrane z holu kobiece pisma. Na kolbie jego pistoletu wciąż było można dostrzec nalepkę z ceną- 241,99 dolara.

Teraz odezwał się, nie podnosząc wzroku znad „Elle Girl”.

- NAFTA. W porządku. Kiedyś pracowałem w fabryce obuwia. Pełne ubezpieczenie zdrowotne, osiemnaście pięćdziesiąt za godzinę, wakacje i miejsca parkingowe przydzielane zależnie od stażu pracy. Teraz jakiś biedny siuras z Gwatemali zasuwa w nowej fabryce mojej starej firmy za najwyższą doliczającą za godzinę. A ja tymczasem pracuję tutaj, wciąż jestem oskarżany o morderstwa przez białych ludzi, dostaję dziesięć dolarów za godzinę i muszę dorabiać weekendami w dziale meblowym w Filene, by związać koniec z końcem. Miejsc parkingowych jest mnóstwo, ale musiałem sprzedać samochód. Jeżdżę autobusem.

- A związki? - wtrąciłem.
- Charlie parsknął śmiechem.
- Związki? Clinton był przecież demokratą, prawda?

37

Rozważałem przez chwilę jego słowa; drapaczka matki przesuwiała się po szkle z odgłosem, jaki wydaje zgrzytająca o kamień łopata. Charlie westchnął i obrócił kartkę. - Mówię ci, ciężkie jest życie grubej dziewczyny.

* * *

Matka podrzuciła mnie do Citgo, gdzie jakiś czas pompowałem dętkę. Przez podrapane okno widziałem lodówkę pełną styropianowych kubków z robakami UPB. Na każdej etykietce widniał niewielki, ręcznie wymalowany złoty krzyżyk oraz obietnica, że to „Tłuste robaki! Nie ma tłuszczych!”.

Zatrąbił samochód, odwróciłem się i ujrzałem Gila ł panią Desjardins w ich land-roverze. Pomachali do mnie. Podprowadziłem rower od strony kierowcy - Gila - a on opuścił szybę.

- Dzień dobry, ogierze. - Pani Desjardins pochyliła się i posłała mi całusa.
- Jest już wieczór, Lano.
- Dobry wieczór, ogierze. - Pani Desjardins uśmiechnęła się do mnie. Ubrana była w błyszczącą suknię koktajlową. Jej szminka miała barwę radioaktywnej zieleni.
- Jak leci, mały? - Gil miał na sobie jedwabną czarną pidżamę.
- Świetnie - odparłem. - Tyle że nie do końca rozumiem, o co chodzi z tą NAFTA.

Przyjął to spokojnie.

- Dobra. Skocz na stację, kup mi mrożoną colę, żelki, słoik żelu na wilżającego i opakowanie naproxenu. - Wyciągnął z kieszeni banknot dwudziestodolarowy. - Potem możesz zatrzymać sobie resztę, a ja po wiem ci wszystko, co musisz wiedzieć o NAFTA.

Sprzedawca przyjrzał mi się sceptycznie i podliczył zakupy.

- Ile masz lat, mały? - spytał. Miał jakieś dwadzieścia lat, ubierał się w stylu gotyckim, w obu nozdrzach miał kolczyki, a na jabłku Adama wytatuował widły.
- Słucham?
- Nieważne. - Spakował wszystko do papierowej torby i kazał mi zjeżdżać.

Na parkingu podałem Gilowi torbę przez okno, a on przekazał ją żonie.

- Miałeś jakieś problemy z hrabią Draculą?
- Nie - odparłem, nie chcąc do tego wracać.
- No to w porządku - rzekł Gil. - NAFTA?

Skinąłem głową w milczeniu.

- Tak między nami?
- Jasne.
- Zaraz zatkam uszy - dodała pani Desjardins.

- Jedyne, co musisz wiedzieć o NAFTA, mój chłopcze, to fakt, iż była nieunikniona. Twój dziadek powie ci, że to kompromis, ja mówię, że

38

to oznaka erozji. - Oczy Gila otaczała siateczka zmarszczek. Nagle pomyślałem, że za parę miesięcy, najwyżej rok, będę patrzył na niego z góry, a on będzie leżał na aksamitnej poduszce z rękami złożonymi na piersi. - Lobbyści przez pięćdziesiąt lat przygotowywali grunt. Środek w sensie politycznym już nie trzymał, George. Demokraci, republikanie, to nie ma znaczenia. Pieniądze potrzebują pieniędzy. Skinąłem głową.

- Rozumiesz? - zapytał.
- Niespecjalnie.

Gil zachichotał i zaczął się bawić najwyższym guzikiem swojej czarnej pidżamy.

- To jak gra w trzy karty. Politycy mówią, że chodzi o swobodę handlu. Bzdura, cały czas chodzi o tanią siłę roboczą. Podobnie jak wszystkie inne deregulacje w tym kraju, NAFTA stanowiła kolejny sposób rozdymania zysków korporacji pod auspicjami „amerykańskiego stylu życia”. Gore zgodził się na to jak cała reszta. Korporacyjne przydupasy, hipokryci - wszyscy wyciągali tylko ręce i zamykali oczy. Tak właśnie wygląda system. Gore, Bush, obaj są jego częścią, obaj podążają tą samą drogą. Wrzucić im monetę w plecy, a będą biec cały dzień... Henry kompletnie go lekceważy, ale istniał tylko jeden kandydat, który nie należał do systemu. - Mrugnął do mnie. - Czyli wielki Ralph.

- Wielki Ralph - powtórzyła pani Desjardins i zaśmiała się dźwięcznie. - Ojejku.

* * *

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień to babcia opuszczająca igłę na podrapaną płytę Phila Ochsa na siedemdziesiąt osiem obrotów, jego gitara wygrywająca melodię jednocześnie głęboką i dziwnie splaszczoną, jakby dźwięk dobiegał z dziury w ziemi i głos śpiewający:

*Śnił mi się wczoraj Joe Hill sam
Żywy jak każdy człek.
Więc mówię: Joe, tyś przecież trup.
Ja żyję, na to rzeki,
Ja żyję, na to rzeki.*

Wspomnienie to kojarzyło się z niewymagającymi pieczenia ciasteczkami, które robiła, i Nowym Testamentem, na którym uczyłem się czytać. Na stronie tytułowej cienkiej niebieskiej książeczki widniał dopisany pochyłym pismem babci miniaturowy nawias.

NOWY TESTAMENT
PANA NASZEGO JEZUSA CHRYSZTUSA (*ur. w Betlejem*)

39

- Nieważne, czy wierzysz w Boga, Georgie, mój skarbie - powiedziała kiedyś babcia, wycierając mokrą ścierką moją umazaną czekoladą brodę. (Tylko ona mogła nazywać mnie Georgie i przeżyć). - Ważne jednak, byś zrozumiał, że Jezus był prawdziwym człowiekiem. Ważne, byś pojął, że był dokładnie takim typem człowieka, jakiego dzisiejsi tak zwani chrześcijanie zakuliby w dyby, nazywając agitatorem i komunistą. Zabili go, bo był wyszczekany liberałem.

W ostatnich tygodniach życia babcia się nie nawróciła, nie prosiła o wsparcie duchowe. Choć raz po tym, jak doktor Vic podał jej dużą dawkę morfiny, zaczęła komentować ferrotyp przedstawiający Jezusa wiszący na ścianie pomiędzy czarno-białymi zdjęciami Emmy Goldberg i Josepha Hillstroma. Dziadek siedział przy łóżku, trzymając ją za rękę.

- Kiedy szpikują mnie lekami, Jezus robi się taki mały, Henry. Mam wrażenie, że lada moment zupełnie zniknie.

Dziadek tylko coś mruknął.

- Wtedy na środku ściany pozostanie białe miejsce. I co my zrobimy, Henry?

Dziadek uśmiechnął się z ulgą, jakby rozważył już podobny scenariusz i przewidział, że Jezus któregoś dnia może zniknąć, pozostawiając po sobie puste miejsce.

- Gore. Co ty na to, Geraldine? Moglibyśmy powiesić tam ładny portret Ala Gore'a.

W tym momencie oczy staruszki pojaśniały i przez moment znów stała się kobietą, która grała ze mną w piłkę

na podwórku, gdy byłem mały, brała rozpęd i posyłała podania wprost w moją rękawicę. Kobieta, która krzyczała: „Czy to mój wnuk z diabelskim palcem?!”, gdy odbierałem telefon. Kobieta, która siedziała u boku mojego dziadka, żądając, by przydupasy z biura korporacji przyznali robotnikom to, co im się należy, bo w przeciwnym razie cały zarząd będzie mógł rozstawić sobie leżaki i patrzeć, jak gołębie srają na stojący w suchym doku szkielet lotniskowca, aż stanie się zupełnie biały.

Babcia uściśnęła dłoń dziadka i spojrzała mi w oczy, uśmiechając się kpiąco.

- Myślisz, że znaczy to, iż Al Gore zmarł za nasze grzechy, skarbie?

* * *

I tak właśnie zdjęcie Ala Gore'a zajęło honorowe miejsce Jezusa po lewicy Josepha Hillstroma, a Syn Boży został relegowany do kąta nad włącznikiem światła.

Następnego dnia, siedząc przy karabinie obok wyciągniętego na łożku dziadka, kontemlowałem osobliwe zestawienie eleganckiego polityka w granatowym garniturze i skazańca o ostrych rysach, w wysokim kołnierzyku.

40

Jeśli uważasz, że Al Gore wycofałby nas z NAFTA, przejdź do strony 32. Jeśli sądzisz, że Joseph Hillstrom zjadłby Ala Gore'a na śniadanie, przejdź do strony 44.

Odwrociłem wzrok, uniosłem rąbek pomarańczowej zasłony. Na dworze nic się nie poruszało prócz samotnej wiewiórki, metodycznie rozłupującej żołądź w cieniu żywopłotu. Zza zakrętu wyłoniła się błyszcząca niebieska półciężarówka i zniknęła kilka metrów dalej, przesłonięta skosem dachu dziadków. Opuściłem zasłonę, z łożka dobiegał płytki oddech dziadka.

• Dziadku? - zagadnąłem. Nie odpowiedział, spał. Może i lepiej. Chciałem go o coś spytać, powiedzieć to głośno, wypróbować. Ręce ułożył na podolku. - Czy nie wydaje ci się, że... Joseph Hillstrom... Kiedy weźmie się pod uwagę pistolet, ranę postrzałową i tajemniczą kobietę... Czy nie sądzisz, że on...

• Nie. - Głos dziadka zabrzmiał twardo, wyraźnie, tuż za moim uchem. Podskoczyłem.

-Nie?

- Podejrzenie to nie dowód, George. Podejrzenie nigdy nie stanowi dowodu. Podejrzenie pozwala im widzieć rzeczy takie, jakie chcą je zobaczyć. To pretekst pozwalający przejść do ataku. Używają go szefowie i policjanci, używają go prezydenci. I nic nie znaczy.

Jego dłonie wciąż spoczywały na klamrze f>asa, oczy miał zamknięte.

W takim razie co ze Stevenem Sugarem? Co masz na niego prócz podejrzania? - napisałem w moim notatniku. Jeśli lato pełne korespondencji nauczyło mnie czegoś, to tego, że łatwiej się wymądrzać, jeśli nie trzeba mówić tego głośno.

Uniosłem zasłonę i ujrzałem wyjeżdżający zza zakrętu jasnoblękitny wóz sportowy.

- Miałaś rację co do niebieskich samochodów - powiedziałem, wydzierając kartkę i chowając zgniecioną do kieszeni.

* * *

Później tego samego popołudnia zamieniliśmy się miejscami i zasnąłem na łożku. Obudził mnie huk przypominający wystrzał korka od szampana i przekleństwo dziadka.

- Do diabła!

Pobiegliśmy na dół.

Na trawie leżała wiewiórka podrygująca w kałuży czerwonej farby. Kulka trafiła ją w głowę. Zwierzątko miało szyję wykręconą upiornie na podobieństwo korkociągu. Nóżkami podrygiwało, pływając w farbie, jakby próbowało wykopać się skądś, z piasku bądź błota, lecz cały czas zapadało się z powrotem.

Dziadek rozgarnął dłonią włosy.

- Dostrzegłem ją kątem oka, George. To był... odruch.

41

Wiewiórka znieruchomiała. Nieco później wykopałem jej w ogrodzie grób łopatą babci. Gil przykuśtykał z puszką po miętówkach, skręcił jo-inta, ale dziadek podziękował.

- Gównianie się czuję, Gil. Wiewiórka, na Boga!
- Dawniej w Wietnamie nazywano to przypadkową ofiarą.
- Zgadza się - wtrąciłem; doskonale znałem ten koncept.
- Cholera - rzucił dziadek. - Cholera, cholera, cholera!

Gil odpalił jointa. W zapadającym zmroku ostra woń marihuany zmieszała się z głębokim, zielonym zapachem letnich drzew, tworząc woń kojarzącą się z wesołym miasteczkiem, jednocześnie słodką i ciężką od potu.

Dziadek postukał poruszoną ziemię czubkiem buta, pokręcił głową. Obracał ją niemal cały czas, odkąd znaleźliśmy zbryzgane farbą ciało.

• W końcu nie zastrzeliłeś przecież prezydenta, Henry, to tylko wieiórka - przypomniał Gil.

• Farsa, ot co - powiedział dziadek. Wrócił do domu, zatraskując drzwi za sobą.

Gil spojrział na mnie, unosząc brwi, oparł się o balkonik i ofiarował mi dymiącego jointa.

- Sztachniesz się?

Odmówiłem. Owszem, byłem ciekaw i nieprzesadnie się bałem, ale jakoś nigdy nie pociągały mnie narkotyki.

• Gdy członkowie mojej rodziny są na haju, trafiają do aresztu albo zachodzą w ciążę w wieku osiemnastu lat.

• Albo zabijają wiewiórki - dodał Gil i mrugnął do mnie, zaciągając się mocno skrętem.

Kiedy wychodziłem, dziadek siedział w łazience. Głośno wydmuchiwał nos, z kranu leciała woda.

Następnego ranka ruszyliśmy na rekonesans buickiem dziadka. Gil prowadził skylarka, krążąc powoli dziesiątkami uliczek północnej dzielnicy Amberson. Ja siedziałem z przodu, pilnując, by nie zasnął. Dziadek przyczaił się z tyłu z karabinem ukrytym na podłodze pod kocem; miał nadzieję, że uda nam się zaskoczyć Stevena Sugara i pokonać go w jego własnej grze.

Misje te podejmowaliśmy przedpołudniami, gdy doskonale utrzymane domy były albo puste - właściciele pojechali do pracy - albo też zamknięte w obronie przed upałem. Kilka zraszczy wyrzucało w powietrze strugi wody, a na trawniku miejscowego ekscentryka rząd wielobarwnych wiatraczków wirował w słabych powiewach wiatru. Poza tym jedynym ruchomym elementem było powietrze drgające z gorąca nad powierzchnią szosy.

- Henry, zdajesz sobie sprawę z tego, że zamieniliśmy się w niezadowoloną z życia czarną młodzież, uzbrojonych członków gangu, którzy krążą po ulicach w poszukiwaniu wrogów? Nie da się uniknąć tego porównania - zauważył Gil, okrążając dom z wiatraczkami.

42

Minął już ponad tydzień, odkąd Steven Sugar wypisał różowym sprayem na twarzy Ala Gore'a KOMUNISTYCZNY GÓWNOJAD. Jak dotąd była to najdłuższa przerwa między atakami. Upalny lipiec przeszedł w sierpień. Miniaturowe wiatraczki obracały się, rzucając na drogę snopy wielobarwnych iskier.

- Nie żebyś się skarżył - dodał Gil. - W sumie chętnie bym był nie zadowolonym młodym Murzynem. - Mrugnął do mnie porozumiewawczo przekrwionym okiem.

Dziadek wyjął ze stojącej na kolanach puszkę orzeszek i wsunął go sobie do ust. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne z rodzaju tych, które dają pacjentom u optyka, by chronić rozszerzone źrenice: półprzejrzyste pomarańczowe kwadraty.

Gilowi zatrzepotały powieki, głowa mu opadła, auto skręciło w lewo. Potrząsnąłem jego ramieniem i wyprostował się szybko.

• No wiesz, Henry, tak jak w rapie. Compton i South Central. Long Beach.

• Strzały z przejeżdżającego wozu - wtrąciłem.

- Stara szkoła - dodał Gil.
- To nie to samo - oznajmił dziadek, gdy w końcu zdołał się opanować.
- Nie?
- Nie zamierzamy zabić tego gówniarza, na tym polega różnica. Chcemy tylko przekazać mu wiadomość.
- Metody są te same. To zamach, Henry.
- Nieprawda. - Dziadek kilka razy tupnął mocno nogą. - To nie to samo.

Minęliśmy park wielkości *znaczka* pocztowego: słup do gry w odbijaną piłkę (bez piłki), zjeżdżalnia, parę ławek i drzew. W trawie leżał na brzuchu przegowany kot, czekał na nieostrożnego gołębia.

- Kiedy byłem działaczem... - zaczął dziadek, a ja musiałem szybko spuścić wzrok, by ukryć uśmiech. Tekst ten stanowił jedno z ulubionych otwarć mojej matki, nasz rodzinny odpowiednik klasycznego: „Gdy byłem mały, musiałem chodzić piechotą do szkoły...”.

Jeśli uskarżałem się na zbyt niskie ciśnienie w prysznicu w ostatnim wynajętym mieszkaniu, matka mówiła z godną miną, starając się naśladować niski głos dziadka: „Kiedy byłem działaczem, uważaliśmy się za szczęściarzy, jeśli od czasu do czasu bandziory z firmy zechciały wypuścić nas z klatki, żebyśmy mogli się wykąpać na deszczu”.

Uśmiech wciąż wyginał mi usta, gdy uniosłem wzrok i dostrzegłem dziadka w lusterku. Przez ułamek sekundy odbite światło sprawiło, że tanie okulary stały się przezroczyste, i ujrzałem wpatrzone we mnie oczy dziadka. Szybko odwróciłem wzrok. Skręciliśmy w prawo w ulicę identyczną jak poprzednie, z identycznymi domami, trawnikami i chodnikami.

- Nigdy nie przegraliśmy żadnej walki - podjął. - Bo wiedzieliśmy, że to walka. Gdy jakiś śmieć przekroczył linię, to jakby kopnął w twarz dziecko któregoś z nas, zdarł ubranie z żony innego, spalił mu dom. Oto

43

na czym polega pieprzona walka. - Ponownie tupnął i tym razem okulary od optyka zsunęły mu się z nosa i poleciały na ziemię.

Przez kilka sekund macał, szukając ich na oślep. W końcu usłyszałem stuk plastiku i tryumfalny pomruk. Dziadek wyprostował się i gdy zerknąłem w lusterko, przekonałem się, że znów włożył okulary, lecz cienkie pomarańczowe soczewki przekrzywiły się, jakby ktoś rąbnął go pięścią. Przez kilka chwil siedział, dysząc ciężko.

— Dam wam przykład — rzekł dziwnie spokojnie, a potem opowiedział nam historię Toma Hellwega.

* * *

Mój dziadek, Henry McGlaughlin, dorastał z Tomem Hellwegiem w Bangor, mieście w południowej części stanu. Mieszkali przy tej samej ulicy i pewnego razu obaj złamali nogi. Mieli trzynaście lat, dwa lata mniej niż ja teraz. Zdarzyło się to w wypadku saneczkowym na wzgórzu przy Drummond Street. Drummond, najbardziej stroma ulica w mieście, wspinała się od brzegu rzeki Penobscot aż po wyniosłe wzgórza, na których w dziewiętnastym wieku baronowie drzewni wznosili swoje posiadłości za fortuny zarobione na krwi i pocie niezorganizowanych drwali i cieśli.

I właśnie w jednej z tych wiktoriańskich budowli - która podobnie jak wiele innych rezydencji z zeszłego wieku została do tego czasu zamieniona w barokowy, niemożliwy do ogrzania dom z mieszkaniem do wynajęcia - pół wieku po tym, jak ostatnia tratwa spłynęła z nurtem Penobscot, poznali się dwaj chłopcy.

Tom i Henry tworzyli dobraną parę kolegów, choćby z powodu swych ojców, czy raczej ich braku. Tom stracił swojego w błotach Amiens. W ogóle go nie znał; został mu po nim tylko samotny kamasz odesłany do domu i ustawiony na honorowym miejscu na obudowie kominka, tuż pod krzyżem. Ojciec Henry'ego nie umarł, ale stracił nogę w wypadku w młockarni i całe dni spędzał na stołku w barze Whig & Courier, sącząc bez słowa czarne piwo i opierając kikut o sąsiedni stół, by zniechęcić potencjalnych rozmówców.

Tom i Henry chodzili razem do szkoły, razem grali w piłkę, łapali ryby i sporządzali listy rzeczy, które kupią za pieniądze zdobyte we wspólnych napadach na banki; systemem bloczków i linek przesyłali sobie wiadomości między oknem Toma na pierwszym piętrze i oknem Henry'ego na parterze. A kiedy pewnego razu napełnili kamasz żonkilami i baziami, pani Hellweg po powrocie do domu wysłała ich razem na podwórko, by wycieli dla

siebie różgi.

Innymi słowy byli dokładnie takimi chłopcami - takimi przyjaciółmi - którzy patrząc w niedzielny lutowy ranek na wielki tor lodowy Drummond Street, stwierdzili, że to wcale nie ulica, lecz olbrzymi, czarny błyszczący język, który drwi z nich niczym szkolny łobuz.

W zamarzającym deszczu ciągnęli za sobą dwuosobowe sanki chodnikiem aż na szczyt wzgórza. Drogę pokrywała ponadcentymetrowa

44

warstwa czarnego lodu, odbijająca w migotliwej powierzchni domy aż do Yalley Avenue.

Przez minutę siedzieli bez ruchu, z dłońmi opartymi o ziemię obok płóz, chłonąc oczami ostry spadek. Od brzegu dzielił ich kilometr, może dwa, może dziesięć; u podnóża wzgórza sto metrów poza końcem ulicy rzeka Penobscot przepływała pomiędzy zaśnieżonymi brzegami. Ciemny nurt niósł podskakujące kawałki kry.

- Wiesz, tak właśnie mój tato naprawdę stracił nogę - oznajmił Henry i poklepał ostrą płożę sanek.

Tom odwrócił się, by na niego spojrzeć.

- Obcięło ją czysto, tuż pod kolanem - mówił dalej Henry.

Tom zagryzł wargę, podrapał się po czole.

Henry zachichotał.

- Ty draniu! - warknął Tom i pchnął sanki.

Henry z całych sił trzymał się Toma w pasie. Spodziewał się uderzenia powietrza, gdy sanki przyspieszą nagle na pierwszych kilku metrach, ale nie czegoś takiego. Sanki w rozpędzie odpadły od płóz i pomknęły w dół. Otworzył usta w krzyku i gdy poleciał do przodu, wbił zęby w tył głowy Toma. Ciemna zieleń sosen rozmyła się pod szarym niebem. W ustach czuł smak włosów przyjaciela, potu i krwi. Wiatr szarpał ich ubrania, jego kurtka wydeła się jak balon; leciał.

Na dole, w zaspie ponad trzydzieści metrów za skrzyżowaniem Drummond i Yalley, zatrzymali się w końcu pośród stosu desek. Tom miał nienaturalnie wygiętą prawą nogę, Henry lewą. Na śnieg bryznęła krew. Lodowata mżawka padała na odsłonięte głowy chłopców, którym wiatr porwał, a może nawet połknął czapki.

- Byliśmy półtora kilometra od domu, na mrozie i obaj mieliśmy ta kie samo złamanie, czyste pęknięcie piszczeli. Czy bolało? Jak diabli.

- Dziadek spojrzał na mnie w lusterku i otworzył usta, wskazując palcem odbarwiony kiel. - No i to. Straciłem ząb, pozostał wbity w tył jego głowy. Myślisz, że to nie bolało?

A jakie były pierwsze słowa Toma?

• Zdołamy złożyć sanki do kupy? Niedługo pogoda się zmieni.

• Wątpię, żeby udało się je złożyć, ale możemy od kogoś pożyczyć

- odparł Henry.

A potem obaj chłopcy oparli się o siebie, dzieląc się nogami, prawą Henry'ego i lewą Toma i podskakując, powoli ruszyli do domu.

- Oto jak wiele łączyło mnie z tym sukinsynem Tomem Hellwegiem.

* * *

Tak wiele, że gdy dwadzieścia lat po tym, jak rodzina Toma Hellwega przeniosła się do New Hampshire i Henry widział go po raz ostatni, ten pierwszy stanął pewnego ranka na progu tego drugiego i poprosił o pracę, Henry nawet się nie zawahał.

- Na miłość boską, Tom, nałóż kapelusz. Spóźnimy się do roboty.

45

Nim dzień dobiegł końca, Tom Hellweg dostał pełen etat w lakierni, a nim zadzwieczał dzwonek na fajrant, grupka mających wolne mężczyzn zdążyła już wprowadzić jego żonę i trójkę dzieci do mieszkania w kamienicy.

Kwestia kryminalnej przeszłości przyjaciela - odsiedział osiem miesięcy w więzieniu za oszustwo telefoniczne, w ramach którego namawiał imigrantów z Quebecu, by przesyłali pieniądze swym ciężko chorym *meres* w ojczyźnie - nie stanowiła przeszkody dla Henry'ego McGlaugh-lina, mimo iż największy związek zawodowy w Maine nie akceptował takich członków. Henry wierzył w drugą szansę, a Tom Hellweg był przyja-

celem, z którym po wypadku dowlekli się do domu wspólnymi siłami. Henry absolutnie nie chciał wziąć pod uwagę, iż ów Tom wyrósł na zylastego, ciemnookiego drania, zdolnego wyciągać pieniądze z ludzi tak biednych, że robili sobie buty z ziemniaków. Nie zniechęcił go także fakt, że jego stary przyjaciel był nie tylko najwolniejszym robotnikiem w warsztacie, ale też rytualnie malował słowo CIPA na każdej desce i metalowej płycie trafiającej pod jego pędzel, a dopiero potem wypełniał farbą resztę. Henry wolał także nie dostrzegać picia Toma, jego zwyczaju siedzenia z boku podczas przerwy na lunch. I choć z trudem, nie odezwał się nawet słowem, gdy ktoś mu powiedział, że dzieci Hellwegów zbierają z rynsztoków garście niedopałków i zanoszą ojcu do domu. Niektórzy ludzie pili, inni lubili jadać sami, jeszcze inni na swój własny sposób wychowywali dzieci.

A Tom był jego przyjacielem, do diabła. To coś, czego się nie zapomina. Podstawa. Zrąb przyzwoitości.

- Na tym właśnie polegał związek - dodał dziadek.

Gil odchrząknął.

Dziadek przeszkodził mu, nim sąsiad zdążył się odezwać.

- Ani słowa. Jedź dalej.

Po kilku miesiącach pojawił się następny problem i Henry nie mógł go już zignorować. Otrzymał raport, że przy dwóch różnych okazjach, za każdym razem dobrze po północy, Tom z niewinną miną prosił innych robotników, by podrzucili go z miejscowego baru do warsztatu hydraulicznego na terenie stalowni, gdyż chciał zobaczyć, „jak to działa”. Bo widzicie, twierdził, sam zamierza urządzić niewielki domowy warsztat i zastanawia się, jak to zrobić najlepiej.

Raporty pasowały do innych raportów pochodzących od brygadzysty z porannej zmiany w warsztacie hydraulicznym, który znalazł rozrzucone narzędzia i ślady spawania po godzinach.

- Na co to według ciebie wygląda, Gerry? - spytał żonę Henry, nie podnosząc wzroku znad stołu.

- Na doszkalanie - odparła Geraldine McGlaughlin, po czym poszła do barku, wyciągnęła butelkę i napełniła dwie szklaneczki.

46

Działo się to w czasie, gdy Local 219, podobnie jak wszystkie inne związki w kraju, walczył o utrzymanie się na powierzchni po przyjęciu aktu Tafta-Hartleya. Akt ów po pięćdziesięciu latach walki i postępu miał pokazać całemu ruchowi, że czasy Franklina Delano Roosevelta minęły bezpowrotnie, a ludzie, którzy odziedziczyli rodzinne monopole, odzyskali władzę - i prowadzą na postronku odporny na weto Kongres. Deregulacje Tafta-Hartleya w imię swobody handlu usunęły z ruchu komunistów, ograniczyły prawo związków do strajku i przede wszystkim podminowały rosnące wpływy zorganizowanego ruchu robotniczego wśród kadr kierowniczych średniego szczebla.

Akt Tafta-Hartleya sugerował, że pospółstwo może się organizować, ale nie ma mowy, by podobne pomysły przychodziły też do głowy reszcie społeczeństwa, ludziom w garniturach pracującym przy biurkach. To niedopuszczalne.

I właśnie te ostatnie przepisy miały utrzymać Local 219 w kompletnej nieświadomości co do nocnej aktywności w warsztatach, bo określona w akcie grupa białych kołnierzyków z całą pewnością obejmowała wszystkich brygadzystów stalowni Amberson, miejscowych reprezentantów wysyłających raporty do Nowego Jorku. Tyle że...

Tyle że tuż po przyjęciu Tafta-Hartleya Henry McGlaughlin znacznie szybciej niż większość się zorientował, co się święci, i podjął działania zapobiegawcze. Innymi słowy, mając na celu interesy swoich wyborców, zaczął natychmiast przekazywać wybranej grupie brygadzystów ze stalowni comiesięczny dowód uznania związku - bardzo skromne łapówki. Prócz owych subsydiów pieniężnych w 1952 roku ludzie owi zapewne przykładali jeszcze jakąś wagę do faktu, że Henry był kimś takim samym jak oni, mieszkającym w takim samym domu, a nie w apartamencie w Nowym Jorku o trzymetrowych oknach wychodzących na Central Park i łazience ze złotą miską do podmywania tyłka.

Czy też, jak ujmowała to Gerry, odwiedzając żony owych kierowników w każdy trzeci poniedziałek miesiąca, by wręczyć im nowiutkie dzie-sięciodolarowe banknoty zapewniające lojalność ich mężów, „Wiesz chyba, że wszyscy siedzimy w tej samej łodzi, skarbie”.

Mimo wszystko podczas gdy Local 219 sprzeciwiał się przepisom wynikającym z aktu Tafta-Hartleya i domagał nowych gwarancji bezpieczeństwa i pełnych pakietów socjalnych dla dziesiątków pracowników

niepełnoetatowych, Henry McGlaughlin martwił się; „Lewiston Sun--Times” donosił, iż wedle kilku anonimowych źródeł czeka ich nieunikniony lokaut.

„My [zarząd firmy] nie lubimy tych ludzi [Local 219]”, twierdzi jeden z anonimowych informatorów. „Wpojono im [robotnikom] nadmierne poczucie własnej ważności, a to szkodzi i im [robotnikom], i interesom. Nie prowadzimy tu firmy socjalistycznej. Zamierzamy wzmocnić hierarchię służbową, potrzebujemy robotników, którzy chcą pracować. Nie po-

47

trebujemy natomiast krzykaczy, czerwonych i innych elementów niepożądanych, które związki chronią pod swymi skrzydłami”.

W świetle tych wydarzeń nieautoryzowane nocne wizyty Toma Hellwega w warsztacie hydraulicznym nabierały wyjątkowo podejrzanego charakteru. Powszechnie wiadomo, że firmy szykujące się do zwolnień doszkalały robotników, przygotowując ich do zastąpienia innych wykwalifikowanych pracowników, tak by w razie nagłych zwolnień produkcja nie ucierpiała. Problem oczywiście polega na tym, że choć produkcja nie ucierpi, zdecydowanie się tego nie da powiedzieć o ludziach, którzy tracą pracę, i rodzinach owych ludzi.

* * *

Po drugiej wypitej z żoną szklaneczkę, tym razem z kostką lodu, Henry McGlaughlin ruszył na poszukiwanie swojego starego przyjaciela Toma Hellwega. Poszedł spytać Toma - niegdyś chłopca, z którym razem poskromił szaleńczy tor Drummond Street, chłopca, z którym o wspólnych siłach dowlekli się do domu po wypadku - co się dzieje.

Czy też, jak to ujął Henry McGlaughlin:

- Co ty, kurwa, kombinujesz, Tommy?

Tom stał na swym stanowisku w lakierni. Przyglądał się Henry'emu spod opuszczonych powiek z krokodylim uśmiechem mówiącym, że krokodyl by cię pożarł, gdyby tylko posiłek był nieco obfitszy, bo tak nie ma się co wysilać. Tom wypluł na podłogę niedopałek papierosa, zapewne jeden z tych, które jego dzieci wyciągnęły z rynsztoka, by mógł zaciągnąć się jeszcze trzy razy.

- No gadaj, Tommy - rzucił Henry. - Zadałem ci pytanie.

Tom skupił się z powrotem na metalowej płycie, którą spryskiwał właśnie czerwoną farbą przemysłową. Powoli nakreślił na niej słowo HENRY. Następnie w tym samym miejscu wypisał słowo CIPA.

- Nie - odparł głośno. - To ja zadaję panu pytanie, panie McGlaughlin. Co pan właściwie robi, do kurwy nędzy?

A potem stary przyjaciel wyciągnął z kieszeni kolejny brudny niedopałek, zapalił go, odwrócił się plecami do swego przedstawiciela związkowego i wrócił do pracy.

* * *

Stąd łatwo już przyszło odsłonić spisek w całej jego podłej prostocie, uważanej za standardową praktykę pośród szacownych członków zarządu z Nowego Jorku i Waszyngtonu, których wiedza na temat stalowni Amberson sięgała zaledwie trzeciej kolumny cyfr na comiesięcznym zestawieniu zysków.

Pośpieszne śledztwo wykazało, że w ostatnich tygodniach w miejscowych pubach pojawił się ktoś obcy, dżentelmen z Bostonu z papierośnicą z kości słoniowej, który stawiał w barach mnóstwo drinków. Wśród jego

48

kompanów od kieliszka znalazło się kilkunastu członków Local 219 - w tym Tom Hellweg.

Kierując się tą wskazówką, Gerry zadzwoniła do hotelu w Portland, w którym ponoć zatrzymał się nieznajomy z papierośnicą z kości słoniowej. Zniżyła głos do głębokiego barytonu i zaatakowała, nim recepcjonista zdążył się choćby przywitać.

- Mówi pan Fink, główny zarządca wschodniej filii agencji detektywistycznej Pinkertona. Muszę natychmiast rozmawiać z moim człowiekiem. Nie wiem, jakim nazwiskiem się posługuje; w naszej branży, kiedy ma się do czynienia z takimi mętami jak my, nigdy nie można być zbyt ostrożnym. Ale zarezerwował pokój na firmę i naprawdę muszę z nim po

rozmawiać. Natychmiast.

Poruszony recepcjonista szybko przerzucił karty księgi meldunkowej.

- Chodzi panu o Edgara Hallsworthy'ego w pokoju szesnastym?

A nie, przepraszam, zarezerwował pokój na rachunek agencji detektywistycznej St. Cloud...

Pan Fink nie pozwolił mu skończyć.

- Zgadza się. Jest z naszego oddziału St. Cloud. A teraz proszę połączyć mnie z nim natychmiast.

W chwilę później recepcjonista przełączył go do pokoju szesnastego, gdzie odebrał mężczyzna przemawiający z akcentem z wyższych sfer. Gerry spytała, czy to on posłał do pralni cztery koszule. Pogodny głos z wyższych sfer odparł:

- Pomyliłaś pokoje, słodziutka. Nie powierzam mojej garderoby pierwszemu lepszemu żółtkowi.

Przeprosiła i rozłączyła się.

- I co? - spytał Henry.

Gerry pokręciła głową i poszła napełnić szklanki, lecz butelka była już pusta.

Henry zaalarmował swoich brygadzystów i do końca tygodnia otrzymał kolejną serię potwierdzających jego podejrzenia raportów: wszystkie warsztaty otwierano nocami, a rano znajdowano poruszone narzędzia i sprzęt.

Przewodniczący Local 219 dodał do siebie te trzy fakty i doszedł do wniosku, że firma szykuje się do strajku, podkupując szkieletową załogę doszkolonych robotników, którzy będą mogli podtrzymywać produkcję w stalowni podczas lokautu.

- Mamy łamistrajków, mój drogi - oznajmiła Gerry.

- Zaproponowaliśmy zatem kwartalne pensje zdrajcom, którzy się ujawnią. W zamian za kolejną kwartalną pensję szczury zaczęły wydawać się nawzajem. Zrobili to wszyscy prócz tego sukinsyna Toma Hellwega. Wszyscy go wskazali, ale on do niczego się nie przyznał.

Gil prowadził skylarka z powrotem przez dzielnicę, w stronę domu z wiatraczkami na trawniku. Dochodziło południe, dziadek mówił mo-

notonnym głosem, zupełnie jakby odczytywał tę historię z dawno poczynionych zapisków. Zaryzykowałem zerknięcie w tylne lustro i przekonałem się, że skulił się w kącie tylnego siedzenia, jakby jego wątłe ciało powoli zapadało się w szczelinę między poduszkami.

- A zatem niczego nie dostał, ani grosza. Ale nie zamierzał odejść spokojnie. Wciąż kręcił się w pobliżu, wysyłał dzieci i żonę na żebry. Ko bieta niemal co wieczór pukała do naszych drzwi, prosząc o jeszcze jedną szansę - a my nic jej nie daliśmy. Spędzili tak całą zimę, aż w końcu dzieci tak wychudły, że niemal nic z nich nie zostało. Gdy wyglądaliśmy przez okno, widzieliśmy, jak wiatr popycha je ulicą. A my nic im nie daliśmy. W końcu przyszedł do nas Tom we własnej osobie. Nic mu nie daliśmy. Rozplakał się, ale to też nie miało znaczenia, bo kiedy Tom Hellweg płakał, nikt go nawet nie słyszał, ponieważ to mogły być nasze żony i nasze dzieci. Ponieważ to była walka.

Teraz wygląda to tak samo z tymi tak zwanymi chrześcijanami, którzy kierują rządem. Chcą wszystkiego dla siebie i leją na resztę świata. Dla nich nie jesteśmy nawet ludźmi. I oni też nie są ludźmi dla mnie, już nie. Tom pokazał mi to wiele lat temu, ale jak widać, niezbyt dobrze przyswoiłem sobie tę lekcję.

Koła zazgrzytały na betonie. Gil się uśmiechał. Dziadek jęknął, jego głowa opadła na oparcie. Jeszcze raz tupnęła ciężko.

- Wiesz, mam niemal wrażenie, że ten mały sukinsyn pobazgrał sprayem mnie. Jak w miniaturce widać tu żalostny stan naszego kraju. Wszyscy widzieliśmy, co się stało na Florydzie: banda małych tłustych kujonów nie chciała, by policzono głosy, więc tak długo tukała w drzwi, aż zatrzymała głosowanie. Zastraszili cały kraj. Nie możemy pozwolić,

by robili to dłużej.

Czekaliśmy na ciąg dalszy, lecz dziadek skończył mówić.

6

Gdy skręciliśmy w Dundee Avenue, Gil zatrzymał samochód na czerwonym świetle paręset metrów od centrum handlowego, wielkiej budowli w kształcie litery C mieszczącej biuro rejestracji pojazdów mechanicznych, pralnię, sklep sportowy, a także kilkanaście pustych witryn, okien zaklejonych plakatami z napisem „Do wynajęcia”, które w ciągu letnich miesięcy przybrały barwę pergaminu.

Przed sklepem sportowym dwóch półnagich nastolatków wciągało na słup amerykańską flagę. Jeden z nich, chudy jak patyk i upiornie blade, siedział na ramionach drugiego, wyższego, roślejszego i grubszego w pasie. Mniejszy chłopak pociągał sznurki, które jednak gdzieś się zacięły i flaga zatrzymała się w połowie masztu. Przestał szarpać, przez chwilę głośno chwytał powietrze. Odpoczywając, zgarbił się nad głową wyższego chłopaka niczym małpa. Obaj mieli na sobie spodnie we wzór kamuflażu.

Potrzebowałem chwili, by zorientować się kto to: Tolson i Sugar.

- Dziadku... - zacząłem, lecz Gil położył mi dłoń na ramieniu.

50

- Ciii... - Przycisnął palec do ust.

Gdy odjechalśmy spod światła, zobaczyłem, że Tolson, chudy chłopak, prostuje się gwałtownie i klepie Stevena Sugara po głowie. Sugar obrócił się i postąpił krok naprzód, jak gdyby zamierzał nas ścigać, lecz zatrzymał się gwałtownie. Odprowadził nas wzrokiem i choć z daleka nie widziałem jego oczu, czułem, jak wwiercają się we mnie. Steven Sugar wydawał się wyższy, niż go zapamiętałem z poprzedniego roku szkolnego, jakby dłuższy, naciągnięty niczym flaga.

Siedzący na plecach partnera Tolson ułożył z rąk strzelbę i wycelował w nas.

A potem skręciliśmy i zniknęli za zakrętem. Wiedzieli. Znali mojego dziadka. Znali nas. Znali mnie. Świadomość ta niczym małe ramię ścisnęła nagle mój żołądek drobnymi palcami.

Skylark pokonał wzgórze i centrum handlowe zniknęło.

* * *

- Nie chcę dziś do nikogo strzelać, George - powiedział cicho Gil.

- To wariactwo, twój dziadek nie myśli rozsądnie, uważa, że inni próbują go dopaść. Musi się odprężyć, zapomnieć o niedzielnym „New York Timesie” i zapomnieć o Alu Gore; to nie jest tego warte. Jak mawiał stały Żyd, wszyscy jesteśmy tylko pionkami w ich grze.

Wjechał na podjazd. Dziadek mamrotał coś przez sen. Wsiadłem, wyciągnąłem z bagażnika balkonik i przytrzymałem Gila za kościsty łokieć, gdy podnosił się na nogi.

- Wszystkie te nerwy z powodu polityki? Polityka? Ala Gore'a? Czy według ciebie to ma sens, George? - pytał. W promieniach południowego słońca jego łysa głowa i okrągła, gładka twarz zdawały się wyrzeźbione w wosku.

Wzruszyłem ramionami.

Gil z pomrukiem zadowolenia wsparł się na balkoniku.

- Oczywiście, że nie. Na miłość boską - i będę wdzięczny, jeśli to zostanie między nami - człowiek o poglądach twojego dziadka powinien się cieszyć, że Gore przegrał. Może po czterech latach Busha ludzie wycierpią w końcu dość, by wybrać człowieka o prawdziwych zasadach, kogoś, kto ma nieco więcej objętości w kroku, jeśli chwytasz, co mam na myśli.

Widząc, jak drapie się po głowie, Gil dodał:

- Tylko spokojnie, nie powiedziałem słowa na N. George, nie martw się, nie powiedziałem Nader.

- Właśnie to zrobiłeś - zauważyłem.

Gil przyłożył palec do nozdrza i mrugnął.

Gdy podszedłem, by odprowadzić go na chodnik, odpędził mnie machnięciem ręki.
- Idź pomóż swojemu dziadkowi. Poradzę sobie. Chcę tylko wrócić do domu, zapalić jointa i się zdrzemnąć. I może, jeśli starczy mi ambicji, spróbuję przelecieć żonę, ale to wszystko.

51

Szurając nogami, przeszedł parę kroków, po czym przystanął zwrócony do mnie plecami.
- Widzisz kogoś?
Obróciłem się gwałtownie, oczekując, że tuż za sobą ujrzę Sugara z Tolsonem na plecach, wykrzywionego niczym gargulec. Ulica była zupełnie pusta, podjazd pod domem naprzeciwko także. W gorącym, nieruchomym powietrzu rozbrzmiewały tylko odległe wrzaski z basenu. Dziadek w bułku parsknął przez sen.
Wypuściłem powietrze.
- Nie.
- To dobrze.
Gil zaczął majstrować przy czymś, czego nie widziałem.
- Gil, nic ci nie jest?
Odpowiedział głębokim, drżącym westchnieniem. Usłyszałem plusk, gdy zaczął sikać na podjazd. Żółty strumyczek popłynął szczeliną w chodniku.
Stałem niespokojny, nie wiedząc, gdzie podziąć wzrok. Gdyby nadjechał jakiś samochód...
Gil zdawał się czytać mi w myślach.
• W moim wieku, George, kiedy ci się zachce, lepiej z tym nie żartować. Musisz go wyciągać i już.
• Tak - mruknąłem, przypominając sobie w duchu, że Gil umiera. Pewnie kiedy człowiek umiera, może robić, co tylko zechce.

* * *

W samochodzie dziadek spał dalej. Otworzyłem drzwi, by go obudzić. Siedział z odrzuconą w tył głową i szeroko otwartymi ustami, oddychał chrapliwie. Lewa ręka drżała mu na kolanach, prawa spoczywała spokojnie na kolbie IL-47. Może śnił słodko o mojej babce; może śnił o Stevenie Sugarze, o zaskoczeniu na twarzy chłopaka, gdy kulka trafi go w odsłonięte ucho i czerwona farba zaleje włosy niczym prawdziwa krew; a może po prostu śnili mu się starzy przyjaciele.

Pomyślałem o tym, jak Gil postrzega świat: przegniłe do szczytu, straszne miejsce, w którym, póki ludzie nie zdecydują się zacząć wszystkiego od początku, człowiek może liczyć tylko na jointa i drzemkę. Mój dziadek natomiast uważał, że życie to wojna; jeśli nie zmobilizujesz swych sił i nie zaczniesz strzelać pierwszy, tamci zaczną od podkradania z twojego „New York Timesa” dodatku o podróżach czy malowania sprayem twojej własności albo nakazania ci noszenia żółtej gwiazdy, by w końcu odebrać ci wszystko i wręczyć łopatę.

Uznałem, że obaj starszankowie na swój sposób mają rację, że ich punkty widzenia to równoległe wysepki absolutnej prawdy. Ja stałem na obu, mocno rozparty w rozkroku. Wiedziałem, że żaden opór nie zdoła osiągnąć tego, czego pragnę, ale wiedziałem też, że prócz oporu nie mam nic.

Potrząsałem ramieniem dziadka, póki nie otworzył oczu.

52

Potem zabiłem godzinę w bibliotece, przeglądając całe lato niedzielnych wydań. Przerzucałem dodatki o podróżach i modzie niedzielnego „Timesa”, próbując zrozumieć, do czego potrzebował ich Steven Sugar. Przez rząd okien sączyło się światło, padało na mój stół, przygrzewające lewe ucho i powlekające złotem kolorowe pierwsze strony.

Oglądałem odległe kraje i piękne widoki; czytałem o nowych modach, zwyczajach, ślubach. Przesuwałem palcem wzdłuż wierszy, uważnie badałem zdjęcia krajobrazów i uśmiechniętych twarzy, lecz słońce mnie rozpraszało. Na zewnątrz siedząca na ławce rudowłosa dziewczyna w luźnej błękitnej bluzce na zmianę czytała kieszonkową książkę i czubkiem palca nakładała na usta kolejne warstwy błyszczyku. Ramiączko stanika zsunęło się z białego ramienia. Widziałem połysk wilgoci w zagłębieniu szyi.

Wędrowałem wzrokiem pomiędzy gazetą i dziewczyną, na zmianę przeglądałem kolumny i obserwowałem ruchy palca zataczającego kręgi na wargach. Później odkryłem, że pamiętam tylko dwa artykuły, oba - co dość oczywiste - o tematyce seksualnej. Wspomnienia z Rodos i ra

port na temat społeczności starszych swingersów.

Pierwszy wyszedł spod ręki profesora, który odwiedzał wyspę Rodos po każdym ze swych czterech rozwodów. Profesor pisał, że wyczuwał atmosferę wielowiekowego smutku, stale obecną w całym mieście, wielkich opuszczonych twierdzach i krętych uliczkach starówki. Wzniesli je rycerze krzyżowi, którzy następnie zostali pokonani bez walki, a profesor odkrył, że myśl o ludziach oddanych jakiejś sprawie dodaje mu otuchy. Lubiał sobie wyobrażać, że ostatni rycerze świętego Jana w jakiś sposób zamienili się w stada bezdomnych kotów krążących wokół gzymsów, zlizujących lody z kamieni brukowych i wygrzewających się na wysokich murach ponad plażą, na której opalali się nudyści. Skoro armia Boga mogła oddawać się podobnym prostym przyjemnościom, napisał profesor, on też uwierzył, że zdoła znów pokochać.

W dodatku „Moda i Styl” zafascynowany - i mocno wstrząśnięty - przeczytał raport na temat wyzwań i niebezpieczeństw, jakim muszą stawić czoło starzejący się swingersi. Yiagra nie działała na wszystkich, a na niektórych działała aż za dobrze: mężczyźni odnosili kontuzje kręgosłupów, a pewna kobieta, uderzywszy czaszką o zagłówek, doznała wstrząśnienia mózgu, po którym pozostał jej ostry lęk wysokości. „Nie wiem, czy to kwestia podniecenia seksualnego, czy zwykłego uporu”, po wiedział emerytowany makler giełdowy podczas jednej z orgii staruszków. Dziennikarz opisał go jako siedzącego na ławce i ubranego wyłącznie w czarne skarpetki z podwiązkami. „Nieważne jednak - dodał staruszek. - Miło jest znaleźć się wśród rówieśników. Jedno jest pewne: nikt z nas nie robi tego na stojąco”.

Zorientowałem się, że cały czas zerkam na rudowłosą dziewczynę w trawie. Obojgu z nas nie dawały spokoju jej usta. Położyłem policzek

53

na zabawach dyrektora teatru z wiceprezeską banku i leniwie przesunąłem palcem wzdłuż chłodnej ramy okna.

* * *

Z drzemki wyrwało mnie uderzenie dłoni o szkło. Wyprostowałem się gwałtownie, nogi mojego krzesła zaszurały, skrzypiąc przeraźliwie. Po drugiej stronie okna stał Steven Sugar. Twarz miał zarumienioną, oczy szeroko otwarte. Jego mięsista dłoń przyciśnięta do szyby znalazła się zaledwie kilka centymetrów od mojej twarzy.

Pochylił się naprzód tak, że nosem dotknął szkła. Widziałem ostre czarne włosy wyrastające z podbródka i tornado piegów pod oczami.

- Słyszysz mnie? - spytał; jego głos zabrzmiał głucho, lecz wyraźnie.
- Tak - wymówiłem bezdźwięcznie.
- Mów głośno - polecił Sugar.
- Tak - powtórzyłem.
- Widziałem, jak jeździsz z tymi starymi pierdzielami. Staruszek McGlaughlin to twój dziadek, tak?

- Mhm - mruknałem.
- Powiedz mu, że nie zabrałem jego gazet.
- Dobra.

Steven Sugar odetchnął, jego nozdrza się rozszerzyły. Skinął głową do siebie i cofnął się o krok, wciąż patrząc na mnie gniewnie.

A potem nagle skoczył naprzód, przyciskając twarz do szyby i zrzucając swój miękki wojskowy kapelusz.

- Powiedz dziadkowi, że jeśli się ode mnie nie odczepi, spalę jego pierdzielony dom!

Ponad ramieniem Sugara wychynął Tolson, porucznik. Uśmiechnięty szyderczo postukał pięścią w okno.

- Może spalimy też twój dom, mięczaku.
- Zrobię sobie z niego mój własny, prywatny Wietnam. Zrozumiałeś, mały? Z was wszystkich zrobię sobie mój własny, prywatny, pierdolony Wietnam.

Odparłem, że zrozumiałem.

- Hej, mięczaku, cały jesteś wyświniony. - Tolson poklepał się po policzku.

Odwrócili się i odeszli w stronę stojących pod drzewem rowerów. Sugar obrócił się gwałtownie, pokazał mi gruby palec, a potem wskoczył na siodełko. Przejechali przez park w stronę ulicy i zniknęli wśród samochodów.

* * *

W łazience ochlapałem wodą twarz i zmyłem z policzka farbę drukarską. Przystanąłem na frontowych stopniach biblioteki oślepiiony promieniami słońca. Zapiekleła mnie skóra. Po klimatyzowanym wnętrzu biblioteki upał wydawał się nieznośny. Wciąż nie do końca się ocknałem,

54

a spotkanie ze Stevenem Sugarem i jego porucznikiem miało w sobie coś mglistego, sennego. Choć wiedziałem, że zdarzyło się naprawdę.

Ośloniłem dłonią oczy i rozejrzałem się po parku, sprawdzając, czy na mnie nie czekają. Przypomniałem sobie, jak rozmawiałem z dziadkiem, kim jestem, i jak nazwał mnie swoim adiutantem. W filmach o mafii, gdy dochodziło do wojny gangów, donowie często posyłali sobie swoich martwych adiutantów jak listy. Wyobraziłem sobie Tolsona siedzącego na ramionach Sugara i wciągającego mojego trupa na maszt przed sklepem sportowym.

Park jednak był pusty, nawet rudowłosa dziewczyna z ustami zniknęła.

- Hej, ty, przystojniaku!

Głos dobiegł zza moich pleców. Odruchowo postąpiłem krok naprzód i mój adidas pojechał po śliskim marmurze. Przez sekundę chwiałem się na granicy upadku. Wyciągnąłem rękę. Moja dłoń natrafiła na coś małego, miękkiego i pokrytego materiałem. Odzyskałem równowagę.

Rudowłosa dziewczyna zaśmiała się głośno.

Szybko cofnąłem ściskając jej pierś dłoń. Fala gorąca zalała mi twarz.

- Zaskoczyłaś mnie - powiedziałam. - Tylko wyciągnąłem rękę.

- Owszem - przytaknęła.

Zamrugąłem kilka razy, patrząc w dal poza jej ramieniem, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Jestem Myrna Carp - przedstawiła się. - A ty musisz być George.

Oceniałem na oko, że ma jakieś osiemnaście, dziewiętnaście lat. Ucisnęliśmy sobie ręce. Miała drobne, wilgotne dłonie.

- George - powtórzyła, po czym pokręciła głową i zachichotała. Nie miałem nadziei, że wyciągnie patyk, rzuci i każe mi aportować.

I pewnie bym to zrobił.

Uśmiechała się nieco krzywo, jakby od początku miała nade mną przewagę. I oczywiście miała - wiedziała, jak się nazywam.

- Skąd...?

- W drugim semestrze pracowałam w Towarzystwie Planowania Rodziny. Byłam stażystką twojej mamy. Wiesz, że Emma trzyma twoje zdjęcie na biurku? Fotkę w kostiumie Małej Ligi numer dwadzieścia pięć, Części Samochodowe Tri-City. Bardzo elegancki portret.

- Hej, to zdjęcie ma już kilka lat.

Myrna odchyliła się lekko i zmierzyła mnie taksującym spojrzeniem, a potem obdarzyła zabawnym, przekrzywionym uśmiechem, jakby uznała mnie za uroczy, ale bardzo fałszywy diament.

- Widzę. Na żywo jesteś dużo wyższy i wtedy nie miałeś baków, prawda.

Po raz pierwszy zdarzyło się, by ktokolwiek nazwał rzadkie loczki wokół mojej twarzy bakami.

- W każdym razie od razu cię poznałam, George. Masz pojęcie, jak kurewsko świetna jest twoja matka?

55

- Tak. - Przelknąłem, bo coś ścisnęło mnie w gardle. - Jasne.

- Twoja mama napisała mi superzarąbiste referencje i pewnie tylko dzięki nim dostałam się do Yassar. Przekonała też moją pieprzoną mat

kę, by pozwoliła mi zacząć brać pigułkę. Zapewne tylko dlatego nie musiałam nikogo zabić w ostatniej klasie liceum. Twoja matka to moja ziomalka. - Myrna Carp roześmiała się i przeczesła palcami rude włosy. - Ziomalka. Jezu, jak ja gadam, co?

Coś w mojej twarzy sprawiło, że spoważniała.

- No, dla ciebie z pewnością to wygląda inaczej, bo przecież to twoja mama i w ogóle.

Zapadła pełna wyczekiwania cisza. Drzwi biblioteki otwarły się z sykiem i wyłonił się z nich mężczyzna dźwigający naręczę książek. Poczulem chłodny powiew z klimatyzacji.

• Czy ja powiedziałam właśnie, że twoja mama pomogła mi zacząć zażywać pigułkę? - Przytaknąłem. Dziewczyna przesłoniła dłonią twarz i wyjrzała na mnie sponad palców. - Zawstydziałam cię, prawda?

• Nie, nie - odparłem. - Naprawdę.

Myrna przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

- Naprawdę - powtórzyłem z lekką desperacją.

Jej spojrzenie złagodniało, lecz wciąż wbijała we mnie zielone oczy, które zmieniły barwę na bursztynową, gdy pochylała się i znalazła w leżącej między nami jasnej plamie słońca. Wyciągnęła ręce i chwyciła mnie za ramiona, a potem powoli przyciągnęła do piersi i objęła. Minęła chwila, ja także ją przytuliłem. Myrna westchnęła.

- Tak właśnie powinni witać się ludzie - oznajmiła i pocałowała mnie w czoło.

Odsunęła się, obróciła i dwoma wielkimi skokami pokonała schody.

- Miło cię było poznać, George! Na żywo jesteś jeszcze przystojniejszy niż na zdjęciach! - zawołała przez ramię. - Powiedz mamie, że ją uwielbiam!

* * *

Owszem, różnię się od innych; mam sześć palców u prawej stopy. Zaledwie jedna bądź dwie osoby na tysiąc są dotknięte podobną deformacją. Wywołuje ją skaza genetyczna odziedziczona po przodkach ze strony ojca. Ten szósty palec to jedynie różowy kikucik na samym skraju stopy. Wygląda jak coś, co przypięzło i przylepiło się do nogi; paznokiec to jedynie błyszcząca plamka. Babcia żartowała sobie, że mam „diabelski palec”. Czynił ze mnie dziwolągą, jak lubił powtarzać dziadek.

- Jesteś dziwolągą, a więc jeden z nas.

Kiedyś spytałem mamę, czy mógłbym ten palec usunąć. Siedziałem na spękany linoleum w kuchni naszego mieszkania w Farmington, ściskając w palcach kawałek papieru ściernego.

Matka uniosła pytająco brwi.

- Pomyślałem, że może zdołam zetrzeć - wyjaśniłem. Miałem wtedy dziesięć lat.

56

- Oczywiście - odparta Emma.

Dwa poruszenia wystarczyły jednak, bym się rozplakał. Diabelski palec był malutki, ale bardzo mocno przyrośnięty.

Matka usiadła naprzeciwko mnie i położyła dłonie na moich kolanach. Potem spytała dlaczego, a ja podałem oczywisty powód: mojego ojca.

- Nie chcę mieć po nim niczego.

Ostatnie kilka dni były bardzo ciężkie - w jakiś sposób ojciec zdobył nasz numer telefonu.

- Kto mówi? - spytał, kiedy odebrałem po raz pierwszy. - Czy to ty, George? Czy to ty? Mówi twój ojciec, twój tatuś! - Mijał czas, a ja zdołałem wydusić z siebie jedynie cichy pomruk. Ojciec zaczął się śmiać, a po tem rozplakał głośno. - Powiedz coś, George, powiedz coś, kurwa, do swojego tatusia. A może jesteś na to za dobry, co?

Przestaliśmy odbierać telefon. Czasami dzwonił przez dwadzieścia minut i dźwięk ów uderzał mnie niczym czyjś krzyk. Zmoczyłem się we śnie, gdy nawiedził mnie koszmar o człowieku z błyszczącym czarnym

telefonem zamiast głowy. Człowiek z telefoniczną głową wspinał się po kamiennej ścianie studni niczym potworny pająk, a ja nie mogłem się cofnąć.

- Nienawidzę go - dodałem i uderzyłem się w żalony dodatkowy palec, i tak już obtarty, obolały.

Emma pokiwała głową. Jej twarz miała spokojny wyraz cmentarnego anioła - smutny, lecz jednocześnie pogodny, zabarwiony pewnością, że gorzej już być nie może.

- Chyba można by uznać taki defekt za obrażenie odniesione w pracy.
- Jak wtedy gdy tato dziadka stracił nogę w młockarni?

Matka wyrwała oczami.

- Tak - odparła - ale bez krwi i flaków, mój śliczny, mały psychopa to. Załóżmy - ciągnęła - że w pracy pojawił ci się dodatkowy palec. Zgłaszasz się zatem do biura ubezpieczeń pracowniczych, bo jesteś członkiem związku, należą ci się świadczenia i tak dalej.

- Naturalnie. - W wieku dziesięciu lat doskonale się orientowałem, jak działa system.

- J^ecz twoje obrażenia są inne, George, bo niczego nie straciłeś. Coś zyskałeś, masz coś więcej. Nie jesteś kaleką.

- No to jak mam dostać ubezpieczenie?

Matka odetchnęła głęboko.

- W kontraktach robotników urodzonych z dodatkowymi palcami istnieje specjalna klauzula - wyjaśniła. - Przysługuje im ubezpieczenie, choć dodatkowy palec w niczym nie szkodzi.

- To brzmi jak niezasłużony przywilej - wtrąciłem. - Jeśli mój związek nie zachowa ostrożności, może stać się przedmiotem dochodzenia.

Spojrzała na mnie.

- No dobra - mruknąłem. - Ale to tylko palec. Jest gównem wart.

57

- To dar - odparła Emma. - Dar. Ubezpieczenia pracownicze utrzymają cię do czasu, aż nauczysz się wykorzystywać ten dar, a potem związek znajdzie ci inną pracę, zadanie, do którego idealnie się nadajesz. I nie wyrażaj się - dodała.

Dotknąłem mojego palca. Taki drobiazg wielkości połówki frytki z pewnością nie nadawał się do niczego.

- Jakie zadanie?

Wzruszyła ramionami.

- Wciąż jesteśmy na etapie rehabilitacji - oświadczyła. - A tak przy okazji, ja jestem przedstawicielką twoich ubezpieczeń pracowniczych. Ogólnie rzecz biorąc, tym właśnie zajmują się matki. Rehabilitacją dzie ci, przygotowaniem do życia.

Przyjrzałem się mojemu palcowi. Był do niczego.

- Przekonasz się - stwierdziła. - Kiedyś się przyda. - A potem moja matka powiedziała: - Kocham cię. - I dodała: - I on też cię kocha, naprawdę.

Telefon zaczął dzwonić, a my jeszcze długą chwilę siedzieliśmy na kuchennej podłodze, nie odzywając się ani słowem.

* * *

W czasie mojego poczęcia wiosną 1985 Ty Claiborne miał dobrą związkową posadę, pracował jako operator w kinie Amberson Pavilion 2. Tam właśnie poznała go Emma McGlaughlin, córka miejscowych szefów związku, Henry'ego i Geraldine McGlaughlinów. To była jej pierwsza letnia praca, a Ty Claiborne - wysoki, barczysty i obdarzony mądrymi, błyszczącymi oczami kogoś o wiele starszego - był obiektem jej pierwszego poważnego zadurzenia. Za rękaw czarnej koszulki wsuwał paczkę lucky strike'ów i nosił wielkie

okulary przeciwsłoneczne jak policjant z drogowki. „Chciałabym, by zatrzymał właśnie mnie”, powiedziała przyjaciółkom Emma.

Gdyby w drugim tygodniu lata Południowo-Wschodni Związek Operatorów nie zastrajkował, może sprawy nigdy nie wykroczyłyby poza przelotną miłość. Lecz sieć kin postawiła związkowi ultimatum i w czerwcu operatorzy przerwali pracę. W imię jedności związkowej Emma natychmiast rzuciła letnią posadę i upiekła wielką blachę ciastek czekoladowych, by dodać ducha braciom robotnikom.

Ty, starszy od niej o dziesięć lat, miał prawie nowy samochód, wynajmował własne mieszkanie, systematycznie gromadził kolekcję wszystkich albumów Boba Dylana - winylowych. Potrafił też zjeść naprawdę dużo czekoladowych ciasteczek. W swej nastoletniej sypialni Emma obok plakatu Rivera Phoenixa powiesiła zdjęcie z gazety - Woody Guthrie pozujący ze swoją gitarą „ta maszyna zabija faszystów”. Nie miała szans. Ujrzała w Ty'u idealne połączenie seksownego przystojniaka i działacza związkowego.

Nie ujrzała w nim natomiast człowieka z problemem alkoholowym, kogoś uzależnionego ,od kokainy, kto będzie musiał wkrótce sprzedać

58

swój kompletny zbiór płyt Dylana, by zdobyć pieniądze na narkotyki. Nie ujrzała człowieka, który wkrótce wyleci z Południowo-Wschodniego Związku Operatorów, od trzech miesięcy nie płaci czynszu, kogoś zdolnego do podkradania pieniędzy z ozdobionej podobizną Myszkę Minnie skajowej torebki należącej do jego osiemnastoletniej dziewczyny. A przede wszystkim nie ujrzała w Ty'u Claibornie mężczyzny, który użyłby prezerwatywy znalezionej w okładce kupionej w antykwariacie płyty „Another Side of Bob Dylan” (na opakowaniu prezerwatywy wyraźnie wydrukowano datę przydatności 1.03.66), kogoś, kto użyłby tej prezerwatywy po tygodniach noszenia jej w torbie z narzędziami w sąsiedztwie kompletu śrubokrętów i gwoździ potrzebnych do zamocowania projektora. A jednak był takim człowiekiem - o czym szczęśliwie dla mnie moja matka nie miała wówczas pojęcia.

Lecz w ciągu następnych piętnastu lat oboje dowiedzieliśmy się bardzo dużo na temat mojego ojca. Dowiedzieliśmy się na przykład, co to jest bankructwo, dłużnicy, odwyk i ile kosztują telefony na koszt odbiorcy między trzecią a piątą rano. Pewnego dnia na parkingu przed naszym mieszkaniem w Blue Hill dowiedzieliśmy się, że flegmatyczny Paul Ba-gley - garncarz i hippis cierpiący na lekką formę narkolepsji, wierny zwolennik Partii Zielonych - potrafi rozbroić oszalałego ćpuna uzbrojonego w scyzoryk i pobić go do nieprzytomności łopatą do odgarniania śniegu. Dowiedzieliśmy się, co to jest zakaz zbliżania się.

Tymczasem mój ojciec odkrył, że może zarobić na prochy kradzieżą samochodów. A pewnej nocy w Lewiston przekonał się także, iż to kiepski pomysł zasnąć za kierownicą kradzionego bmw na podjeździe baru dla zmotoryzowanych. Potem moja matka i ja dowiedzieliśmy się, że jeśli ktoś pisze do nas list z więzienia o zaostrowym rygorze, administracja rozcina kopertę i sprawdza, czy w środku nie znajdzie wulgaryzmów, gróźb, oskarżeń albo innych interesujących rzeczy, a dopiero potem zakleja go i wysyła do adresata.

Gdzieś w trakcie tego wszystkiego nauczyłem się też uruchamiać niezbędny mechanizm pobożnych życzeń i zacząłem marzyć o Prawdziwym Ojcu, superbohaterze, którego wciąż zatrzymują sprawy bezpieczeństwa całego wszechświata. Takiego właśnie ojca potrzebowałem, bo tylko planety i gwiazdy były dość ważne, bym mógł mu wybaczyć wszystko, na co nas naraził.

* * *

Teraz, gdy jechałem do domu, z odciskiem studenckich warg Myrny Carp wciąż świeżym na rozpalonym czole, z tyłu głowy poczułem ukłucie dawnej rozpacz. Wiedziałem, że tak naprawdę nigdy mnie nie opuściła, uczucie to stanowiło część mnie, równie trwała jak dodatkowy palec. Nie mogłem się go pozbyć.

Powtarzałem sobie, że w college'u jest pełno pięknych dziewcząt. Dziewcząt, które nie szukają u mojej matki rad w sprawach rozmnaża-

59

nią. W miejscu takim jak Yassar - cokolwiek i gdziekolwiek to było - pewnie praktycznie spadały z nieba jak deszcz. W Yassar człowiek musiał nosić wojskowy hełm dla ochrony przed sypiącymi się z nieba wspaniałymi laskami, a pigułki antykoncepcyjne padały z chmur niczym grad. Mówiłem sobie, że jej się spodobałem.

Nieprzekonany pedałowałem dalej drogą numer 12, z ponurą miną i wyraźnym wzwodem. Wyobraziłem sobie Myrnę Carp spadającą nago z nieba i lądującą z piskiem radości i podskokiem piersi na szerokich ramionach Stevena Sugara.

- Podnieśmy flagę, mała - powiedział Steven.
- O tak! - zawołała Myrna.

* * *

Przy kolacji o mała nie zadławiłem się kawałkiem ziemniaka. Zacząłem kasłać i musiałem wypić pół szklanki wody, nim mi przeszło.

- Nic ci nie jest? - spytał doktor Vic.
- Czy sprzedał pan kiedyś płytę Boba Dylana? - Wypłułem w serwetkę kawałek ziemniaka.

Doktor Vic podrapał się po głowie.

- Słucham?

Matka opuściła głowę na stół i westchnęła.

Powtórzyłem pytanie.

Doktor Vic odparł, że z całą pewnością nie.

- Nie wiem, czy w ogóle byłem kiedykolwiek dość czadowy, by kupić sobie Dylana. Rozumiesz?

- Tak - odparłem z ulgą. - Rozumiemy.

f Doktor Vic sprzątnął swój talerz i oznajmił, że idzie na pomost. Nie spytał matki, czy chciałaby mu towarzyszyć. Bardzo starannie zamknąwszy za sobą przesuwane szklane drzwi, wymaszerował zgarbiony na zewnątrz. Słyszałem jego ciężkie kroki i skrzypienie desek pod stopami.

Matka pozostała na miejscu, bazgrząc w notesie. Narysowała portret Boba Dylana z niewiarygodnym afro z lat sześćdziesiątych, w wielkich okularach na zakrzywionym nosie, z mizernymi brwiami, i podsunęła mi go.

Uniosłem kciuk z aprobatą. Potem dorysowałem w dłoni Dylana miecz świetlny i napisałem w dymku przy ustach: *Łukę, to ja jestem twoim ojcem.*

Od jej nagłego, melodyjnego śmiechu zapiekły mnie oczy.

Chciałbyś mnie wspomóc w tajnej misji?

Tak, odpisałem.

Spotkajmy się przy samochodzie. Wstała, poklepała mnie po ramieniu i wyszła, by zabrać rzeczy. Otarłem ręką oczy.

60

* * *

Przed wyjściem matka schowała coś do bagażnika, a kiedy wsiadła, była już przebrana w granatowy dres. Podała mi czarną wiatrówkę; włożyłem ją szybko. Wyglądało to obiecująco.

Skręciliśmy w drogę numer 12 i o dziewiątej we wtorkowy wieczór przejechaliśmy przez spokojne, ciche Amberson.

W starym centrum - gdzie budynki z cegły stały godnie i porządnie, i zawsze kojarzyły mi się ze znoszonymi, lecz starannie wypastowanymi solidnymi skórzanymi butami na dolnej półce szafy dziadka - wszędzie wokół dostrzegałem znaki niedawnego załamania gospodarczego. Sklep z butami urządził WIELKĄ WYPRZEDAŻ, sklep z materiałami dla plastyków WYPRZEDAŻ KOŃCOWĄ, a plakat z Jimim Hendrixem przylepiony do wystawy sklepiku niuejdżowskiego głosił PRZEPRASZAMY, ZAMKNIĘTY NA ZAWSZE, LUDZISKA! (słowa te wypływały psychodelicznym dymkiem z kącika ust Jimiego). W kinie Amberson Pavilion 2 na obu ekranach wyświetlano film „Wyścig szczurów”, opowiadający o ludziach gotowych poddać się najgorszym poniżeniom, byle tylko zdobyć majątek (grający ich aktorzy najwyraźniej skłonni byli przyjąć każdą rolę). Natomiast lombard wyraźnie prosperował.

Nagle przyszło mi do głowy, że od kilku dni moje życie ogranicza się do okienka niewiele większego niż kółko na końcu lunetki karabinu IL--47. Dziadek powinien więcej wychodzić, pomyślałem. Nim wszyscy w mieście zbankrutują.

Na skromnym rynku dostrzegłem grupkę skejtów; ubrani w luźne spodnie z obniżonym krokiem, mieli długie, błyszczące łańcuchy na komórki wiszące z kieszeni i krążyli chwiejnie na deskach wokół pomnika bohaterów pierwszej wojny światowej, przedstawiającego przycupnięty oddział znużonych młodych żołnierzy.

Przy krawężniku paru policjantów w radiowozie obserwowało okolice. Pewnie słuchali w radiu końcówki meczu Red Soxów, przegrywających haniebnie z Nowym Jorkiem, albo drugiego, z Oakland, który właśnie się zaczynał.

Mój wzrok naturalnie powędrował w górę, w stronę biura na pierwszym piętrze przysadzistego, dziesięciopiętrowego budynku przy samym rynku.

* * *

Właśnie w tym biurze Dale Crispin, ostatni były chłopak mojej matki, pisał, redagował i wydawał lokalny tygodnik, „Amberson Common”. Kiedy się spotykali, spędziłem wiele szczęśliwych chwil w owym biurze, grając w remika i słuchając z podziwem i zachwytem melodyjnych wulgaryzmów Dale'a.

- But, mój młody przyjacielu - powiedział do mnie kiedyś, odliczając dwie pary i przymierzając się do zdobycia punktu - wędruje teraz na drugiego fiuta.

Lecz w następnym rozdaniu, gdy umoczył, a ja wygrałem pełnym wyłożeniem, Dale dramatycznie uniół ręce.

61

- Wielkie niebiosy, but wrócił do Fiutowa! Ale zaszczane szczęście.

Zgarnął karty i zaczął tasować. Przerzucał je z ręki do ręki, patrząc na mnie bystro spod daszka sfatygowanej czapeczki Red Soxów. Szpakowaty zarost, który zdawał się zawieszony w czasie, wiecznie na etapie dwudniowym, w połączeniu z dwudziestoletnią czapką nadawał mu su-perkulerskiego, wyniosłego wyglądu korespondenta wojennego. Ze wszystkich chłopaków Emmy Dale był moim ulubieńcem.

- Mam dwa pytania, które nie dają mi spokoju, przyjacielu. Po pierwsze, czy do przerwania tej świetnej passy wystarczy zwykła interwencja kapłana hudu, czy też będę musiał złożyć kogoś w ofierze? Po drugie, czy sądzisz, że twoja matka *zgodzi* się kiedyś wyjść za kogoś do tego stopnia niedorównującego zdolnościom jej synowi - przynajmniej w grze w remika?

Drugie pytanie zawisło w powietrzu. Poczułem falę gorąca na karku.

- Co...? - spytałem i słowo to pozostało na moim języku niczym kęs zepsutego jedzenia.

- Tak tylko gadam - odparł Dale.

Wzruszyłem ramionami i pstryknąłem w stojącą na biurku maskotkę przedstawiającą Rossa Perota. Ross zaczął kiwać głową jak kretyn. Powiedz coś, warczałem na siebie w duchu, wciąż niepewny, co właściwie się dzieje.

- Co to jest kapłan hudu? - spytałem.

- Niezły unik, mały. - Dale uśmiechnął się cierpko i wsadził mi na głowę swoją czapkę. - Rozdawaj, o kowalu cuchnącego, żółtego losu.

Matka napisała coś, po czym podała mi notatnik oraz latarkę.

Czekaliśmy w samochodzie za śmietnikiem na tyłach parkingu obok biura Towarzystwa Planowania Rodziny. Matka zgasiła światła i silnik. Z naszego miejsca, w szczelinie między kontenerem i rogami budynku widzieliśmy teren tuż przed kliniką. Jak dotąd nic się nie działo. Reflektory oświetlały wjazd; w ich blasku widziałem lądziele krążące nad suchą trawą wysepki w kształcie rombu.

Wziąłem notatnik i latarkę i przeczytałem: *Będziesz musiał trochę poprowadzić.*

Skinąłem głową na znak zgody. Przez lata mieszkaliśmy w sześciu różnych mieszkaniach - dwupokojowym, trypokojowym i, przez kilka tygodni pewnego lata w Rockland, na trzymetrowej łodzi; sypiałem wówczas w kabinie, a matka w namiocie na pokładzie. Gdy tylko urosłem dosyć, by sięgnąć nogami pedałów, matka nauczyła mnie siedzieć w zaparkowanym na drugiego samochodzie, podczas gdy sama rozładowywała zakupy, i przestawiać go, jeśli ktoś musiał nagle odjechać.

Chodzi o UPB, prawda? O tej porze fanatycy zwykle atakowali. Co zrobimy?

62

Matka uśmiechnęła się jak pirat. *To ci się spodoba.*

Próbowałem odpowiedzieć uśmiechem. Opuściłem szybę, poczułem ostry smród śmietnika i szybko podniosłem ją ponownie.

Powietrze nad parkingiem wisiało bez ruchu; chmara ładzieli rozciągała się i falowała nad trawniczkiem. Na sam widok zaswędziało mnie skóra wzdłuż kręgosłupa.

Matka zaczęła bazgrać w notatniku.

O czym myślisz?

Wymagało to bardziej złożonej odpowiedzi, niż zapewne oczekiwała - a może i nie. Myślałem o tym, jak miło, że jesteśmy sami we dwoje, robimy coś razem, coś, o czym nie wie doktor Vic; i myślałem też o tym, jakie to dziecinne i żalosne odczuwać coś takiego. To uczucia godne dziecka, nie młodego mężczyzny, który za pięć miesięcy może wyrobić sobie prawo jazdy.

Myślałem również o Dale'u, tęskniłem za nim, za czasami, gdy grywaliśmy w remika w jego biurze. I to także było bez wątpienia wybitnie żalosne. Ostatecznie trudno go nazwać superbohaterem. Dale Crispin wydawał skromną gazetkę, tak tanią, że nie warto było nawet zawinąć w nią ryby. Mimo wszystko jednak z nagłym niepokojem przypomniałem sobie, jak zadał mi tamto drugie pytanie i jak z jakiejś przyczyny nie potrafiłem na nie odpowiedzieć.

Spojrzałem na nią; odpowiedziała spojrzeniem.

Czasami zaskakiwało mnie, wręcz wstrząsało odkrycie, jaka jest młoda. Twarz, którą widziałem przed sobą, nie różniła się zbytnio od twarzy, którą oglądał mój ojciec jakieś szesnaście lat temu, może nawet w podobnym ciemnym samochodzie. Myśl ta nie wydała mi się wcale kazirodcza, raczej niemal uświęcona, niczym magiczne odbicie w czasie, powrót do tej samej chwili.

O czym myślisz?

Odpowiedziałem pytaniem: *Czemu nie wyszłaś za Dale'a?*

Za przednią szybą błysnęły reflektory. Uniosłem wzrok i ujrzałem znajomego przerdzewiałego błękitnego minivana skręcającego na parking. Matka ścisnęła mi ramię, ostrożnie otworzyła drzwi od strony kierowcy i wysliznęła się w noc.

* * *

Minivan zagasił światła i zatrzymał się z łoskotem przy samym krawężniku. Boczne drzwi odsunęły się głośno i na chodnik wypadła trójka UPB. Dwaj mężczyźni nieśli zrolowane tuby papierów, kobieta pędzel i wiadro. Rozpoznałem ją, znów miała na głowie znajomą czapkę z daszkiem z błyszczącym krzyżem w miejscu zwykłego napisu czy logo. To ona stała kiedyś na dachu furgonetki, wrzeszcząc do pacjentek: „Ladaczniczki! Porzucicie rozpustne życie i wróćcie na łono Pana!”. (Gdy matka opowiedziała Dale'owi o tym wezwaniu i o sportowej czapce z krzyżem, Dale wysłał nam następujące ogłoszenie:

63

Dla

drużyny Walniętych Jezusów z Jerozolimy numer 69 do dzielnych ładacznic odbija Świrnięta Suka).

W lusterku widziałem, jak matka otwiera bagażnik. Wyjęła z niego coś i powoli zatrzasnęła klapę, tak że do moich uszu dobiegł zaledwie cichy szcęk.

Umiejętności skradania Emmy jednocześnie zachwyciły mnie i porządnie wystraszyły. Tylko matka mogła poruszać się tak cicho. W duchu poprzysiągłem sobie nigdy więcej nie zwałać konia bez wcześniejszego sprawdzenia, czy ktoś jest w korytarzu, i bez wsunięcia krzesła pod klamkę.

UPB zniknęli mi z oczu; usłyszałem, jak któreś z nich upuszcza coś i klnie. Byli teraz przed drzwiami, w miejscu poprzednich ataków.

Matka przykucnięta okrążyła kontener ze śmieciami, opierając się o oblażącą z farby stalową ściankę. Widziałem, jak oddycha głęboko, wy stawia głowę za róg i równie szybko ją cofa. Odwróciła się i pokazała mi uniesione kciuki. U jej boku coś się kołysało.

Teraz się powoli wyprostowała. Wstrzymałem oddech - a moja matka przemaszerowała przez parking spokojnie, jakby działo się to za dnia

1w pobliżu nie kręciło się trzech być może niebezpiecznych, a z całą pew

nością szalonych fanatyków religijnych. W ręce ścisnęła foliową torebkę. Rozpoznałem ją. Do tej torebki cierpliwie zbierałem gówieńka Chłó paczków z ostatnich kilku porannych spacerów i jak zwykle ukrywałem za stekami w zamrażarce.

Może to oczywiste, ale w życiu młodego mężczyzny zdarzają się czasem chwile, gdy jego matka jest naprawdę super. I mało z nich dorównuje momentowi, kiedy syn patrzy, jak mama podkłada się do minivana fanatyków antyaborcyjnych z workiem zamrożonego psiego gówna.

Kilkanaście kroków wystarczyło, by Emma dotarła do tyłu furgonetki. Chwyciła klamki podwójnych tylnych drzwi, powoli je rozsunęła. Obróciła się i pomachała do mnie szybko, a potem weszła do środka mini-vana i zamknęła się tam.

Następna minuta przerodziła się w drugą, potem w trzecią. Oni zaraz wrócą, myślałem, słysząc te słowa dźwięczące w głowie niczym piosenka (oni zaraz wrócą, pospiesz się, kuurna, proszę, maamo). W czwartej minucie pojąłem, że nie muszą wracać, bo jeden z Umiłowanych Palantów Bożych został w wozie, na wypadek gdyby musieli szybko uciec, i pewnie właśnie w tej chwili morduje moją matkę tym samym szpadlem, którym wykopywali robaki na przynęty.

W tym momencie jedna część tylnych drzwi otwierała się i matka zeskoczyła na chodnik, lecz wcale nie rzuciła się do ucieczki. Zasunęła drzwi i powoli, nieskończenie powoli zaczęła naciskać zatrask, aż w końcu naparta na nie ramieniem. Drzwi się zamknęły. Emma odwróciła się i spojrzała na mnie przez parking.

64

Odetchnęła głęboko, posiała mi całusa, ukłoniła się. Taka była moja matka.

* * *

Miały minąć ponad dwa miesiące, nim Umiłowane Palanty Boże odkryły worek psiego gówna, który moja matka wsadziła pod panel podłogi i przykleiła na mur tym samym klejem epoksydowym, który przywieźli, by rozwiesić plakaty na drzwiach kliniki. Przez cały sierpień i wrzesień wilgoć i upał podgrzewały gówno, aż w końcu je stopiły. Odchody połączyły się z anchois, które moja matka dorzuciła do kompletu. Z początku woń była słaba - odór przypominający co najwyżej prze-pocone adidas - z czasem jednak narastała, przeradzając się w ciężki, ostry smród sugerujący problemy z silnikiem, i w końcu eksplodowała falą porażającej zgnilizny, rozkładu zdechłego zwierzęcia albo może martwego człowieka. Kiedy jedna z UPB w końcu podważyła panel, w twarz wyleciała jej chmara owadów, a kobieta zemdlała porażona widokiem czegoś jeszcze straszniejszego niż pokaleczona lalka obryzguna krwią.

* * *

Matka wsiadła do wozu od strony pasażera, a ja wrzuciłem pierwszy bieg. Powoli okrążyliśmy budynek i znaleźliśmy się po drugiej stronie kliniki, gdzie trzymetrowe ogrodzenie z siatki biegło wzdłuż zbrocza aż do autostrady.

Uścisnęliśmy się i poczułem, że jest cała mokra i drży. Przez jakiś kwadrans po prostu tam siedzieliśmy, na zmianę chichocząc w ciemności.

Jej komórka zawibrowała. Dzwonił Charlie Birdsong, który pełnił wartę, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Charlie zameldował, że UPB odjechali. Mama zaproponowała, że go podrzuci, on jednak wolał zostać, skończyć lekturę „Glamoura”, a potem zająć się nowym plakatem z martwym płodem. Matka powiedziała Charliemu, by nie siedział tam całą noc, wystarczy, by spróbował zdrapać rozbabraną główkę.

- Zgoda - usłyszałem głos Charliego - bez wątplenia to rozbabrane główki najbardziej zniechęcają ludzi.

Emma pozwoliła mi wyprowadzić samochód na drogę główną. Nie rozmawialiśmy. Opuściła okna i do wnętrza napłynęły słodkie nocne zapachy dębów i mokrych trawników.

Przy znaku stopu zahamowałem. Matka podniosła notatnik.

Czemu nie wyszłaś za Dale'a?

Spojrzała na mnie, marszcząc czoło, potem oblizwała wargi, jakby zamierzała coś powiedzieć.

Postukałem palcem w deskę rozdzielczą i pokręciłem głową. Żadnych rozmów, jeszcze nie.

65

Zacząła szybko pisać i podsunęła mi notes. *Zabawne, że o tym wspominasz. Wiośnie dostaliśmy zaproszenie*

na ślub Dale a. A przy okazji, wiesz, jak byliby zachwycony naszą dzisiejszą eskapadą?

Na chwilę odwróciłem wzrok, wyrząłem przez okno. Obok naszego samochodu przemknął autobus, oświetlona kabina i rzędy ciemnych okien. Może właśnie przybywał na miejsce, może dopiero wyruszał.

Matka znów zaczęła pisać. *Żeni się z Gail Dahl, nauczycielką rysunku z liceum. Miała z nią zajęcia w zeszłym roku, prawda? Pani Dahl teraz pewnie będzie się nazywać pani Crispin.*

Wyciągnąłem rękę i położyłem palec na moim pytaniu. Nie wiedziałem, co chcę usłyszeć, ale nagle wydawało mi się to niewiarygodnie ważne.

W ostrym blasku latarni matka nie wydawała się już taka młoda. Siwy kosmyk połykiwał jak wypolerowany. Skrzywiła się, postukała końcem długopisu o podbródek, po czym napisała: *Uważałam, że nie jesteśmy gotowi.*

Wpatrywałem się w te słowa. Wziąłem długopis, podkreśliłem jedno słowo. *Jesteśmy.*

Pokiwała głową.

Wysiadłem z samochodu i pieszo ruszyłem do domu.

Ale Emma nie zgodziła się mnie zostawić - minęła już północ, a ona przecież była moją matką. Samochód powarkiwał, wlokąc się tuż przede mną przy poboczu. Patrzyłem, jak promienie reflektorów kołyszają się pośród pni przydrożnych drzew, i marzyłem o tym, by zniknąć, zgasnąć niczym żar z ogniska. Chciałem, żeby po raz ostatni ujrzała mnie we wstecznym lusterku i przez resztę życia zastanawiała się, co się stało, co sprawiło, że spłonąłem. Kilkanaście komarów zaczęło orbitować wokół mojej głowy, odmówiłem jednak powrotu do samochodu.

Nim skręciliśmy w drogę numer 12, na ostatni odcinek wiodący do domu, podszedłem do całonocnej stacji Citgo, by na chwilę odpocząć od komarów. Matka zaparkowała z przodu.

Kupiłem napój pomarańczowy i gotycki kasjer z widłami na jabłku Adama otworzył kasę.

• Rany. Janet. - Jego naćpane, podkrążone na fioletowo oczy patrzyły na mnie wyczekująco.

• Co? - spytałem. - Chciałem tylko napój.

• Myślałem, że zadajesz się z seksystaruszkami. - Podrapał się po widłach. - Nie zabierają cię do kina, mały hombre?

• Napój - powtórzyłem. Położyłem dolara na ladzie.

• Rany - odparł i wziął banknot. - Janet.

Wyszedłem w noc. Emma skręciła w drogę 12. Gdy dotarliśmy na podjazd, bolały mnie stopy, a pokasane odsłonięte łydki pulsowały i piekły. Matka wysiadła z samochodu, nie oglądając się za siebie. Pstryknęła elektronicznym alarmem i weszła do domu. Nie zakończyłem swego protestu w tym momencie i nie zacząłem na nią wrzeszczeć tylko dlatego, że byłem zbyt zmęczony.

Parę minut później padłem na łóżko. Zdażyłem zasnąć, nim zaczęli się kłócić.

8

Następnego ranka doktor Vic zatrzymał mnie, gdy zawołałem Chłopaczków do wyjścia.

• Już ich wyprowadziłem, George - powiedział. Siedział przy stole przygarbiony nad poranną krzyżówką. - Tak sobie pomyślałem, że chwila lepiej będzie, by tak zostało. Wyprowadzanie ich dobrze mi zrobi, trochę ruchu zawsze się przyda.

• Jak pan sobie chce. - Zdjąłem z haczyka przy drzwiach klucze od domu.

• Znów ta cholerna kobieta - mruknął pod nosem, wpisując do krzyżówki Yoko albo Ono. Potem odrzucił ołówek i wstał, odsuwając głośno krzesło. - Pozwól, że podwiozę cię do dziadka. Musimy porozmawiać.

• Nie rozmawiam z nieznajomymi - odparłem.

Na drodze 12 bmw zjechało na pobocze obok mnie. Doktor Vic zwolnił i opuścił szybę.

• Na pewno nie chcesz, by cię podwieźć?

• Nie wsiodam...

Doktor Vic skreślił ostro, wyrzucając w powietrze fontanny żwiru.

* * *

Kiedy jednak dotarłem do domu przy Dundee Avenue, odkryłem, że doktor już tam jest. Stał na frontowym trawniku, pomagając dziadkowi uzupełnić portret Ala Gore'a o brodę. Zachowywał się jak gdyby nigdy nic, rzucił mi krótkie „cześć” i dalej rozmawiał z dziadkiem. Mój dziadek stał na skrzynce po mleku i starannie wyrysowywał na tablicy nowy zarost byłego wiceprezydenta, stanowiący obiekt wielu prasowych dywagacji. Niektórzy się zastanawiali, czy to kolejna demonstracja, jeszcze jeden dowód nieznośnych liberalnych pretensji.

- Nie pozwalają nawet człowiekowi trochę zmienić wyglądu - mruknął dziadek. - No dobra, nie goli się. Pewnie jest w depresji i ma prawo. Nie dość, że sfałszowali wybory, to teraz chcą jeszcze pozbawić go godności.

Doktor Vic stał na trawie, przytrzymując staruszkę w pasie, by nie upadł.

- Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem. Zanim ten mały drań zaczął niszczyć twoją tablicę, ukradł ci dział „Podróże”?

Usiadłem na masce buicka i założyłem ręce na piersi.

- Od tego się zaczęło.

Doktor Vic pokręcił głową.

- Jaki dzieciak czytuje dział podróży niedzielnego „New York Timesa”? Zamieszczają tam wyłącznie historie o miejscach, których nigdy nie odwiedzisz, albo co gorsza miejscach, w których byłeś, ale po lekturze ar-

67

tykułu zaczynasz czuć wyrzuty sumienia, bo przeoczyłeś wszystko co najlepsze, o czym nie wiadomo głupkowatym turystom.

Dziadek opuścił rękę, wyciągnął z kieszeni zmiażdżoną kartkę z gazety i przyjrzał się zdjęciu byłego wiceprezydenta z jego nową brodą.

- Uważam, że wygląda godnie.

- Mówię ci, Henry, spójrz na to z drugiej strony. Dzieciak zaoszczędził ci trudu wyrzucenia tej makulatury.

- Ukradł też dodatek „Moda i Styl” - odparł dziadek. W jego głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta. Zajął się policzkami Gore'a, dorysowując ostatnie fragmenty zarostu.

- No cóż - mruknął doktor Vic. - Wierzę, że to może wkurzyć męża czyżnę.

Dziadek skończył, oparł się o ramię doktora Vica i szedł ze skrzynki. Kiedy jego but dotknął trawy i cały ciężar spoczął na stopach, jęknął cicho. Doktor Vic spytał, czy dobrze się czuje.

- Bardzo dobrze - odparł dziadek i wzruszył ramionami, strącając dłoń lekarza.

Razem wyszliśmy na ulicę, przyglądając się tablicy.

Albert Gore Jr. w wyborach 2000 wygrał 537 179 głosami, lecz stracił prezydenturę jednym głosem. HAŃBA! Przywódcą wolnego świata został człowiek, który zdezerterował z oddziału Gwardii Narodowej, sprzedawca oszukańczych ubezpieczeń, niebezpieczny alkoholik, z radością podpisujący nakazy egzekucji osób chorych umysłowo. OBURZAJĄCE! Nasz naród padł ofiarą przewrotu zorganizowanego przez prawicowe kadry, niszczące środowisko w imię zysku, gromadzące bogactwa w imię sprawiedliwości, zastraszające krytyków w imię patriotyzmu i powołujące się na słowo Boże. FARSA!

A pod tym poprawiony portret Gore'a z dumnym podpisem: PRAWDZIWI PREZYDENT STANÓW

ZJEDNOCZONYCH

Gore i jego broda spoglądali na południe.

Dziadek uniósł wymiętą kartkę z aktualnym zdjęciem byłego wiceprezydenta i wszyscy zaczęliśmy

porównywać. Uznałem, że podobizna jest całkiem akuratna.

Zarost byłego wiceprezydenta wydawał się miękki, niemal nieśmiały. Sugerował, że gdyby pozwolono mu rosnąć, wkrótce zacząłby skręcać się w loki. Była to broda pasująca do znacznie młodszego mężczyzny, toteż sprawiała, że Al Gore wyglądał ponuro, jakby wpatrywał się w drogę, czekając na spóźniający się samochód, czy raczej samochód, który nigdy nie przyjedzie.

- Dobra robota - pogratulował doktor Vic.

Dziadek złożył kartkę i podszedł do tablicy. Wyjął z kieszeni szmatkę i szybko wyczyścił symbol związku w rogu świadczący o tym, że bill-board to dzieło drukarza w Providence.

68

- Jeszcze lepiej - powiedział doktor Vic.

- Ano - rzekł dziadek. Pogrzebał w drugiej kieszeni, znalazł torebkę orzeszków i zaczął chrupać.

- Powinieneś trochę ograniczyć orzeszki, Henry. Nie za dużo i nie za szybko, jak to mówią.

- Nie chcę pana dłużej zatrzymywać, doktorze Lipscomb. - Dziadek podszedł do zaparkowanego przy krawężniku bmw. Zeskoczyłem z maski samochodu i ruszyłem za nim. - Proszę powtórzyć Emmie, że ją pozdrawiam. - Dziadek zerknął na mnie cierpko, po czym dodał: - Albo jej to napisać czy jak tam porozumiewacie się ze sobą w dzisiejszych czasach.

- Jasne - odrzekł doktor Vic.

Dziadek otworzył drzwi bmw przed swoim możliwym przyszłym zięciem.

Jeśli nawet doktor Vic poczuł, że nie jest mile widziany, nie okazał tego. Gdy już uściśnął dłoń dziadka i wsiadł do wozu, zaczął spokojnie szukać kluczyków.

- A ty pozdrowisz ode mnie Gila?

- Oczywiście, doktorze Lipscomb.

Doktor Vic, nie unosząc wzroku, klepał się po kieszeniach koszuli.

- Kto właściwie go leczy i jak on się czuje? Emma odniosła wrażenie, że to... dość poważne.

- Nie wiem, będzie pan musiał spytać Gilberta. Ale przypuszczam, że trzyma się życia, jak tylko potrafi.

- Oczywiście - odparł doktor Vic. - Oczywiście.

Mój dziadek pochylił się, wsunął rękę przez okno samochodu i trącił palcem kluczyki. Wisiały na osłonce okna. Przytwierdzono do nich breloczek z plastikowym pekińczykiem w ciemnych okularach, stojącym na desce surfingowej.

- Tutaj.

- Ach! - Doktor Vic pstryknął palcami, wsunął kluczyk do stacyjki. Obdarzył dziadka szerokim uśmiechem i zastygł bez ruchu, z ręką wciąż na kluczyku. - Muszę zadać to pytanie. Dobrze się czujesz, Henry? Wy dajesz się... sam nie wiem, jakby zmęczony.

Staruszek westchnął, wepchnął rękę do kieszeni spodni i wyciągnął garść orzeszków. Parę z nich wysliznęło mu się z dłoni i poturlało szaleńczo po chodniku.

- Nic mi nie jest. - Wrzucił do ust orzeszki. Zaczął chrupać i mówić jednocześnie: - Oczywiście, naszym krajem *rządzi* człowiek, który prędeziej podetrze sobie tyłek konstytucją, niż ją przeczyta, do tego członek miejscowego oddziału Hitlerjugend bezczelnie łamie moje prawa wynikające z pierwszej poprawki, a wszyscy wokół po prostu przechodzą obok, jakby byli ślepi, głusi i niemi. - Machnął szeroko rękami, pokazując rozmiary katastrofy. Kawalek orzeszka utknął mu w kąciku ust. - Po za tym jednak, doktorze Lipscomb, wszystko jest w porządku. Wszystko jest super.

69

Doktor Vic, wciąż nie spuszczać z niego wzroku, przytaknął powoli, spokojnie.

- I straciłeś żonę, Henry.
- Zgadza się - odparł dziadek. - Straciłem żonę.
- Zastanawiałeś się kiedyś nad wizytą u terapeuty?
- Głosował pan na Busha?
- Nie.
- Zastanawiał się pan nad tym?

-Tak.

Mój dziadek pokiwał głową.

-Nie.

Doktor Vic uniósł brwi.

• Nie, nigdy się nad tym nie zastanawiałem - rzekł dziadek. - Nad wizytą u terapeuty. By uleczył mnie z bólu.

• Znam całkiem niezłego - oznajmił doktor Vic.

Przez parę sekund uśmiechali się do siebie, mrużąc oczy, jak mężczyźni, którzy nie są naprawdę szczęśliwi.

Doktor Vic przekręcił kluczyk i silnik ocknął się w szumie klimatyzacji.

- Nalegam, żebyś odtąd mówił do mnie Vic.

- Doskonale, Vic. - Dziadek klepnął dach braw.

Doktor Vic nacisnął przycisk podnoszący okno.

- Odbiorę cię o czwartej, George - powiedział. Już zza szyby obdarzył mnie pełnym napięcia uśmiechem i zaczął cofać wóz.

* * *

Kiedy bmw zniknęło za zakrętem, dziadek położył mi dłoń na ramieniu. Zacisnęła się niczym szpon. Czulem, jak się trzęsie.

- Muszę usiąść.

Przykucneliśmy razem. Dziadek nadal trzymał się kurczowo mojego ramienia. Z wysokości ostatnich kilku centymetrów klapnął ciężko, z jękiem. Usiadłem obok.

Chodnik był rozgrzany od słońca, dziadek oddychał ciężko, dłonie trzymał na kolanach. Wyciągnąłem rękę i pstryknięciem zrzuciłem kawałek orzeszka tkwiący w kąciu jego ust. Skinął głową i zakołysał się lekko, oddychając ze świstem. Mijały sekundy, minuty. Obok przejechał jeden samochód, drugi, ciężarówka; kolejne samochody osobowe i ciężarówki.

Miałem wrażenie, jakby mój dziadek chciał się rozplakać. Zupełnie nie wiedziałem, co bym wówczas zrobił.

- Nigdy jeszcze nie siedziałem na podjeździe - powiedziałem.

- Chyba faktycznie to jedno z miejsc, na których zwykle się nie siada.

Głos miał zmęczony, lecz opanowany. Powiódł dookoła wzrokiem,

omiatając nim trawnik, tablicę i swój własny wysoki biały dom, z tej perspektywy dziwnie mały.

- No ładnie, teraz możesz skreślić to ze swojej listy.

70

- Listy?
- Listy „rzeczy, które zrobiłem przed śmiercią”.
- Ty też - mruknąłem.
- Ja też - potwierdził. Jego twarz przybrała zamyślony, odległy wyraz. - Wiesz, kto ma piekielnie długą listę? Założę się, o co chcesz.

-Kto?

Dziadek machnął ręką w stronę domu Desjardinsów.

• Gilbert.

• Naprawdę?

• To hedonista.

• Co to znaczy? - spytałem.

Dziadek uśmiechnął się szeroko.

- Lepiej, żebyś nie wiedział. - Wybuchnął śmiechem, po czym umilkł

nagle, jego oczy zwilgotniały. Kilka razy zakasłał, potarł ręką twarz. - Nie patrz - rzekł i zacisnął powieki, gdy wydmuchiwał nos na chodnik.

* * *

Kiedy wróciliśmy do domu i wdrapywaliśmy się po schodach, znów się na mnie opierał, wbijając palce w ramię. Na podeście zatrzymaliśmy się, by odetchnąć. Czułem w piersi wibracje jego oddechów.

Poprzedniej jesieni mój nauczyciel biologii, pan Capers, chudy i nerwowy doktorant z USM, zyskał sobie pewną sławę, hodując w szkolnym ter-rarium ptasznika Borysa. Przyglądaliśmy się włochatemu pajakowi z zachwytem i wstętem, komentowaliśmy jego potężny apetyt. Po sześciu zdominowanych przez karmienie pająka zajęciach Borys osiągnął wielkość pięści, a w czasie przerwy świątecznej padł. Z myślą o przyszłych uczniach biologii pan Capers, zamiast wyrzucić truchło, umieścił Borysa w bloku przezroczystego plastiku i używał jako przycisku do papierów. Lecz blok okazał się nieuszczelny. Wkrótce na powierzchni plastiku pojawiła się wilgoć. Pewnego dnia nogi Borysa się połamały, potem ciało rozpadło się na kawałki, grzechocząc w środku, gdy obracało się przycisk. Pan Capers, zgorzkniały po całym roku pracy z nastolatkami, zaczął wkrótce patrolować klasę z plastikowym sześcianem pełnym pajęczych szczątków. Jeśli zobaczył kogoś, kto nie słuchał, potrzasał przyciskiem agresywnie.

Twarde koniuszki palców dziadka przywołały wspomnienie ptasznika w plastikowym bloku, połamanego ciała, nóg podobnych do zapalek.

- Może faktycznie powinieneś pójść do lekarza? - mruknąłem.
- To tylko chwilowe, wkrótce minie. - Dziadek puścił moje ramię,

wyprostował się i resztę drogi pokonał szybkim krokiem.

Podążyłem za nim do pokoju gościnnego. Dziadek siedział na krześle przy oknie z pomarańczową zasłoną.

- Wiesz, kiedy tu tak siedzę, czasami czuję się jak ten sukinsyn Oswald. - Jedna z dłoni zatrzepotała mu na kolanach, zacisnął palce.
- Nie martw się, George, to tylko chwilowe.

71

Wówczas po raz pierwszy zrozumiałem, że gdyby Steven Sugar naprawdę chciał, mógłby zabić mojego dziadka, i to bez trudu. Gdyby dostał go w swoje ręce, mógłby przełamać go na pół. Wyobraziłem sobie, jak to robi, jak opuszcza mojego dziadka na kolano. Przypomniałem sobie, że kiedy pan Capers przechylał swój przycisk do papieru, wszystkie kawałki ptasznika zbierały się w jednym kącie niczym stosik maleńkich, poczerńiałych drewniek.

Postanowiłem opowiedzieć dziadkowi, co się stało w bibliotece.

Kiedy skończyłem, mruknął z satysfakcją.

- Zaczynamy go denerwować.

Spytałem, czy nie powinniśmy zawiadomić policji.

• „Mój własny, prywatny Wietnam”, tak powiedział? - Dziadek od sunął pomarańczową zasłonę i wyjrzał na tablicę. - No, no, no. I kto tu nie umie przegrywać?

- Co z policją? - powtórzyłem.
- Co z nimi? - Dziadek uniósł rękę i parę razy rozprostował palce.

Wszystko zdawało się pozostawać pod kontrolą.

- Powiedział, że spali ci dom.

Dziadek się roześmiał.

- Już to słyszałem. - Wycelował z palców w portret Josepha Hillstro-
ma. - Czy nie powtarzają tego od zawsze, Joe?

* * *

Parę minut później już spał zjedną ręką na IL-47. Przykryłem go kocem. Dłoń dziadka spoczywała na naoliwionym drewnie kolby.

Kiedy zszedłem na dół, zastałem Gila oglądającego telewizję i szykującego śmieciowego skręta z niedopałków w popielnicze.

- Weź sobie krzesło, mały. Wiesz, która godzina?

Zerknąłem na zegar na ścianie.

- Dwunasta.

Gil skrzeszył w palcach niedopałek.

- Nie, godzina dupy.

Nie potrzebowałem innego zaproszenia. Usadawiłem się w fotelu dziadka.

Gil wprosił się, by pooglądać swój ulubiony kanał, mało znaną stację kablową na samym końcu skali pokazującą niemal wyłącznie importowane programy na temat życia nagich Europejczyków. Nosiła nazwę Goły Stary Świat.

W ciągu kilku miesięcy po śmierci babci i po tym, jak u Gila zdiagnozowano raka, często towarzyszyłem dwóm starszkom palącym trawkę i wegetującym przed telewizorem podczas maratonów Gołego Starego Świata. We trzech wpatrywaliśmy się jak zahipnotyzowani w ekran pokazujący zdumiewające cuda, takie jak reportaż z cukierni na przedmieściach Zagrzebia, gdzie kelnerki topless podawały ciasteczka w kształcie piersi. Albo

72

materiał o popularnym i kontrowersyjnym łotewskim zespole garażowym, który podczas występów nosił wyłącznie sztuczne brody; na końcu występu członkowie zespołu uprawiali ze sobą seks oralny, jednocześnie grając (zdumiewająco dobrą) swoją wersję „Won't Get Fooled Again”. Widzieliśmy też odcinki o nagich hiszpańskich rolnikach opalonych na kolor negatywu fotograficznego, nagim burmistrzu w Finlandii, który udzielał ślubu innym nagim ludziom, i dobrotliwym kulcie poczciwych nudystów jeżdżących tramwajem w Yaduz i pomagających starszkom dźwigać torby z zakupami. Gdy oglądało się ten kanał, można było odnieść wrażenie, że na całym świecie ludzie żyją i pracują nieograniczeni strojami.

Pierwszy odcinek tego popołudnia opowiadał o nagiej trupie cyrkowej podróżującej przez Hiszpanię.

- George... - Gil uniósł błyszczącego śmieciowego jointa. Wsunął dłoń pod pachę i wydał z siebie soczyste pierdnięcie, po czym mrugnął do mnie porozumiewawczo. - Kiedy pójdziesz do college'u, będziesz się cieszyć, że to zrobiłeś.

Wzmianka o college'u przywołała w mojej pamięci wizję uroczej, rudowłosej Myrny Carp o miękkich piersiach, studentki Yassar College, którą pigułka powstrzymała przed zabiciem kogoś, a także wspomnienie pocałunku złożonego na moim czole. Przypuszczałem, że w Yassar trawka jest czymś zupełnie normalnym. Przyszło mi też do głowy, że moja matka strasznie by się wkurzyła. Wszystko zawsze zaczynało się od trawki. Ty też od niej *zaczynała*.

- Chuja tam - mruknąłem.
- I tak trzymać - odparł Gil.

Patrzył, jak krztusząc się, pociągam parę razy, a potem wydlubał mi spomiędzy palców skręta.

- Sztachu-sztachu i po strachu. - Zachichotał.

Przez cały występ kruczowłosej gimnastyczki tańczącej na linie miałem potężny wzwód. Potem zrobiło mi się niedobrze, gdy na ringu pojawił się kłown, pająkowaty stwór o jajach pomalowanych na czerwono. Jego najlepsza sztuczka polegała na wyciąganiu miniaturowych dildo z włosów kobiet siedzących w pierwszym rzędzie. Siedzący na kanapie Gil patrzył przez zasłonę dymu.

Zacząłem się pocić i denerwować. Czułem każdy włos na ręce, a ochryple śmiechy starca zdawały się odbijać echem w mojej głowie.

• Pewnie na ten widok masz ochotę rzucić wszystko, uciec i wstąpić do cyrku, co? - Dym zdawał się przywierać do czaszki Gila, tak jak to czyni mgła nad bagniskami w horrorze.

- Nie - odparłem. - Kłown jest popieprzony.
- Nie wydaje ci się, że wygląda jak Nader? No wiesz, kłown.
- Co?

- Ralph Nader - wyjaśnił Gil. - Spróbuj wyobrazić go sobie bez ubrania.

73

- Nie chcę - rzuciłem. O Ralphie Naderze na pewno nie miałem

ochoty myśleć. Czulem zmęczenie obejmujące mięśnie twarzy. Na ekranie kłown uczył w komicznym pościgu z lwem ubranym w stosowną do swych rozmiarów parę spodni.

- Uważam, że są bardzo podobni - oznajmił Gil.

Przysnąłem na parę minut, obudziłem się na moment, kiedy Gil zgasił telewizor i wyszedł, a potem zapadłem w głęboki sen. Śniła mi się matka. Znow siedzieliśmy przy stole i przesuwaliśmy notesy tam i z powrotem, jakbyśmy prowadzili rozmowę, ale w piórach mieliśmy niewidoczny atrament. Chichotaliśmy jak szaleńcy, rzucaliśmy wokół papierami. Poszedłem na wiec przed domem mojego dziadka. Na podium stał Ralph Nader. Zaczął przemawiać; głos miał poważny, twarz jeszcze poważniejszą, skóra zwisała z niej luźno niczym maska.

- Rodacy, Amerykanie... Wezwałem was tutaj, bo nasza demokracja przekształciła się w system monopartyjny działający w interesie kilku krwiożerczych korporacji - urwał dla większego efektu. - Sprowadziłem was tutaj, bo pomalowałem sobie jaja na czerwono.

Śniło mi się, że jadę na rowerze. Lawirowałem po niekończącej się drodze pełnej taksówek kombi.

Bolała mnie głowa, na zegarze dochodziła czwarta. Poszedłem do kuchni po coś do jedzenia, w lodówce jednak znalazłem tylko napój owocowy i sosy. W szafkach stało kilka napoczętych słoików orzeszków i parę torebek z bulionem.

Przez okno nad zlewem widziałem basen. Gil drzemał na nim wyciągnięty na fioletowym nadmuchiwanym fotelu. Krocze przesłonił otwartym słownikiem, lecz spomiędzy kartek wyglądała niczym kret ciemna główka jego penisa.

- Jezu Chryste - powiedziałem głośno i wybiegłem.

9

U wylotu Dundee Avenue zaparkowałem rower za żywoptem i skończyłem słoik orzeszków. Gdy zobaczyłem pokonujące zakręt bmw doktora Vica, wskoczyłem na siodelko i ruszyłem do domu dłuższą drogą, okrążając miasto od strony południowej. Tuż przy granicy bez zastanowienia jeszcze raz skręciłem na osiedle, gdzie mieszkał Dale.

Wszystkie tutejsze domy zbudowano według tej samej sztancy - nie-różniące się niczym od siebie szeregowce pomalowane na biało bądź błękitno, stojące wzdłuż serii alejek, które zapewne miały stwarzać wrażenie, że jest się w prawdziwej wiosce, nie na osiedlu skonstruowanym z prefabrykatów, lecz zamiast tego sprawiały, że człowiek gubił się pośród nich jak w gabinecie luster. Od dawna nie odwiedzałem tej dzielnicy i niemal natychmiast się zgubiłem. Za każdym zakrętem natychmiast rozpoznawałem wszystkie domy, by chwilę później uświadomić sobie, że wy-

glądają odrobinę inaczej - a może nie, może kręciłem się w kółko. Pamiętam, jak pewnego wieczoru siedziałem do późna, oglądając nową wersję „Inwazji porywaczy ciał”. Dopiero potem zacząłem się zastanawiać nad znaczeniem tej historii. Co by się stało, gdybyśmy zniknęli wszyscy, zastąpieni ludźmi ze straków? Co dalej? Może ludzie ze straków próbowaliby żyć tak jak my, ale nie do końca wiedzieli jak, toteż zaczęliby wznosić osiedla podobne do tego, w którym mieszkał Dale, pełne identycznych domów, bo sądzili, że tak właśnie czynili ludzie.

W końcu znalazłem dom Dale'a - udało mi się to wyłącznie dzięki papierowemu czarnemu kotu w okienku drzwi garażu. Parę Hallo-weenów temu na moich oczach przykleił go do szyby.

Plastikowy basenik dziecienny przed domem był natomiast czymś nowym. Domyśliłem się, że biorąc pod uwagę ostatnio panujące upały, dzieci pani Dahl zapewne uwielbiają się w nim pluskać. Podjazd był pusty.

Mogłem się założyć, że Dale grał na nim z dziećmi w piłkę, tak jak wcześniej ze mną. Działo się to zeszłego lata. Dale otwierał frontowe okna i podkręcał dźwięk w telewizorze, żebyśmy jednocześnie słyszeli odgłosy meczu. Matka lubiła wystawiać grill na podjazd i przyglądać się nam podczas szykowania jedzenia.

Wyłowilem z basenu figurkę Gąbkowego Boba, urwałem mu nóżki. Kawałki rzuciłem w trawę i natychmiast pożałowałem. Wróciłem, podniosłem nogi i resztę. Jaskrawy tors zabawki wyglądał niczym żalony wrak, a

szczęśliwy uśmiech widoczny na twarzy jeszcze dodawał mu smutku. Przypuszczałem jednak, że jakiś maluch go uwielbia.

Wetknąłem nogi w ich otwory i naprawiłem zabawkę. Potem posadziłem ją na krawędzi basenu, tak że wyglądała, jakby się tam opalała albo coś takiego.

Może Dale kupił dziecku lalkę? Może napisał na jej temat kilka ogłoszeń?

Nowe życie! Poszukiwany morski stwór!

Morski stwór poszukiwany do wsp. nowego życia. Musi być uroczy, miękki, niesamow. Wymagane: świetny dzieciak, inne ząb., supermama.

Uznałem, że w tym momencie powrót stanowiłby coś w rodzaju przyznania do winy, jakbym zrobił coś złego - sam nie wiedziałem co. Pope-dałowałem w stronę lotniska.

Usiadłem na murku w cieniu dębu, z którego wiatr zerwał większość liści. Patrzyłem na lądujące samoloty pasażerskie i prywatne odrzutowce. Podchodziły do lądowania kolejno, od południa, zawsze przelatując w tym samym miejscu nad autostradą, zupełnie jakby podążały niewidocznym korytarzem, po czym jechały po pasie równie łatwo jak ręka przesuwająca się przez rękaw.

W samolotach tych siedzieli letnicy, turyści z Connecticut i Nowego Jorku zmierzający na weekend do Kennebunkport i Cape Elizabeth łowić

75

ryby, jeździć na nartach wodnych i rzucać na ziemię puszki po napojach. Przez tydzień albo dziesięć dni będą pić, sikać do jezior, płacić groteskowo zawyżone ceny za antyki i zajadać homary ubrani w plastikowe śliniaczki poplamione masłem i strzępami białego mięsa, aż w końcu wsiądą do kolejnego samolotu obolali, spieczeni słońcem i gotowi wrócić do cywilizacji.

Gdy mieszkaliśmy w Blue Hill, były chłopak mojej matki, Paul Ba-gley, utrzymywał swoją pracownię garncarską, ucząc turystów - i nader często ich znudzone, rozpuszczone dzieci -jak lepić i wypalać własne pamiątkowe kubki i inne drobiazgi. Paul był z natury nienaturalnie spokojnym człowiekiem. Jego własne dzieła artystyczne zwykle przedstawiały maleńkiego, zamyślnego człowieka albo krągłe ryby z sumiastymi, żalonymi wąsami. Inaczej mówiąc, jego rzeźby były podobne do niego: bezkonfliktowe, skłonne do bardzo długich drzemek, nieco smutne i zdecydowanie wąsate. W odbywających się co dwa lata wyborach burmistrza Paul niezmiennie popierał Partię Zielonych, która w 1994 zebrała zaledwie dwanaście głosów - bez jego, bo zapomniał zagłosować.

Lecz nawet Paul - słodki, bezkrytyczny Paul, który 231 razy oglądał występy Grateful Dead i przysięgał, że każdy koncert był równie wspaniały - otwarcie nie znosił letników zapewniających mu utrzymanie.

- Co roku zjawiają się i niszczą pracownię - powiedział do mnie pewnego wieczoru, gdy pomagałem mu zamiatać. - Bałaganą mi w piecach i materiałach, ich dzieciaki bałaganą w kiblu. Mogą przecież podnieść deskę, prawda? To takie trudne? Ty podnosisz deskę, zgadza się, George? Oczywiście, że tak, ale z tymi ludźmi jest inaczej. Gdy skończą, wygląda tu jak po Altamont. Altamont na wschodzie, tyle że odbywającym się w mojej pracowni. Wszędzie wokół pełno poniszczonych rzeczy.

- Ale płacą za nie? - spytałem.

- Jasne, płacą - odparł Paul. Schylił się, by odkleić od ziemi kawałek rozdeptanego toffi, na którym widniał odcisk adidasa. - Zawsze płacą. To właśnie jest najgorsze. Uważają, że mogą zapłacić za wszystko. Że wszystko można kupić za pieniądze.

Patrzyłem na learjeta lądującego pośród kłębow pary i pisku gumy. Gdy podkołował do terminalu, wysiadła z niego pięcioosobowa rodzina grubasów ubranych w barwne szorty i hawajskie koszulki. Syn rodu o brzuchu przypominającym stos rożków od lodów okryty łopoczącą żółtą koszulką włókł za sobą na smyczy cocker spaniela i popijał napój z dwulitrowej butli. Spaniel zaszczekał i przykucnął, zalewając sikami asfalt. Za rodziną maszerowali piloci odrzutowca, dźwigali między sobą olbrzymi kufer. Wiatr unosił ich krawaty i chłostał nimi twarze.

Parę chwil później zniknęli w terminalu. Po kolejnej minucie piloci wrócili biegiem po resztę bagażu.

Rodzina grubasów była bez wątpienia bogata, a więc zapewne byli to konserwatyści - najpewniej republikanie - co znaczyło, że w pewien

76

fundamentalny sposób nie obchodził ich nikt prócz nich samych i wierzyli, iż zwykła uprzejmość to ryzyko, na które nie mogą sobie pozwolić.

Kiedy letnicy wracali do domu - dorośli do swych willi, dzieci do prywatnych szkół - wyobrażałem sobie ich codzienne życie jako pokaz absolutnego egoizmu. Widziałem w myślach, jak jadą do pracy, i wiedziałem, że nadkładają kilka kilometrów tylko po to, by uniknąć części miasta, w której czarni ludzie strzelają do siebie. (Fakt, iż w całym moim życiu znałem może trzech Afroamerykanów, nie pozbawiał mnie prawa do wydawania sądów). Widziałem letników jadących mercedesami do kościoła i słyszałem ich ciche modlitwy, w których błagają Jezusa o niższe podatki. (To, że ja sam zaledwie parę dni wcześniej, leżąc w łóżku, prosiłem Boga, by nie tylko pozwolił mi znaleźć dowód na to, że doktor Vic popełnił morderstwo, ale też podarował mi nową wędkę, zupełnie nie miało znaczenia). Patrzyłem, jak kiwają głowami, potakując słowom księdza, że aborcja to grzech śmiertelny, i czekałem, czy ktokolwiek wstanie i spyta: „W takim razie co zrobimy z niechcianymi dziećmi, kto zapłaci za ich wychowanie?”. (Choć ja sam byłem jednym z owych niechcianych dzieci, dzieckiem, które matka mogła z łatwością usunąć, nie czułem się dłużnikiem chrześcijan. Ostatecznie teraz nie byłem już niechciany).

Możliwe, że myślenie to nie różniło się od tego, jak inni ludzie pocieszają się przekonaniem, iż to akcja afirmatywna sprawia, że nie mogą znaleźć pracy, a zasiłki nie pozwalają im zaprowadzić dzieci do dentysty. Było niczym olbrzymia, gruba tafla przyciemnionego szkła, zza której mogłem wykrzywiać się do przechodniów, obrzucać ich wyzwiskami i czuć się bezpiecznie.

Umiałem tak dokładnie wejrzeć w życie letników z tego samego powodu, z jakiego mój dziadek widział wyraźnie, jak wspaniałym prezydentem byłby Al Gore: ponieważ musiało tak być.

Nie mogłem przejmować się wyjątkami, wystarczyło to, jacy byli w grupie, to że robili wszystko, czego pragnęli, nie przejmując się opiniami innych ani ich głosami. I choć miałem tylko piętnaście lat i zaledwie od czterech lat nie wierzyłem w Świętego Mikołaja, wiedziałem, że tu nie chodzi o Ala Gore'a. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że Alberta Gore[^] Juniora i człowieka takiego jak Henry McGlaughlin - który znał słowa „Międzynarodówki” i uwielbiał je do tego stopnia, iż nazywał tę pieśń hymnem i chciał, by odśpiewać ją nad jego grobem - trudno nazwać ideologicznymi braćmi.

To nie na Alu Górze Steven Sugar wypisywał wulgarne słowa. Robił to z tożsamością mojego dziadka, z jego domem.

Dom czasem popada w ruinę, farba odłazi, weranda próchnieje, drzwi się paczą. Mieszkający w nim ludzie umierają. A jednak nadal pozostaje domem i wciąż przechowuje wspomnienia, niczym zakurzony słój z konfiturami sprzed lat. A mój dziadek nie miał już czasu, by zbudować sobie nowy.

77

- A jaka jest twoja wymówka?

Przez moment dźwięk mego głosu sprawił, że zamarłem. Stałem z palcami wplecionymi w siatkę, wpatrując się w learjeta. Pasy były puste, niebo także, koniuszki gałęzi sosen na skraju pola zbrązowiały.

- Pieprz się - powiedziałem sam do siebie.

* * *

Rodzina gruszkowatych letników w kolorowych strojach wyłoniła się z terminala z całą furą bagaży. Tłusty chłopak ciągnął smycz psa, pies kopułowa! z nogą tragarza.

Władowali *rzeczy do* bagażnika pierwszej czekającej taksówki, jednej z miejscowej floty rozklekotanych kombi i wcisnęli się do środka. Drzwi taksówki trzasnęły ze zgrzytem metalu i piskiem rdzy. Taksówka beknęła i odplynęła od cementowej wyspy. A ja umknąłem za drzewo i przytuliłem się do pnia, nie chcąc, by mnie widziano.

* * *

Parę minut później bmw doktora Vica podjechało od strony parkingu. Doktor Vic zatrąbił i otworzył bagażnik. Odczekałem parę minut, on jednak siedział wciąż za kierownicą, bębniąc w nią lekko palcami i patrząc wprost przed siebie.

- Nie wsiałam do samochodów z obcymi - oznajmiłem.
- George, do diabła, chodź wreszcie. Samochód ma klimatyzację. Wrzuciłem rower do bagażnika i wsiałem do środka.
- Chcesz miętówkę? - Doktor Vic przesunął się i zaczął grzebać w kieszeni. Wyciągnął połamane psie ciasteczko, mruknął pod nosem i znów zaczął szukać, aż w końcu znalazł cukierka. Uniósł go, patrząc na mnie ze współczuciem.
- Wbiłem wzrok w miętówkę.
- Jak chcesz - odwinął papierek i wrzucił cukierka do ust.
- Odbiliśmy od krawężnika.
- Skąd wiedziałeś, że znajdziesz mnie na lotnisku? - spytałem.
- Doktor Vic wzruszył ramionami.
- Pomyślałem, że może chciałeś zobaczyć...
- Mylił się.
- Myliłeś się - odparłem.

10

Gdy wróciliśmy do domu nad jeziorem, lasy wokół zaczynały już ciemnieć, wciąż jednak pozostało jeszcze parę godzin dnia. Doktor Vic oznajmił, że chce mi coś pokazać.

- Ja też chcę panu coś pokazać - odparłem.
- Jasne, to świetnie - rzekł z takim zapałem, że niemal go pożało wałem.

78

Poprosił, bym dał mu sekundę, a gdy wrócił, towarzyszyły mu dwa pekińczyki. Na ten widok maleńki owad współczucia, który wykuł się właśnie w moim sercu i zaczął stawiać pierwsze nieśmiałe kroki, jęknął cicho i skonał.

Doktor Vic ruszył w stronę lasu, psy podskakiwały mu u nóg. Wsiałem na rower i popedałowałem za nimi.

Słyszając szczęk przerzutki, doktor Vic odwrócił się, zamoknął i z powątpiewającą miną podrapał się po tysiącej głowie. Miało to stanowić oznakę zdenerwowania.

- Sądziłem, że pójdziemy na spacer.
- Wolę jechać - odparłem.
- No dobra - mruknął.

Oddaliliśmy się od domu ścieżką okrążającą jezioro Keynes pod rozłożystymi gałęziami świerków i między białymi pniami brzoź. Ziemię porastał bujny gąszcz paproci i gaulterii. Chłopaczki ze skowytem naciągały podwójną smycz i szarpały się niczym dwa zdesperowane, małe mopy. Jechałem na stojąco, stoicko pokonując kolejne wyboje. W szczelinach między gałęziami połyskiwały osobliwe odpryski odbitego od jeziora światła, w powietrzu unosiła się lekka woń spalenizny.

- Nie mają pojęcia, że są małe, prawda? - Doktor Vic szedł chwiejnie za pekińczykami. Obrócił się niezgrabnie i uśmiechnął do mnie.
- O niczym nie mają pojęcia - odparłem.
- Możliwe - mruknął doktor Vic, jak zawsze dając się schwytać w pułapkę mojej niechęci.

Po niecałym kilometrze doszliśmy do rozwidlenia i skręciliśmy w prawo, oddalając się od jeziora, zmierzając w stronę wzgórz.

- Jak się czuje twój dziadek? - Doktor Vic mówił teraz do mnie, nie oglądając się za siebie.

- W porządku.
- Słyszałem, że ten chłopak Sugarów to prawdziwy łobuz.
- Dziadek mówi, że to zwykły, pospolity faszysta.

- Możliwe.

Zasaliśmy nieco dalej.

- Co wy dwaj kombinujecie całymi dniami, George? - Doktor Vic przytrzymał gałąź i spojrzał wprost na mnie. Skrzywił się lekko.

- Nic - odparłem i przemknąłem obok, po czym zatrzymałem się, czekając, by znów mnie wyprzedził. Puszczona czarna gałąź wyprostowała się ze świstem.

- Pierdoły - rzucił doktor Vic.

- To znaczy?

- Coś kombinujecie.

- Nieważne.

Znów poczułem woń spalenizny przypominającą stary koks.

- Nie przypuszczam też, byś zechciał rzucić więcej światła niż twoja matka na to, co robiliście razem ostatniej nocy.

79

- Słusznie pan przypuszcza.

- Posłuchaj, George, zgadzam się ze wszystkim, co twój dziadek umieścił na tej tablicy. Ala Gore'a potraktowali twardym bolcem od tyłu, i to bez osłony. Byłbym wdzięczny, gdybyś nie wspomniał matce, że tak to ująłem, ale wiesz, co mam na myśli.

- Jasne - odparłem. - Nie powtórzę jej, że uważa pan, iż Ala Go-re'a wydymali w dupę.

Doktor Vic głośno wypuścił powietrze. Po paru sekundach znów zaczął mówić.

- Z drugiej jednak strony nie *znaczy* to, że w Białym Domu zasiada teraz Adolf Hitler. Posłuchaj, Bush nie jest najgorszym potworem świata. Sprawia wrażenie przyzwoitego faceta. Różnie można go nazwać, ale z pewnością nie, jak to ujmuje twój dziadek, pospolitym faszystą. To po prostu stary chłop. Kraj przetrwa.

Doktor Vic zatrzymał się, żeby podnieść Chłopaczków; psy skomliły i śliniły się radośnie. Zupełnie jak śpieszący do pracy biznesmeni wsuwający gazetę pod pachę, on także chwycił po jednym psie w kształcie kiełbasy i przykucnął, przechodząc pod niskim, grubym konarem. Zeskoczyłem z roweru i oparłem go o drzewo.

- Zatem cokolwiek robicie, lepiej zachowajcie rozsądek. I lepiej niech to nie będzie nic niebezpiecznego.

Przecisnąłem się pod konarem.

- Albo co?

Ścieżkę przecinało błotniste zagłębienie. Chłopaczki natychmiast pobiegły w błoto i zaczęły się siłować. Doktor Vic wskazał ręką leżący w krzakach omszały pień, chwycił go z jednej strony, ja wziąłem drugą. Przerzuciliśmy pień nad zagłębieniem i przeszliśmy na drugą stronę. Trącił psy suchą gałęzią i popędziły naprzód. Wyraźnie znały drogę - rwały przed siebie w gęstym poszyciu.

- No i? - powtórzyłem. - Albo co?

- Czy twój dziadek też wini mnie za śmierć Gerry?

Ledwie zdołali zmieścić na nagrobku pełne imię i nazwisko babci: Ge-raldine Sarah Niven McGlaughlin. Jej epitafium brzmiało: „Żona, matka, robotnik, «Nie płaczcie! Działajcie!». 1928-2000”.

- Nie, i ja też pana nie winię. Powiedziałem to mamie tylko po to, że by jej dogryźć.

Przeszedł parę metrów, tupiąc głośno.

- Cieszę się - rzekł. - Lubię twojego dziadka i lubię ciebie, George.

- Usłyszałem znajome cmoknięcie jego języka. - Nie uważam też, żebyś był złym chłopakiem, ale to było naprawdę paskudne. Wredne słowa, na wet jeśli nie mówisz ich serio. Wredne wobec mnie i wobec twojej matki. Nie możesz tak postępować.

- Mogę robić, co tylko zechcę - odparłem.

Ostatnie pół kilometra pokonaliśmy w milczeniu. W końcu wyłoniliśmy się spomiędzy drzew na polanę z porzuconym truchłem starego stu-debakera. Wrak stał w lekkim zagłębieniu, jakby sam powoli zakopywał się w ziemi. Z bagażnika wyrastało młode drzewko, z siedzeń pozostały tylko metalowe ramy. Nieopodal stos poczerniałych kamieni i zwęglonych patyków wskazywał, że niedawno rozpalono tu ognisko.

- Niezłe, co?
- Jasne - odparłem - niezłe.

Usiadł na masce studebakera i poklepał miejsce obok siebie. Udając, że nic nie widzę, podszedłem do ogniska i kopnąłem kamień. Potem wsunąłem rękę pod pachę i wycisnąłem z siebie kilka pierdnięć, tak jak nauczył mnie Gil.

Doktor Vic pokiwał głową. Pod jego pachami i w zagłębieniu na brzuchu wystąpiły ciemne plamy potu. Znów o mało nie zacząłem mu współczuć. Był wysoki, gruby, niezgrabny, siwiał i łysiał, i dawał się trzymać w szachu piętnastoletniemu chłopakowi. Przypuszczam, że to go zmęczyło. Może mnie także.

- Znalazłem ten wóz parę lat temu. Spacerowałem i nagle ujrzałem ten zdumiewający widok w naprawdę dziwnym miejscu. Mocno mną poruszył, George, i sporo o nim myślałem. Zastanowił mnie fakt, że od drogi dzieli nas półtora kilometra. Ktokolwiek zatem przejechał przez las, nie dotarł tu z łatwością, co oznacza, że wóz musiał być w całkiem niezłym stanie.

Psy ułożyły się u jego stóp, dysząc radośnie. Poglaskał je po głowach.

- I po zastanowieniu, George - rzekł - potrafię wymyślić tylko trzy możliwe scenariusze. Pierwszy, że był to samochód przemytnika. Jakiś stary gangster zjechał prosto z drogi, dotarł z łoskotem tutaj, porzucił cztery kółka i kasę, i wyruszył na wzgórze.

W myślach ujrzałem przebiegającego w krzakach ducha grubo ciosanego wiejskiego przemytnika w farmerkach i gumiakach, z cieniutkim wąsikiem. W jednej dłoni ścisnął słomkowy kapelusz, w drugiej kolbę obrzytną. Zrozpaczony obejrzał się przez ramię i zniknął w kępie białych sosen.

- Podoba ci się, co? - Doktor Vic uśmiechnął się szeroko.

Wzruszyłem ramionami, ale nie potrafiłem powstrzymać lekkiego uśmiechu.

- W porządku. W moim drugim scenariuszu występuje facet - mąż, ojciec - któremu odbiło, totalnie odbiło. Miał dosyć wszystkiego i pomyślał: Do diabła z tym! Nie obchodzi mnie już moja praca, żona ani dzieci, do diabła z tym wszystkim! Wjechał samochodem głęboko w las, by nikt go nie znalazł, a potem wrócił na drogę, wystawił rękę, złapał okazję i odjechał, nie oglądając się za siebie.

W umyśle usłyszałem głuchy, bolesny huk skórzanego buta uderzającego w dawno zaginiony kołpak, gdy człowiek, którego nic już nie obchodziło, ostatni raz kopnął swoje życie, a potem odkuśtykał, wlokąc za sobą stopę niczym węża.

• Ale - doktor Vic uniósł rękę - żaden z tych scenariuszy nie zadawała mi do końca, George, i wyjaśnię ci dlaczego. W pierwszym przemytnik - przestępca - mógłby ukryć tu samochód, ale wątpię, by go znalazł. Był zbyt chciwy. W drugim mamy człowieka, który opuścił swoją rodzinę i zapomniał o wszystkich obowiązkach. Cóż, wątpię, by takiemu sukinsynowi przyszło do głowy porzucić pojazd. Bo niby czemu? Ktoś taki nie ma sumienia, więc nie mógłby wstydzić się i próbować ukryć tego, co zrobił. Nie, jestem niemal pewny, że ktoś taki zabrałby wóz i odjechał, dodając gazu, by jak najszybciej móc zacząć mącić w życiu innych.

- Aha - mruknąłem.

Przykucnąłem obok wygasłego ogniska i z roztargnieniem podniosłem papierową tulejkę, opakowanie fajerwerku bądź flary. Widziałem gangstera i męża uciekiniera przykucniętych przy innym ognisku płonącym

gdzieś głęboko wśród wzgórz. Była bezgwiezdna noc, cienie płomieni tańczyły szaleńczo na poszarpanych skałach wąwozu. Obaj mężczyźni trzymali w rękach dymiące kielbaski nabite na patyki i przyglądali się sobie z wilczymi uśmiechami.

- Co doprowadza mnie do trzeciego scenariusza i na niego właśnie chciałbym postawić całą sumę. Słuchasz mnie, George?

Miękki, łagodny głos doktora Vica spoważniał. Nagle przyszło mi do głowy, że pewnie tym samym tonem informuje pacjentów, iż umierają, bo czarnych pnączy rosnących w ich ciałach nie da się wyciąć chirurgicznie ani wypalić chemioterapią. Zerknąłem na niego i skinąłem głową, czekając na diagnozę.

- Z czasem zacząłem myśleć, że właściciel tego samochodu z początku był tylko zwykłym samotnikiem. Pewnego dnia coś zaczęło go męczyć... nie wiem co: niepowodzenie w interesach, w miłości, pech, po prostu nie wiem, ale cokolwiek to było, ów człowiek głęboko wewnątrz strasznie się bał i w pewnym momencie, gdy jakaś część jego życia się zmieniła, poczuł, że już dłużej nie wytrzyma. Miał przed sobą coś, co zawsze go przerażało, i nagle uznał, że nie może już nikomu ufać. Zaczął wycofywać się coraz bardziej. Ukrywał się, robił coraz twardszy. I wiesz co?

Zgniotłem w dłoniach papierową tulejkę, popiół przesyłał mi się między palcami.

- Nie - odparłem.

- To nie miało znaczenia, bo ludzie wciąż go widzieli. Zatem nasz samotnik uznał, że potrzebna mu kryjówka. Znalazł to miejsce w lesie i za chował je w sekrecie. Ale tu przecież niczego nie było. I to sprowadza mnie do tego, jak wyobraziłem go sobie po raz pierwszy. Pomyślałem: a gdyby ktoś przyniósł tu samochód kawałek po kawałku, setki, tysiące części, począwszy od najmniejszych śrubek po lusterka, opony i silnik? A potem zmontował całość tutaj, w samym środku lasu?

Zdumiewający wysiłek, prawda? Ale jednocześnie absolutnie zwariowany i bezsensowny. Samochód w tym miejscu niczemu nie służy, nie jest lepszy niż jaskinia.

82

I próbowałem zgadnąć, jaki człowiek czułby się tak źle z samym sobą, że byłby skłonny poświęcić tyle energii tylko po to, by nie musieć przystosować się do nowego życia. Stąd właśnie wizja mojego samotnika i przekonanie, że właśnie w ten sposób sprowadził tu samochód. Przyniósł go kawałek po kawałku.

Zapadła ciężka cisza i zrozumiałem, że doktor Vic uważa to za zakończenie historii.

- I co wtedy? - spytałem.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może siedział tu, póki nie umarł. Może wrócił do domu.

- Nie sądzi pan, że ludzie by zauważyli, gdyby jego samochód zaczął znikać? Zwłaszcza gdy wynosiłby silnik, drzwi i tak dalej.

- Jasne - rzekł doktor Vic. - Założę się, że zauważyli.

- I nic by nie zrobili?

- Pewnie próbowali. Ale jeśli ktoś chce rozmontować swoją własność, kto miałby go zatrzymać? - Doktor Vic wstał i odetchnął głęboko. - Ro bi się późno.

- Twierdzi pan zatem, że wolę rozwalić wszystko na kawałki, niż się przystosować? Czy tak właśnie pan uważa, doktorze? A może niektóre rzeczy rozmontowuje się nie bez powodu, dlatego że po prostu nie pasu ją. Tak jak my, doktorze. Pan i ja ni cholery do siebie nie pasujemy. - Głos załamał mi się lekko pod koniec, ale nie pękałem. Patrzyłem hardo.

- Masz prawo myśleć, co tylko zechcesz, George. - Doktor Vic zastukał ostro w przerdzewiałe drzwi studebakera, uniósł pięść i zdmuchnął z kostek czerwony pył. - Mówiłem tylko o tym, jak kiedyś, dawno temu, pewien dziwak postanowił zmarnować zupełnie dobry samochód.

Podczas obiadu doktor Vic przypomniał sobie, że ja też chciałem mu coś pokazać.

- Co to było? - spytał.

Oboje z matką posilaliśmy się zgodnie z zasadami walki, w milczeniu, lecz z notesami w gotowości obok talerzy, niczym trzecie sztuce. *To*, napisałem, po czym narysowałem wskazującą moją osobę. Podsunąłem mu notes.

Przeczytał i spojrzał na mnie.

Powoli uniosłem środkowy palec.

Brwi doktora Vica powędrowały w górę. Nastąpiła chwila ciszy - nie-zakłócanej brzękiem sztuców ani tykaniem zegara absolutnej ciszy. A potem twarz doktora pojaśniała w uśmiechu. Podniósł się, pochylił nad stołem, wyciągając rękę i demonstrując mi dumnie mięsisty środkowy palec, sterczący zaledwie kilka centymetrów od mojego nosa. Wzdrygnąłem się lekko i odsunąłem. Doktor Vic pozostał zgięty nad stołem. Wciąż pokazywał w uśmiechu wszystkie zęby, a jego palec nadal tam tkwił.

83

Matka wydała z siebie cichy dźwięk, niczym przebita dętka. Wstała i wyszła z pokoju. Jej narzeczony osunął się na krzesło i zaczął jeść. Siedziałem tam, próbując skupić na czymś wzrok - na oknach wychodzących na wodę, odbitce Eakinsa przedstawiającej wioślarzy pośród światła i cieni - lecz moje oczy co rusz powracały do doktora Vica. Nadal jadł z obojętną twarzą, odkrawając kęsy, każdy kawałek posypując solą i pieprzem i przegryzając starannie. Opróżniwszy talerz, znów się podniósł, a ja się wzdrygnąłem. On jednak zignorował mnie, sięgnął po półmisek i nałożył sobie dokładkę. Gwałtownie odsunąłem krzesło i pomaszerałem na górę.

Nieco później zadzwonił dziadek. Chciał mówić z matką.

- Radzę, byś dziś wieczór raczej się nie wychylał - rzekł, nim oddałem jej słuchawkę.

Matka rozmawiała z nim w kuchni przez telefon bezprzewodowy. Przycisnąłem ucho do drzwi i zdołałem wychwycić strzępy konwersacji. Wyglądało na to, że dziadek miał jakieś przeczucie. Matka uważała, że jest wścibski, i próbowała zmienić temat. Spytała, co robimy razem przez całe lato. Dziadek jednak z uporem powracał do swego przeczucia. W głosie matki zadźwięczała irytacja. W końcu się rozłączyła, z rozmysłem pomijając zwyczajowe „kocham cię”.

Potem usłyszałem łoskot otwieranych i zatraskiwanych szuflad. Wreszcie wyłoniła się z kuchni, zerknęła na mnie, zmarszczyła czoło i wyszła na zewnątrz. W dłoni trzymała niewielką książeczkę w plastikowej oprawie.

Przez szklane drzwi widziałem doktora Vica popijającego piwo na tarasie. Promień reflektora oświetlał chmary meszek krążących mu nad głową. Uniósł wzrok znad krzyżówki i ujrzał matkę maszerującą wprost ku niemu z małą książeczką - czekową - w dłoni. Trzymała ją ostrożnie między kciukiem i palcem wskazującym, jak coś obrzydliwego.

Teraz nie musiałem już wyteżać słuchu. Krzyki matki przenikały przez szyby, a głęboki bas doktora Vica sprawiał, że jego protesty wydawały się jeszcze bardziej wstydlive.

- Chwileczkę, chwileczkę, zupełnie źle to odbierasz. Nie był wcale moim kandydatem, Emmo, po prostu chroniłem sobie plecy u gości w szpitalu zaangażowanych w zbiórkę funduszy. I przekazałem tyle za mo Gore'owi. W sumie wyszło na zero.

Nagle poczułem mdłości i nie chciałem już więcej słuchać. Zamknąłem się w łazience. Przycupnięty na toalecie powtarzałem w duchu, że tego właśnie chciałem, tego pragnąłem od początku. Zostałem pomszczony, prawda o doktorze Vicu wreszcie wyszła na jaw. Nie był to co prawda dowód morderstwa, lecz czegoś niemal równie złego - doktor Vic przekazał pieniądze na kampanię wyborczą George'a W. Busha. Do łazienki ich głosy dobiegały przyciszone, jakby z daleka, lecz - co dziwne - odnosiłem wrażenie, że kłótnia toczy się w mojej głowie, pomiędzy dwiema skłóconymi osobowościami.

- A jakim, kurwa, prawem sprawdzałaś moją książeczkę czekową?
Grzecznie pytam. - W końcu doktor Vic także zaczął się rozkręcać.

84

Problem doktora Vica, który ukradkiem przekazał dwieście dolarów na kampanię prezydencką George'a W. Busha, stał się tylko punktem wyjściowym do serii pytań dotyczących całego ich związku. Moja matka chciała wiedzieć, czy doktor Vic od początku ją okłamywał. Czy tylko udawał, że wspiera jej pracę w Towarzystwie Planowania Rodziny? Czy kłamał, że wierzy w prawo kobiety do wyboru? A co z antykoncepcją? Czy zdawał

sobie sprawę z faktu, że w oczach człowieka zasiadającego w Białym Domu, człowieka, któremu przekazał pieniądze, jego narzeczona ma spłonąć w piekle za grzech śmiertelny uczenia nastolatków, jak używać prezerwatyw? Czy coś takiego w ogóle obchodzi bogatego darczyńcę republikanów - i tak dalej, i tak dalej. I nawet gdy wycofałem się do sypialni, ich głosy ścigały mnie, przenikając przez okna i podłogi, aż w końcu ukryłem głowę pod poduszką, błagając ich, by przestali.

Zasnąłem na jakąś godzinę czy dwie, a gdy się obudziłem, w domu panowała cisza. Moja matka wsunęła liścik pod drzwi. *Zawsze ci powtarzałam, że jeśli naprawdę czegoś zechcesz, zdołasz to osiągnąć. To, co robisz teraz i w czym pomaga ci twój dziadek — co robicie Yictorowi i mnie — nie stanowi wyjątku. Chciałabym znów móc być z ciebie dumna. Nie wiem, czy namówił cię do tego dziadek, ale to nie ma znaczenia. Lepiej cię wychowałam. Okropnie się wstydzę za was obu.*

Cisza stanowiła jednak tylko przerwę, bo praktycznie gdy tylko skończyłem czytać, znów zaczęli. Tym razem zawtórowały im psy; Chłopaczki z jazgotem rzucały się na siatkę swojego kojca, niczym wariaci w ataku szału. Matka i doktor Vic przenieśli się z kłótnią na pomost, gdzie jeszcze niedawno pili wino, tańczyli, całowali się i zaśmiewali ze wszystkich zabawnych rzeczy, których człowiek dowiaduje się o kimś, kiedy jest w nim zakochany. Nie rozumiałem już słów, słyszałem tylko niewyraźne głosy: doktor Vic protestował grzmiącym basem, a matka odcinała się; każde słowo brzmiało jak świst bata. Warkoty i szczeki mieszały się z serią plusków, lecz nie wstałem, by sprawdzić, czy przypadkiem nie topią się nawzajem.

11

Śniło mi się, że utknąłem na poboczu. Księżyc wisiał w powietrzu niczym otwór w mroku nocy, wejście, za którym czeka dzień.

Ruszyłem naprzód. Obok mnie przejechała taksówka studebaker i skręciła na pobocze. Wciąż jechała tuż przede mną, ale zmęczyło mnie trzymanie się z tyłu. Cisnąłem kamieniem w tylne okno i taksówka zatrzymała się ze zgrzytem.

Myna Carp otworzyła drzwi i kazała mi wsiadać. Z trzymanej w ręku płyty Boba Dylana wyciągnęła sugestywnie prezerwatywę wielkości winylowego krążka.

- Myślałem, że bierzesz pigułki - powiedziałem.
 - Wsiadaj wreszcie do tej cholernej taksówki - odparła.
- Wsiadłem.

85

12

O świcie obudził mnie krzyk nura. Podeszedłem do okna.

Nocne niebo zaczynało już jaśnieć, przybierając barwę wełnistej szarości, lecz jezioro nadal było czarne, toteż wyraźnie dostrzegłem unoszące się na płyciźnie wokół pomostu srebrne krążki. Naliczyłem ich ponad pięćdziesiąt. Błyskały w ciemnej, spokojnej wodzie niczym maleńkie, zagubione UFO.

Uchyliłem okno, wpuszczając do środka świeże powietrze. Otarłem rękami oczy i kilka razy odetchnąłem głęboko, oczyszczając umysł z resztek snu.

Gdy znów spojrzałem, srebrne krążki wciąż tam były. Powoli obracały się na powierzchni jeziora. Pierwszy promień słońca wystrzelił spoza wzgórz i rozpałił je w jednym ostrym wybuchu światła niczym olbrzymia lampa błyskowa.

Uświadomiłem sobie, że owe srebrne krążki to kompakty. Było coś hipnotyzującego w tym, jak małe kawałki plastiku wypełniało światło. Nie wydawały się dziwne, jedynie smutne i piękne.

I wtedy dotarło do mnie, że w naszym domu mieszka tylko jedna osoba mająca dużą kolekcję płyt. Z tego wniossek, że gdy kłótnia na pomoście rozgorzała na dobre, słyszane przeze mnie pluski musiała wywołać moja matka, wrzucająca do jeziora Keynes nudną, sentymentalną kolekcję CD narzeczonego.

Uznałem, że to bardzo zabawne - ostateczne poniżenie wszystkiego, co z doktora Vica czyniło doktora Vica.

- Istny cud, że jezioro ich nie wypłuło - oznajmiłem głośno, ponieważ bohater w chwili zwycięstwa nie powinien rezygnować z błyskotliwych żartów.

O dziwo jednak nie udało mi się przywołać odpowiednio szerokiego uśmiechu satysfakcji.

Raz jeszcze przypomniałem sobie w duchu, jak wygląda sytuacja: istniała granica, nasza granica i trzeba bardzo uważać, kogo się za nią wpuszcza. Związek działający dla dobra wszystkich opiera się na wzajemnym zaufaniu. Aż do tej pory nigdy nie pojmowałem, czemu nie potrafię uwierzyć w zaangażowanie doktora Vica - co tak bardzo różni go od innych *mężczyzn*, z którymi umawiała się moja matka. Od Paula, Juppsa, Dale'a i innych. Oni wszyscy szanowali ową granicę i rozumieli dokładnie, jak bardzo mogą się do niej zbliżyć. Doktora Vica nie wyróżniało jego wielkie, pulchne ciało ani kieszenie pełne ciasteczek dla psów i miętówek, ani żalodne wierszyki, które przyczepiał do lodówki. Wyróżniało go doszkalanie, to samo, co uczyniło z Toma Hellwega łamistrajka. Gdyby chciał po prostu zostać mężem mojej matki, może wszystko byłoby w porządku, może zdołalibyśmy wynegocjować jakieś porozumienie. Potrafiłem przecież być rozsądny. Tyle że doktor Vic od początku zaczął doszkalanie. Sadzał mnie przed sobą i rozmawiał o życiu, zabierał na spacer, by przedyskutować różne sprawy - i przez cały czas próbował

86

być mężczyzną, głową rodziny, kimś, kto wyjaśnia, jak wygląda i toczy się ten świat. Mężczyzną, który odwozi mnie do domu.

Pierwsze światło dnia przywarło do srebrnych dysków, otaczając je wieńcami złocistych iskierek.

- Istny cud, że jezioro ich nie wypłuło - powtórzyłem do siebie, bo słowa te wydały mi się niezwykle zabawne.

* * *

Przed wyjściem z domu przystanąłem pod drzwiami sypialni i przycisnąłem do nich ucho. Należąca do doktora Vica maszyna do terapii dźwiękowej działała ustawiona na kojący szum wody, szmer małych opadających i cofających się fal. Ale pośród owego łagodnego szumu słyszałem rozmowę, była cicha, pełna wahania, niczym dialog o pogodzie na zajęciach językowych dla początkujących. Najwyraźniej kłótnia dobiegła końca, choć nie wiedziałem, co to może *znaczyć*. Czekałem zdenerwowany, przerażony i podniecony, lecz rozmowa nadal toczyła się szeptem, a fale wciąż liżały niewidzialny brzeg.

* * *

Gdy dotarłem do domu dziadka, zastałem dwóch staruszków siedzących w salonie z podkreconą na pełny regulator klimatyzacją, świeżo rozpaloną fajką, telewizorem z wyłączonym dźwiękiem i radiem na parapecie nastawionym na miejscową stację dyskusyjną. Gil zwinął się w kłębek na kanapie, wciąż ubrany w pidżamę. Łusą głowę oparł na poduszce. Dziadek siedział zgarbiony w fotelu. Co chwila podawali sobie fajkę.

Dziadek zerknął na mnie przekrwionymi oczami i skinął głową.

• Wnuku - rzekł. - Towarzyszu. - Najwyraźniej szukał innych słów, ale w końcu zadowolił się kolejnym skinieniem głowy i z powrotem sku pił wzrok na ekranie telewizora.

• Zdążyłeś w samą porę, chłopcze - powiedział Gil. - Mamy gołodupnych Szwedów.

Wyłączyli dźwięk w telewizorze, by dziadek mógł jednocześnie słuchać radia.

Usiadłem na podłodze. Czułem ulgę, znalazłszy się z dala od domu. Byłem bezpieczny i znów byłem sobą. I wtedy uświadomiłem sobie własne zmęczenie; musiałem spać bardzo lekko, gdy matka i doktor Vic kłócili się całą noc. Jakaś część mnie chciała wypalić „jak mogłeś?” i zażądać, by dziadek wyjaśnił mi, czemu zadzwonił do matki i zapoczątkował to wszystko. Inna część mnie upominała pierwszą. Czyż nie tego pragnąłem? Czy chcę zacząć wątpić w niego teraz?

Staruszkowie, pokaszując, przekazywali sobie fajkę. Jeden umierał, drugi oszalał, ale tylko im mogłem naprawdę ufać. Nie wątpiłem, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

- Spójrz na tych gołodupnych Szwedów - rzekł Gil. - Zupełnie niczym się nie przejmują, prawda?

87

Grupa szwedzkich ekshibicjonistów w średnim wieku, ubranych wyłącznie w górskie buty i czarne podkolanówki, wybrała się na wycieczkę. Maszerowali naprzód pośród stada pasących się łaciatych krów. Za plecami mieli błękitne góry.

Oglądałem ze skrzyżowanymi nogami, lekko spłoszony, ale też zafascynowany krągłymi pośladkami

szwedzkich kobiet i ciemnymi błyskami ich genitaliów widocznych podczas wspinaczki. Przypomniało to sen: być Szwedem w średnim wieku, nagim pośród bydła.

- Napatrz się, synu. To po to walczyliśmy w drugiej wojnie światowej. - Gil posłał mi jedno ze swych znaczących mrugnięć. Woskowa barwa jego skóry i głęboko zapadnięte oczy sprawiały, iż owa porozumiewawcza mina stała się jeszcze bardziej nieprzyzwoita, jakby już nie żył, ale nadal był podniecony.

- Nie, walczyliśmy w drugiej wojnie światowej, by ocalić planetę przed faszystowskimi imperialistami w garnkach na głowie, którzy uważali, że Bóg każe im popełniać masowe zbrodnie, i żeby oddać wiele państw ich przyjaciółom. - Miałem wrażenie, że dziadek mówi do siebie, spoglądał w ekran szklistymi oczami i chyba nic nie widział.

- No, zaczyna się - mruknął Gil. - A właśnie zbliżało się najlepsze.

Lecz dziadek przez kilka długich minut się nie odzywał, tylko kiwał głową i trzepotał powiekami. Szwedzi urządzili sobie piknik, piersi i kutasy opadały bezradnie ku miskom sałatki ziemniaczanej i garnkom pełnym klopsików. W radiu prawicowy komentator recytował przed swą publiką całą litanię zbrodni demokratycznych i liberalnych: wysokie podatki, zaangażowani sędziowie i ACLU, akcja afirmatywna, małżeństwa gejów i matki na zasiłku. Wszystko czego mieli dosyć prawdziwi Amerykanie.

- Powiem wam coś, przyjaciele, wolę pierwotną formę zasiłku - oświadczył w radiu mężczyzna o głosie Świętego Mikołaja. - Nazywają ją pracą. Poszukajcie sobie pracy, pijawki. Na miłość boską, to ludzie, którym brak nawet rozumu, by zagłosować, jak trzeba. I wiecie, co na to odpowiem, przyjaciele? Dzięki Bogu!

Podczas gdy część Szwedów rozpięła siatkę i zaczęła grać w niezwykle rozkołysanego badmintonu, komentator tryumfalnym tonem rozwodził się nad tym, że zaledwie siedem miesięcy po fakcie kraj zaakceptował decyzję Sądu Najwyższego, który nie zezwolił na ponowne przeliczenie głosów na Florydzie.

- Załatwiliśmy tych liberałów, koledzy! - krzyknął. Rozległ się meta liczny odgłos trąbki grającej sygnał do ataku, następnie świst pocisków i szlochanie kobiet. - Ale poważniej mówiąc, ludziska, skoro tym liberałom nie podoba się demokracja, to czemu się nie wyniosą? To...

Wyłączyłem radio. Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch i zerwałem się, by pierwszy dotrzeć do parapetu. Dziadek bez słowa wstał i uniósł otwarty scyzoryk. Dyszał ciężko, twarz miał napiętą, włosy z tyłu jego głowy po kontakcie z obitym wełną zagłówkiem fotela zjeżyły się w białą, naelektryzowany wachlarzyk.

Gil schował do przedniej kieszeni puszkę po miętówkach i z jękiem oparł się o balkonik. Program dobiegł końca, Szwedzi dotarli do celu swej wędrówki, górskiego stawu i pluskali się w nim pod lecącymi napisami. Następny miał być nieciekawy reportaż na temat nagich zajęć aerobiku w Warszawie.

Dziadek ze zmarszczonymi brwiami przyjrzał się scyzorykowi, potem spojrział na mnie. W jego grymasie było coś dziwnego, jakby nie wiedział do końca, jak nóż znalazł się w jego dłoni. Zamknął go ostrożnie.

- To nie w porządku, Gil, ten człowiek nie wygrał. To był przewrót. Wszyscy o tym wiedzą.

- Nie zdołasz ocalić świata, Henry, możesz tylko dorobić się ataku serca - odparł Gil. Postukując balkonikiem, okrążył kanapę, zmierzając w stronę drzwi. - Zresztą to i tak nie ma znaczenia - dodał cicho. - Jak powiedział kiedyś pewien mądry człowiek, na tym etapie republikanie i demokraci praktycznie niczym się nie różnią.

Dziadek odłożył scyzoryk na boczny stolik.

- Chyba jestem trochę nie w sosie, George - oznajmił i pomaszerował w stronę schodów. Wspiął się na nie oparty ciężko o poręcz, dotarł do podestu i zniknął mi z oczu.

Gil podszedł mozolnie do okna i poklepał mnie po ramieniu.

- Dobry z ciebie wnuk, George. - Szurając balkonikiem, przeszedł w stronę drzwi, po czym zatrzymał się i obrócił. Uśmiechnięty skinął głową. - Uważaj tylko, żebyś nie wybił tym komuś oka.

Spojrzałem w dół i ujrzałem, że materiał szortów unosi się niczym namiot pod naporem erekcji. Mój kark zalała fala gorąca. Szybko opuściłem ręce.

- Nie wstydz się, synu, to zdrowe - powiedział umierający człowiek.
- Jeśli nie może cię podniecić gołodupna Szwedka, to po co w ogóle żyć?

13

Dziadek leżał na boku na łóżku w pokoju gościnnym i mrugając, przyglądał się oprawionemu w ramki zdjęciu Josepha Hillstroma. Nie musiałem pytać, o czym myśli. Przystanąłem w drzwiach, niepewny, czy w ogóle wchodzić.

Na zdjęciu słynne zimne oczy Josepha Hillstroma były równie małe i żywe jak zawsze, wąskie wargi zaciśnięte surowo. Kogo widział przed sobą nieustraszonego działacza? Zdjęcie w sposób nieunikniony budziło to pytanie i będzie je budziło po wieczność. Znowu pomyślałem o owym ranku, gdy odkryłem babcię martwą i zimną, z zastygłym na twarzy grymasem zaskoczenia i wstrząsu.

Hillstrom to zrobił, pomyślałem. Mniejsza o dowody poszlakowe, wszyscy wiemy, że zabił tamtych ludzi. „Nie płaczcie! Działajcie!”. Słowa były prawdziwe, lecz on kłamał.

- Rzecz w tym, że Gerry oznajmiła, iż nie potrafi z tym żyć. Ludzie z firmy sądzili, że jest taka twarda, nienawidzili jej, nigdy nie ustąpiła dą-
niom nawet o cal. Nasi ludzie też nigdy nie rozumieli, jak to jest między nami, jak kobieta może tak aktywnie działać w związku zawodowym. - Przymknął oczy. - Ale mnie ogromnie ulżyło. Nie spierałem się ani trochę.

W ostatnich słowach zadźwięczała stanowcza nuta; wyczułem ich wagę, ale nie potrafiłem prześledzić linii rozumowania. Nagle przyszło mi do głowy, że linia rozumowania mojego dziadka przypomina zapewne w tej chwili zieloną kropkę biegnącą przez monitory szpitalne w serialach telewizyjnych, wznoszącą się i opadającą miarowo. A może myśli nie podążają nawet w jedną i tę samą stronę. Może był tak zagubiony, smutny i wściekły, że jego myśli rozbłyskiwały w głowie niczym chlupnięcia neonowej farby: POGÓDZ SIĘ Z TYM, GÓWNOJADZIE! PRZEGRALĘŚ!... ALBO

SIĘ Z TYM POGODZISZ, ALBO WYNOCHA, GÓWNOJADZIE!... KOMUNISTYCZNY GÓWNOJAD!...

- Nie rozumiem, o czym mówisz, dziadku - powiedziałem.

Westchnął. Nie otwierając oczu, naciągnął róg kołdry i wydmuchał w niego nos, trąbiąc donośnie.

- Nic nie mogłem poradzić - rzekł niewiele głośniejszym szeptem.

Sądziłem, że ma na myśli kołdrę.

- Przynieść ci chusteczki? - spytałem, wciąż stojąc w drzwiach.

- Gerry powiedziała: mówimy im, że jesteśmy w tym wszyscy razem i Tom Hellweg jest dość dorosły, by to zrozumieć, a jego żona wie, za ja kiego człowieka wyszła. Ale co z dziećmi?

Rankiem stały przed bramą, dwójka dzieci, a ojciec nauczył je pytać wszystkich po kolei: „Może pan dać nam dziś dziesięć centów, czy chce pan pomóc wielkiemu waśniakowi Henry'emu McGlaughlinowi wciąż morzyć nas głodem?”, a kiedy wszyscy byli w środku, podchodziły do różnych okien i wpatrywały się w ludzi. Tylko patrzyły, a ludzie próbowali pracować. Jeden z metalowców przykrawał właśnie dźwigar; uniósł wzrok i ujrzał stojącą po drugiej stronie szyby małą dziewczynkę, która uniosła koszulkę i przycisnęła do szyby brzuszki. Tak go to zaskoczyło, że omsknęła mu się ręka i od płomienia palnika zajął się tył koszuli stojącego obok człowieka, który o mało nie spłonął żywcem.

Ktoś przeganiał dzieci, lecz następnego dnia znów wracały. Ktoś łapał ich ojca na ulicy i prał na kwaśne jabłko, lecz następnego dnia dwoje dzieci znów zaglądało w okna i pytało: „Chce pan pomóc wielkiemu waśniakowi Henry'emu McGlaughlinowi wciąż morzyć nas głodem?”.

Gdy Gerry oznajmiła w końcu, że musimy coś zrobić, poczułem ogromną ulgę.

Dziadek zmrużył oczy i spojrzał na Josepha Hillstroma. Hillstrom odpowiedział mu swym wiecznym, twardym spojrzeniem. Nawet nie drgnąłem.

- I co zrobiliście? - Usłyszałem we własnym głosie lekki dystans i zrozumiałem, że boję się odpowiedzi dziadka.

Wyobraziłem sobie dziecko przy brudnym oknie. Dziewczynka miała twarz pustą jak u lalki, jej brzuch

przypominał wydęty balonik. Bałem

90

się, że moi dziadkowie kazali je zabić, że polecili wykonać egzekucję na łamistrajku i jego rodzime za to, że przekroczyli granicę.

Fioletowe worki pod oczami dziadka wielkością przypominały skrzydła motyla. Wyglądał, jakby od tygodni nie spał, tylko siedział przy oknie aż do świtu z lunetką i karabinem, wypatrując wandala Stevena Sugara.

- Następnego dnia rano zadzwoniłem do starego znajomego w stoczni w Norfolk i spytałem, czy nie znalazłby miejsca dla przyjaciela rodziny, który musi szybko zmienić otoczenie. Gerry złożyła ofertę, a ten sukinsyn Hellweg odparł, że jest skłonny się zgodzić, ale pod dwoma warunkami: po pierwsze, nie zamierza podróżować trzecią klasą, bo od ciasnoty boli go złamana w dzieciństwie noga. Po drugie, podczas długich podróży zawsze zasycha mu w gardle.

I tak jeszcze tego samego wieczoru wsadziliśmy ich do wagonu pierwszej klasy ze skrzynką piwa i butelką whisky. - Dziadek zaśmiał się ostro i zaczął gwałtownie kasłać. Uniósł do ust rąbek kołdry i kasłał nadal przez ponad minutę. W końcu podjął szeptem: - A kiedy sprawdziłem, po raz pierwszy i ostatni, mój stary przyjaciel Tom Hellweg pracował jako nitowacz, dostawał pensję, ubezpieczenie, podwójną stawkę za nadgodziny i pięć tygodni wakacji rocznie, tak jak powinien każdy robotnik. Rozsądna pensja i nieco szacunku, o to właśnie walczyliśmy z Gerry przez całe życie dla naszych ludzi.

Wypuściłem z płuc powietrze i zorientowałem się, że dotąd wstrzymywałem oddech.

Dziadek spojrział na mokrą plamę na kołdrze, dotknął jej czubkiem palca.

• Rozumiesz chyba, że to była chwila słabości, George - powiedział.
- Gdyby Tomowi się udało, to mogłyby być córki każdego ze stu ludzi z firmy, którzy straciliby pracę. Rozumiesz to, prawda? Rozumiesz, że kiedy masz do czynienia z człowiekiem, któremu brak współczucia na wet dla własnego potomstwa, litość do niczego cię nie doprowadzi?

• Tak - odparłem.

Dziadek przytaknął, po czym powiedział jeszcze kilka zdań na temat bezwstydnego kupczenia przywilejami przez prezydenta, braku kontroli nad korporacjami i systematycznego wykreślenia kolejnych swobód obywatelskich, obsceniczności „konserwatyzmu z ludzką gwarzą” i o wielu innych sprawach, które były prawdziwe i o których ludzie nie mieli nawet ochoty rozmawiać. Ale powinni rozmawiać, do diabła, bo to właśnie ich siedzenie cicho sprawiło, że zaczęły się kłopoty i on przynajmniej nie zamierzał się zamknąć. Nie zamierzał dać się dręczyć (POGÓDŹ SIĘ Z TYM!) ani zastraszyć (ALBO SIĘ Z TYM POGODZISZ, ALBO WYNOCHA!) i z całą pewnością nie pozwoli się zniesławiać (KOMUNISTA!) nikomu, chłopcu ani dorosłemu. Nie, nie, nie. Nie na ostatnim etapie życia.

Kiedy zabrakło mu słów, otuliłem go kolejnym kocem, a on zamknął oczy i zasnął. Siedząc w fotelu przy oknie, wycelowałem w podwórko,

91

w niebieski tył tablicy, w pustą ulicę. Ocknąłem się w tej samej pozycji, przygarbiony nad karabinem. Na ulicy wciąż brakowało celów.

* * *

Dziadek obudził się późnym popołudniem. Niespodziewanie zerwał się wiatr, wzbijając z ziemi tumany kurzu i skoszonej trawy. Prąd powietrza wpadający przez otwarte okno zaszeleścił pomarańczową zasłoną. Dziadek jęknął i wyprostował się.

- Burza - powiedziałem.

Zakołysał się w przód i w tył, klepiąc i rozcierając ręce, jakby zmarzł, choć w pokoju na górze musiało być ponad dwadzieścia pięć stopni.

- Trzeba się zbudzić, poruszyć starą krew - oznajmił.

Zaproponowałem, że zanocuję u niego. Odparł, że to niekonieczne. Zatrzepotała mu powieka; trącił ją palcem.

- Jeśli naprawdę chcesz pomóc staruszkowi, nie protestowałbym,

gdybyś skoczył do Gila i spytał, czy mógłby się podzielić zapasem zioła.

W miejscach uderzeń na jego rękach wystąpiły czerwone plamy.

- Co myślisz o doktorze Vicu? - spytałem.

Nigdy nie rozmawiałem z dziadkiem o sytuacji w domu. Zakładałem, że omówili ją z moją matką i dziadek chce mi zostawić swobodę, czekając, aż sam poruszę temat.

Staruszek wzruszył ramionami.

- Jako lekarzu czy jako zięciu?

- Jednym i drugim.

- Jako lekarza twoja babcia go lubiła. Tylko to mnie obchodziło. Lipscomb był uczciwy, sensowny i nie składał obietnic, których nie mógł dotrzymać. Od początku była w stanie agonalnym i szczerze jej o tym powiedział. Twierdził, że postara się ułatwić jej te ostatnie dni, i wierzę, że to zrobił.

- Dziadek zaczął rozcierać uda i klaskać w dłonie. - Jako zięć to grubas, co biorąc pod uwagę zawód, przynosi mu wstyd. Jest też dla Emmy za stary, a to znaczy, że najprawdopodobniej na pewnym etapie będzie musiała go pielęgnować. Co więcej, wpłacił pieniądze na kampanię tego sukinsyna, który sfalszował wybory. W najlepszym razie dowodzi to braku odwagi i generalnie hańbi. Do tego jeszcze jest nudny, czym sprawia mi osobisty zawód.

Nagle wyciągnął rękę. Jego długi, pomarszczony palec zawisł zaledwie parę centymetrów od mojej twarzy. Gest ten sprawił, że zamarłem. Sądziłem, że pokaże mi palec tak jak poprzedniego wieczoru doktor Vic, że oskarży o dąsanie się, okrutne traktowanie zwierząt, podziwianie odwagi Stevena Sugara, zazdrośczenie mu jego niszczycielskich zdolności i o wiele innych zbrodni, których byłem winien. Na język napłynęły mi słowa przeprosin, o mało nie wypaliłem: „Naprawdę nie jestem taki, chcę wszystko naprawić!”.

Dziadek strącił palcem śpioch z kącika mojego oka. Pamiętałem ten gest z czasów, gdy byłem bardzo mały, a włosy na jego skroniach wciąż lśniły czernią.

92

- Ale zawód to nic nowego. Regularnie czułem się zawiedziony, od kąd Kongres przyjął akt Tafta-Hartleya. Skoro zatem twoja matka, wiedząc to, co wie, upiera się, by go kochać, pogodzę się z faktem posiadania za zięcia krypto republikanina. Przynajmniej nie jest fanem Jankesów... Przez całe życie pracowałem w systemie opartym na układach zbiorowych. Układ zbiorowy to synonim zawodu. Jego zawieranie przypomina opróżnianie tonącego statku, który i tak nie jest w stanie dotrzeć do lądu. Choć to beznadziejne, wylewasz wodę, póki nie utoniesz.

- Dlaczego? - spytałem.

- Bo tylko szalowiec tonie z własnej woli.

Uśmiechnął się szerokim, silnym, żółtym uśmiechem - tak silnym, twardym i żółtym, iż odniosłem wrażenie, że zaraz wypadnie z jego twarzy, runie na podłogę i nawet się nie potłucze. W oddechu dziadka czułem smród marihuany i orzeszków; ostatnio nie widziałem, by jadał cokolwiek innego.

Odpowiedziałem uśmiechem.

Staruszek sięgnął po słoik stojący na stoliku. Zaczerpnął garść orzeszków.

- A choć uważam, że robotnicy zasługują na demokrację, prawdziwą demokrację, wierzę też, że w tym życiu najlepsze, na co możemy liczyć, to układ zbiorowy. - Wzruszył ramionami i dodał: - Ale przecież nie muszę ci tego mówić, George. O ile dobrze pamiętam, sam także całkiem nieźle poznałeś uczucie zawodu.

Żona Gila wpuściła mnie do domu Desjardinsów, solidnej ceglanej willi, która zawsze kojarzyła mi się z bajeczką o trzech świnkach i wilku. Ostatnia świnka mieszkała w podobnym ceglanym domu i żadne wilcze wysiłki nie wystarczyły, by go zburzyć. W swoim fartuszkach i kapciach w kratę postawna kobieta w średnim wieku doskonale wpasowała się w ów bajkowy motyw.

- Przyszedłeś w samą porę - oznajmiła, prowadząc mnie do sypialni. Mówiła z sitcomową radością, bardzo dla niej typową. - Gilbert znów zachowuje się niezdolnie.

Dziadek wspominał kiedyś, że była czwartą czy piątą żoną Gila i podobnie jak on profesorką Uniwersytetu Południowego Maine. Babcia ani na moment nie próbowała ukrywać swego sceptycyzmu: „Zdaje się uczyła tam teorii literackiej. Same bzdury, i tyle”. Choć pani Desjardins przekroczyła już pięćdziesiątkę, była jedyną znaną mi osobą, którą można... należy opisać słowami „rześka i radosna”. Na stypie po pogrzebie babci krążyła po salonie z workiem na śmieci, energicznie zbierając papierowe talerze, gdy tylko ktoś je opróżnił, i upychając w worku niczym groźne dla zdrowia odpady medyczne.

Nigdy nie rozumiałem, co Gil w niej widział, zakładałem jednak, iż wiąże się to ze starością i ciągłym pragnieniem seksu oraz postanowie-

93

nem jak najlepszego wykorzystania ostatnich życiowych możliwości. Zazwyczaj jednak starałem się o tym nie myśleć.

Natomiast Gil zawsze twierdził, że ich związek w znacznej mierze opiera się na scrabble'u. Słyszałem, jak kilkanaście razy perorował o tym otoczony chmurą dymu marihuanowego, a dziadek słuchał skrzywiony.

- Kiedy graliśmy pierwszy raz, zablokowała planszę, zagoniła nas wszystkich w kozi róg, a potem czekała, aż zacznę się niecierpliwić. I gdy w końcu się wkurzyłem i ułożyłem słowo „kat” - w tym momencie nie miałem niczego lepszego, a chciałem rozszerzyć pole gry - doczepiła do końca „afalkom”. „Katafalkom”. Zarobiła sto siedem punktów. - Gil oznajmił, że wtedy już wiedział. - Całe życie chciałem pieprzyć kobiety, George, ale przez nią zacząłem myśleć o tym, co będzie później, kiedy pieprzenie dobiegnie końca. W tym momencie pojąłem, że przyda mi się dobra partnerka do gry w scrabble'a.

Zatem kiedy pani Desjardins wprowadziła mnie do salonu, nie zdziwiłem się, gdy ujrzałem rozłożoną na stole planszę i pochylonego nad nią w skupieniu Gila. Za nim, za dużym wykuszowym oknem widać było szybko ciemniejące niebo. Ponad odległymi czubkami drzew przemykały burzowe chmury. Siedział w fotelu na kółkach, którego używał w domu. O dziwo jego czoło przecinał cienki pasek, przytrzymujący kapelusz czy coś podobnego z tyłu łysej głowy.

- Masz gościa, Gilbercie. Chłopiec przyszedł spytać, czy nie znasz jakichś narkotyków, które mógłby zanieść dziadkowi.

- Hej, Gil - rzuciłem.
- Gil uniósł rękę.
- Chwileczkę, chłopcze.

Miał na sobie tylko podkoszulkę i niebieskie bokserki odsłaniające chude, porośnięte jasnymi włosami nogi i kościste kolana.

Pani Desjardins wywróciła oczami. Ponad jej ramieniem na ścianie wisiał wielki plakat Helmuta Newtona przedstawiający wyniosłą, nagą kobietę na wysokich obcasach. Połowę jej twarzy przesłaniała skórzana maska, reszty ciała nie przesłaniało nic. Zdjęcie zrobiono z dołu, przed zamkową bramą z kutego żelaza. Kąt ten podkreślał kępkę jasnych włosów na łonie modelki i minimalizował widoczną w tle wieżyczkę, która zdawała się wyrastać z jej głowy niczym róg.

- Dostrzegasz symbolikę? - spytała pani Desjardins.

Podążyła za moim spojrzeniem; jej jasne, pełne zaciekawienia oczy skojarzyły mi się z oczami mewy patrzącej na kawałek folii na ziemi - tuż przed tym, nim go dziobnie.

- Tak - odparłem.
- Oczywiście, że tak - dodał Gil, ani na moment nie odrywając wzroku od swojego zestawu liter. - W dzisiejszych czasach akurat to zdjęcie jakoś mnie nie cieszy. Dedukcję pozostawię tobie, George.

Plakat przekrzywił się lekko i pani Desjardins poprawiła go palcem.

94

- Jest oczywista, ale w tym cały urok. Nie mówimy tu przecież o Immanuelu Kancie.

- Nie zawstydzaj go - uciął Gil. -1 na miłość boską, nie mieszaj do tego Kanta.

- Chcę powiedzieć, że to nie są wielkie, skomplikowane tajemnice, tylko coś, co robią wszyscy. - Pani Desjardins wzruszyła ramionami i wywróciła oczami, bezdźwięcznie wymawiając słowo „maruda”.

Wówczas ogarnęło mnie dziwne, nieprzyjemne uczucie: mrowienie, które zaczęło się w brzuchu i wędrowało falami w górę, ku piersi. Uczucie to kojarzyłem z czasami, gdy byłem mały i matka chodziła na randki. Babcia, często opiekująca się mną przy takich okazjach, dostrzegała moją narastającą z czasem nerwowość.

- Przestań się wiercić, Georgie, skarbie. Wyglądasz, jakby ktoś za śpiewał nad twoim grobem Irvinga Berlina. Mama niedługo wróci.

Teraz, wodząc wzrokiem pomiędzy wyniosłą nagą Niemką, zbyt ciekawskimi oczami pani Desjardins i Gilem siedzącym przy stole z czymś przypiętym do głowy, poczułem tę samą niewyraźną, lecz natarczywą obawę.

W następnej chwili jednak uczucie zniknęło. Uświadomiłem sobie, że nie mam czasu na obawy. Nagle zrozumiałem, że muszę wrócić do domu i zacząć rozmowę. Wiedziałem, że czas zastosować zasady układów zbiorowych.

- Dziadek prosi o parę blantów, jeśli masz ich dosyć. Trochę źle się czuje.

Gil zacmokał, wpatrując się w litery.

- Współczuję. Wierz mi, znam ten ból.

Na tę uwagę jego żona westchnęła.

Stałem, walcząc z ochotą przeskakiwania z nogi na nogę. Nie byłem złym dzieckiem, nie byłem Stevenem Sugarem, chciałem tylko mieć swoje zdanie, coś do powiedzenia. Przypominało to sen w centrum handlowym. Gdyby wszyscy po prostu zwolnili, zwolnili, zatrzymali się i posłuchali, mógłbym powiedzieć, co mi leży na sercu i...

- Dziecko czeka, Gilbercie - przypomniała pani Desjardins.

- No dobra - odparł. Przesunął parę liter na podstawce. - Spójrz tył ko, Dick - rzekł.

Odepchnął od poręczy i przekręcił ciało w fotelu tak, by przypięta z tyłu głowy maska Richarda Nixona mogła obejrzeć słowo na podstawce. Jak zawsze twarz niesławnego prezydenta układała się w obłąkańczy uśmiech pomiędzy absurdalną czerwoną bulwą nosa i wilczymi policzkami. Gil zaczął mrużyć i lekko pokiwał głową, zupełnie jakby Nixon się zastanawiał.

Pani Desjardins splotła ręce na piersi.

- Musisz mu wybaczyć, George. W ten sposób próbuje mnie zdekoncentrować. Rozproszyc, tak to nazywa. - Zdumiewające, lecz w jej rzuconym z ukosa spojrzeniu dostrzegłem przebłysk prawdziwej irytacji.

95

Westchnęła, wzruszyła ramionami i zaśmiała się melodyjnie. - Jakiegoż zabawnego mam męża. Najpierw rak, a teraz Richard Nixon doradza mi w scrabble'u.

Gil z pomrukiem opadł na fotel.

- No dobra, Dick uważa, że to dobry pomysł - rzekł i kazał mi przynieść z szafki z lekami na górze puszkę po miętówkach. Kiedy wróciłem, Gil pokazał mi swoje słowo: „rozkwitanie”.

- To o tobie, mały - rzekł i przełożył kilka szczypt suchej trawki na bibułkę papierosową.

* * *

Podczas mojej nieobecności dziadek znów zasnął, skulony obok okna z otwartymi ustami. Przy każdym wydechu z języka ulatywała mu niteczka śliny, cofając się gwałtownie, gdy następował głośny wdech. Jedną rękę miał zaciśniętą na paczce plastikowych kulek z farbą. Wyciągnąłem ją ostrożnie i położyłem razem z jointem na parapecie.

Kiedy potrząsnąłem jego ramieniem, dziadek opadł na bok niczym oklapłe po latach wypchane zwierzę. Jego koszulę pokrywały okruchy orzeszków. Chrapnął, ale się nie obudził.

Steven Sugar, gdyby chciał, mógłby nie tylko zamazać tablicę, ale też dorysować portretowi Ala Gore'a rogi i diabelską bródkę, potem wysrać się na trawnik i zacząć tańczyć w krąg wraz ze swym porucznikiem Tol-sonem, wrzeszczeć jak Indianin i rozdierać na konfetti skradzione kawałki „New York Timesa”. Mógł zrobić to wszystko i jeszcze więcej, a wątpię, by dziadek choćby drgnął.

Moje pragnienie powrotu do domu przerodziło się w niespodziewane, szczere zrozumienie. W mym umyśle Steven Sugar zmalował nagle i poczułem, że mnie także to spotyka, zupełnie jakbyśmy w jakiś sposób pozostawali związani. Oto staruszek w oknie pragnący ostrzelać swych wrogów z karabinu, niebędącego nawet prawdziwym karabinem. Steven Sugar nie był faszystą, tylko zwykłym, wrednym smarkaczem. I myśl ta wzbudziła we mnie autentyczne zdumienie. To nie była walka. Nic z tego nie miało sensu.

To do niczego nie prowadzi, pomyślałem. Po co Steven Sugar w ogóle zadaje sobie tyle trudu? Spojrzałem na dziadka skulonego w fotelu, strużka śliny spływała mu po nieogolonym podbródku. I czemu on tak się przejmuje? Zupełnie jakby rozbierał coś na kawałki tylko dlatego, że mógł.

- To do niczego nie prowadzi - mruknąłem pod nosem, a potem sa dzając dziadka prosto i strzepując okruszki, powtórzyłem to głośno, on jednak nic już nie słyszał.

14

W drodze powrotnej do domu doktora Vica towarzyszył mi wicher i grzmoty nadciągającej burzy oraz trzaski pospiesznie zamykanych okien. Czuję się, jakby ktoś mnie ścigał, ale ja wygrywałem, wyprzedzałem wszystkich.

96

Starąłem się wymyślić, co muszę im powiedzieć. Zdumiały mnie ustępstwa, na jakie byłem skłonny pójść, zawierając umowę. Czuję się wielki i obdarzony silnym głosem. Zamierzałem dać im szansę. Jeśli zechcą mnie uścisnąć, byłem gotów im na to pozwolić; zechcą się rozplakać, ja też byłem gotów zapłakać. Owe posunięcia wydawały mi się równie jasne i wyraźne jak *rzeczy*, które widziałem po drugiej stronie lunetki karabinu, tak proste i wyraźne, że dziecko bądź człowiek niemądry mógłby spróbować sięgnąć ku nim i dotknąć ręką owych wspaniałości.

Gęstniejące, wilgotne powietrze opadało mi na ramiona niczym wełniany szal. Gdy przemykałem obok domów, drzwi garażowe zaczynały się zamykać, jakby moje koła trącały niewidoczne przewody.

Kiedy dotarłem na podjazd i zeskoczyłem w biegu z roweru, pozwalając, by upadł na trawę, cały ociekałem potem. Już na werandzie obejrzałem się i zauważyłem, że szyby bmw doktora Vica są opuszczone. Nogi bolały mnie i pulsowały, lecz i tak podbiegłem i pozamykałem okna samochodu. Gdy przekroczyłem próg domu, mój krzyk rozległ się donośnie w wysokich, przestronnych pokojach.

- Halo, halo! Wróciłem!

Pobiegłem do holu i otworzyłem szeroko drzwi salonu.

- Wróciłem! - ryknąłem ponownie. Słowo to wymknęło mi się z ust, choć w tym samym momencie ujrzałem, że tam także nikogo nie ma. Za słony falowały w otwartym oknie i bzycząca mucha krążyła wokół usta wionych pod ścianą walizek.

Mucha zatoczyła krąg i usiadła na rączce pierwszej walizki w rzędzie, niezniszczalnego, starego samsonite mojej matki. Błękitne wieko pokrywały ślady wgnieceń, pamiątki pojeździe w niezliczonych schowkach bagażowych autobusów, do których wrzucałem ją kopniakiem, pęknięcia ze wszystkich mieszkań na drugim piętrze, z których schodów zjeżdżałem na walizce jak na sankach, i niezwykle starannie nalepione łaty z taśmą klejącej, tak liczne, że wydawały się niemal kapryśną ozdobą.

Łaty te zawsze mnie irytowały. Pamiętam matkę siedzącą na podłodze wynajętego mieszkania w Boothbay, upiornej, ciasnej dziury nad barem, z którego docierał do nas ciągły smród bekonu, gęsty niczym jedno wielkie, niekończące się pierdnięcie. Nawet w wieku ośmiu lat dziwiłem się, widząc ją przykucniętą na ochrowym dywaniku, w pidżamie, w okularach przeciwsłonecznych z kryształkami, gdy starannie przycinała pasemka

taśmy i układała je niczym paski papier mache. Czy naprawdę wierzyła, że jakakolwiek naprawa tej sfatygowanej walizki ze sklepu ze starociami mogłaby sprawić, by ktoś uznał, że ma ona swoje miejsce pod słońcem, że mamy dom i rodzinę, do której właśnie wracamy?

Widok walizek wzbudził mój niepokój. Pomyślałem sobie, że Emma musiała szykować się do wyrzucenia części staroci, a może zamierzała przekazać je wszystkie do sklepu Goodwill, z którego zresztą większość

97

pochodziła. Oczywiście, tak na pewno było. Brali ślub, musieli się spodziewać, że dostaną nowe walizki. Oczywiście.

Owad zerwał się w powietrze, przez parę sekund miotał się beznadziejnie, a potem usiadł na ostatniej sztuce bagażu w rzędzie, czarnej walizce z nalepką Lufthansy. Były chłopak mojej matki, Jupps Boger, zostawił ją, kiedy oblał egzamin doktorancki i przeniósł się do Norwegii, gdzie jego przyjaciele kierowali hydroponiczną hodowlą roślin.

- Kocham ją, wiesz? Jest twarda, ma syna, chodzi do szkoły - powiedział mi Jupps, gdy widziałem go po raz ostatni. Matka była w sklepiku na lotnisku, kupowała mu szczotkę do zębów i dezodorant. - Jestem lewusem, ale mniejszym, odkąd ją poznałem. - Ekschłopak matki, ubrany w skórzaną kurtkę bez zamka błyskawicznego, podszytą różową podszewką, przytulił do siebie plecak niczym mały chłopiec i wyznał mi coś: - Twoja matka jest bardzo szczodra. Myślisz, że gdybym zapomniał walizki, przywiozłaby mi ją do Amsterdamu? - Próbowałem uśmiechnąć się przebiegle, lecz oczy miał wilgotne. - Kompletnie zapomniałem mojej walizki tylko po to, by o niej pamiętać.

Jupps nigdy więcej się nie odezwał, ale na wszelki wypadek zabieraliśmy wszędzie ze sobą jego walizkę. Bardzo ją lubiłem, bo była najlżejsza - w środku kryła jedynie kilka par średnich czarnych slipów, pustą paczkę niemieckich papierosów i poślizki numer „International Herald Tribune” z 22 października 1995 roku z na wpół rozwiązaną krzyżówką. Mieliśmy z matką własny przeprowadzkowy rytuał: pakowaliśmy wszystko do samochodu, a potem po raz ostatni dokonywaliśmy obchodu pustego mieszkania. Gdy upewniliśmy się, że niczego nie zostawiliśmy, podnosiłem walizkę Juppsa i mówiłem: „Jedziemy, Jupps”, a matka zamykała za nami drzwi.

Coraz silniejszy wiatr łopotał zasłonami, wydymał je. I gdy tak stałem w progu, usłyszałem własny oddech. Zapomniałem już, jakie to uczucie patrzeć na rząd bagaży i wiedzieć, że w środku kryje się całe nasze życie.

Wędrując po domu, zajrzałem do ich sypialni. W szafie matki zostało tylko parę drucianych wieszaków. Na drugim piętrze zastałem otwarte drzwi i pusty, uprzątnięty pokój. Ściany były nagie, poza paroma dziurami w tynku. Eleganckie dębowe biurko, za które nigdy nie podziękowałem doktorowi Yicowi, zostało opróżnione. Na łóżku ujrzałem świeżą białą pościel. Obdarta stara kapa z symboli pokoju, którą uszyła mi kiedyś babcia, także zniknęła, spakowana ze wszystkim innym.

Stanąłem przy oknie. Na szybie wylądowała kropla deszczu, potem kolejna. Na tafli jeziora pojawiła się seria kropek.

Jednakże zmiana pogody nie wywarła najmniejszego wrażenia na doktorze Vicu. Narzeczony mojej matki stał na końcu pomostu, w jednej dłoni trzymał wysoką szklanekę, w drugiej kolek i spokojnie sączył drinka.

* * *

Na dźwięk moich kroków odwrócił się i spojrzał na mnie, mrużąc oczy za mokrymi okularami. Zatrzymałem się na końcu pomostu, on jednak uniósł kolek w powitalnym geście.

98

- Hej, co słyhać?

Nie wiedziałem, co robić. Nie tak to miało wyglądać. Byłem gotów przyjąć ich przeprosiny, usiąść z powrotem do stołu. Mżawka zgęstniała w lekki deszcz, ramiona koszuli doktora Vica były już ciemne.

Obok niego na końcu pomostu stała ławka; dostrzegłem ustawiony na siedzeniu karton soku pomarańczowego i butelkę wódki, a także stos kompaktów, które zdążył wyłowić z wody. Pod ławką przycupnęły Chłopaczki niczym para włóczągów ukrytych pod mostem.

Doktor Vic zakręcił szklanekę, wysączył resztkę drinka i uniósł ją wysoko. Do środka wpadał deszcz. Wiatr wiał coraz mocniej, wzbudzając na jeziorze niewielkie fale.

- Potrzebuję lodu! - ryknął doktor Vic.

Nie zrozumiałem,

- Zamknąłem okna w pana samochodzie! - odkrzyknąłem. - Żeby siedzenia nie zmokły.

Doktor Vic spojrział na mnie nic niepojmującym wzrokiem. Zakręciłem ręką.

- Żeby siedzenia pana samochodu nie zamokły!
- Potrzebuję więcej lodu - uśmiechnął się i demonstracyjnie potrząsał pustą szklanką.

Teraz zrozumiałem i trochę się przestraszyłem.

- Gdzie moja mama?

Doktor Vic przekrzywił głowę, jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Rzuciła mnie! Wskoczyła do pierwszego pociągu do Zerwaniowa!

- Machnął kołkiem i stuknął w pustą szklankę niczym iluzjonista pukający różdżką w krawędź cylindra. - Abrakadabra! - wrzasnął. - Poszła sobie w cholerę i w dodatku nie mam lodu!

W kuchni znalazłem liścik matki, napisany na kawałku żółtego papieru przyklejonym do lodówki:

George, pojechałam do agenta po klucze do mieszkania. Wróć kolo szóstej. Czekaj.

Mama

Spóźniłem się.

Mój wzrok padł na wierszyk przyklejony obok liściku, jeden ze starych wierszy doktora Vica zainspirowany świętem Czwartego Lipca.

Gdyby byta herbata (choć oczywiście nią nie jest!)

autorstwa Victora Lipscomba

Przepiękne fajerwerki rozjaśniają niebo,

Tak jak piękna kobieta rozjaśnia życie mężczyzny samotnego.

Gdyby byta herbata,

Zabrałbym ją Azjatom.

99

I zatrzymał przy sobie. Waszyngtonie, ty snobie, Jeśli miłość do niej to zdrada, To ja wysiadam,

I wolę zostać Anglikiem.

Wyjąłem z zamrażarki tacę z kostkami lodu, znalazłem płaszcz przeciwdeszczowy i wróciłem na pomost. Doktor Vic leżał na brzuchu, jakby ktoś postrzelił go w plecy. Natychmiast pojąłem, że miał zawał serca. Miał zawał i to moja wina. Zrujnowałem życie zupełnie nieszkodliwemu człowiekowi, terroryzowałem go za to, że kochał moją matkę, że był radosnym niezgrabiaszem - a teraz nie żył. Ja go zabiłem.

Jeden z Chłopaczków wyczołgał się spod ławki i trącił doktora Vica nosem pod pachą. Doktor Vic odepchnął psi nos, pekińczyk zaskomlił cicho i odbiegł, po czym przykucnął na deskach i zaczął robić kupę. Doktor Vic usiadł. Na końcu kołka ujrzałem nabity kompakt. Płyta zsunęła się po drewnie, a on spojrział na mnie z tryumfalną miną.

- Przyniosłem lód - oznajmiłem.

- „No Jacket Required!” - zawołał i potrząsał kompaktem na paty ku niczym wojownik nabitym na włócznię skalpem. - Kurewsko uwielbiam ten album!

Wciąż się uśmiechał, po jego okularach spływała woda. Wręczyłem mu tacę lodu.

- Dzięki, George - powiedział. - Odwdzięczę się.

Deszcz lał miarowo, bębniąc o drewniany pomost. Doktor Vic usiadł na ławeczce, która zaskrzypiała w proteście. Ustawił tacę na kolanie. Patrzyłem, jak rzuca parę kostek na pomost i parę do szklanki. Przemoczony do suchej nitki gruby materiał pomarańczowej flanelowej koszuli LL Bean oblepiał mu brzuch. Doktor Vic chlupnął na lód soku pomarańczowego i zaczął wlewać wódkę. Szklanka wysliznęła mu się z palców, z brzękiem runęła na deski. Potoczyła się, spadła do wody. Rozległ się plusk i bulgot. Sok pomarańczowy na

pomoście rozplątał się w deszczu.

Doktor Vic parsknął żałośnie. Nagle jego oddech stał się ciężki i pełen uczuć.

Odwrociłem wzrok. Jakieś piętnaście metrów dalej dostrzegłem srebrny krążek podskakujący na falach i odpływający coraz bardziej.

Usłyszałem siorbanie i odwróciłem się. Doktor Vic nalał soku pomarańczowego i wódki na tacę z kostkami i spijał drinka z zagłębień. Mrużąc oczy, spojrzał na mnie nad tacą.

- Jakoś trzeba sobie radzić, prawda?
- Mhm - odparłem.
- Improwizować - dodał. - Improwizacja.

Pociągnął łyk z tacy i mlasnął głośno. Uśmiechnął się do mnie, po czym zaszlochał. Opuściłem głowę, wbijając wzrok w ciemne deski, on

100

zaś odetchnął głośno, jękliwie. Czulem, że tama zaraz puści i wizja ta mnie sparaliżowała.

Lecz doktor Vic zaczął chichotać. Chichot zamienił się najpierw w donośny śmiech, a potem w atak obłąkańczej radości.

Podążyłem za jego wzrokiem na koniec pomostu, gdzie przytulone do siebie Chłopaczki skubały kupkę świeżego gówna.

- Wiesz, George, myślę, że jedyną rzeczą gorszą od jednego psa gównojada są dwa psy gównojady - oznajmił doktor Vic.

Po kilku chwilach zdołał powstrzymać śmiech. Odchrząknął, westchnął i odstawił tacę na ławkę. Podbródek drżał mu lekko.

- George, chcę, byś wiedział, że uważam cię za świetnego dzieciaka. Po prostu nam nie wyszło.

Ruszyłem biegiem na koniec pomostu i dalej. Przyspieszając, przeciąłem trawnik, depcząc mokrą, śliską trawę. Pośliznąłem się, upadłem, znów podniosłem i nie zawahałem się nawet, słysząc, że samochód matki wjeżdża na zwirowy podjazd. Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy niebo zniknęło, gałąź uderzyła mnie w czoło i znalazłem się bezpieczny w lesie.

15

Przez jakiś czas podążałem błotnistą ścieżką, nie mając pojęcia, dokąd zmierzam. Skupiłem się wyłącznie na głuchym odgłosie kropel uderzających w kaptur płaszcza. W moim ubraniu było mi zimno, nieprzyjemnie. Nie wiedzieć czemu zacząłem myśleć o Arktyce i o tym, jak tamtejsi turyści od czasu do czasu natrafiają w górach na osiemnasto-wiecznych badaczy, zamrożonych i idealnie zachowanych. Wyobraziłem sobie gablotę ze mną jako eksponatem w muzeum. Przewodnik wyjaśniał nosowym tonem: „Oto Niewdzięczne Dziecko, datowane metodą węglową na początek dwudziestego pierwszego wieku. Nasze badania dowodzą, że ten okaz rozbił narzeczeństwo matki i wspomógł dziadka w planach obłąkańczej zemsty. Paskudny mały potwór. Zmarł jako prawiczek”. Usiadłem na mokrych liściach, oparty plecami o drzewo. Było już prawie ciemno, deszcz padał coraz mocniej. Ziemia była zimna. Poczułem zapach dymu.

* * *

Rozpalili niewielkie ognisko w pustej komorze silnikowej studebakera. Dwaj żołnierze siedzący w kabinie byli ledwie widoczni w świetle ognia, dostrzegłem jednak, jak jeden z nich poruszył się, gdy się zbliżyłem.

- Mieliśmy wypadek - oznajmił Sugar, kiedy podszedłem do drzwi od strony pasażera. Nie bałem się.

Obok niego siedział Tolson z odchyloną głową i zamkniętymi oczami. Na policzku miał wielkiego fioletowego sińca. Z włosów pozostała mu jedynie zwęglona masa z zakrwawionym łysym plackiem na skroni. Otworzył jedno oko i spojrzał na mnie, dwa razy mrugnął ponuro, po czym znów je zaniknął.

- Uszkodzona flara - wyjaśnił Steven.

101

- Jak bardzo jest źle?

- Kompletnie do dupy - oświadczył Tolson. Jego głos, co zrozumiałe, zabrzmiał wyjątkowo ponuro.

- Wcale nie - sprzeciwił się Steven.
- To znaczy?
- Nic mu nie będzie. Musi tylko trochę odpocząć.

Nowa fala deszczu z łoskotem uderzyła w drzewa, krople zabębniły na dachu kabiny. Machnąłem ręką, rozpraszając wilgotny dym. Sugar siedział spokojnie na przednim siedzeniu, jakby wybrał się na zwykłą, leniwą niedzielną przejażdżkę.

- Co teraz robicie? - spytałem.
- Wyluzowujemy się - odparł Steven.

Skinąłem głową. On także.

- Wejdiesz? - Steven wymierzył doskonale wycelowanego kopniaka w drzwi studebakera, które otworzyły się ze zgrzytem. Odparłem, że ja sne, i wsiadłem do środka. Przesunęli się. Tolson zaprotestował jękliwie. Steven powiedział mu, żeby nie był taką cipą.

- Straciłeś tylko trochę włosów, stary.

Przez chwilę nie rozmawialiśmy. Patrzyliśmy na deszcz poruszający gałęziami. Dym z ogniska bił spod uniesionej maski i snuł się po polanie niczym postrzępiony woal. W kabinie było jednak sucho i przytulnie od ciepła naszych ciał.

- Mamy parę kawałków torfu, będzie się palić do rana. Przeczekamy burzę.

- Często tu bywacie? - spytałem.

- Raczej nie - odparł Steven. - Dopiero niedawno rozbiliśmy tu obóz, kiedy postanowiliśmy spalić twój dom.

Przyjąłem to spokojnie.

- To nie mój dom, należy do narzeczonego mojej matki.

- Tak czy inaczej zamierzaliśmy spalić cholerstwo do szczętu. Posłać wiadomość staremu McLaughlinowi. - Spojrzał na mnie otwarcie. - Po dejście twojego dziadka zaczęło mnie wkurzać, i to bardzo.

Wzruszyłem ramionami.

- Niewinne ofiary, co? Tak bywa. I co się stało?

Steven Sugar uśmiechnął się szeroko.

- Tolson się przypiekl. - Szturchnął partnera łokciem. - Hej, może następnym razem spróbujesz nie celować sobie flarą prosto w twarz.

- Zaraz ci dokopię, gruby fiucie - odparł Tolson, nie otwierając oczu.

- Czy to *znaczy*, że nie spalicie już domu doktora Vica? - spytałem.

- Może - rzekł Steven. - W tej chwili analizujemy sytuację. - Wyjrzał przez szybę. - Co ty właściwie robisz, mały?

Pytanie to w istocie nie było wcale pytaniem, lecz wyzwaniem. Uzasadnij swoje istnienie, mówił Steven Sugar, postaw się w jak najlepszym świetle, zaimponuj mi. Fale deszczu przetaczały się pośród drzew, krople bębniły głucho o dach.

102

Pomyślałem o moim lecie, o godzinach spędzonych z dziadkiem, misji z matką.

- Jestem działaczem - oznajmiłem.

Sugar zerknął na mnie z ukosa.

- Działacze walczą, by pomagać ludziom. Ja też chcę pomagać ludziom.

- Rękawem starłem wodę z twarzy. - Tyle że jestem w tym dość nowy.

* * *

Gdy zapadła noc, dwaj chłopcy wyciągnęli reklamówkę z krakersami razowymi, piankami, czekoladą i jednym piwem.

- Nie śliń się do piwa - upomniał Steven.

Podawaliśmy sobie puszkę i przypiekaliśmy pianki, aż w końcu jedzenie zniknęło, w ustach czułem niesmak, a żołądek ciążył mi nieznośnie.

Steven opowiedział, że zaraz po szkole zamierza wstąpić do wojska. Wyjaśnił, że nie robi tego, bo ma ochotę dokopać innym. Chciał po prostu dostać się na politechnikę.

- Nie żebym miał coś przeciw dokopywaniu ludziom, kumaszu
- dodał.

Powiedziałem mu, że nie jestem jeszcze pewien, ale zastanawiam się nad pójściem prosto do college'u.

- Do Yassar - dodałem.

Tolson z roztargnieniem wyskubywał z głowy poczerńiałe kępki włosów i ciskał je do ognia.

Rozmawialiśmy, aż w końcu deszcz przestał padać i na niebie rozbłysły gwiazdy. Tolson powiedział, że nie powinienem się wstydzić z powodu dziadka.

- Mój też jest świnięty. Ma alzheimera i totalną obsesję na punkcie Searsa. Uważa, że wszyscy tam pracujemy i nikt się nim nie opiekuje. Za wsze mówi: „Obsługa, gdzie jest obsługa!”. To naprawdę wpieniające.

Steven dodał, że wszyscy jego dziadkowie nie żyją, ale ma cioteczną babcię.

- Jest świetna. Cały dzień słucha skanera policyjnego, pracuje w ogrodzie i takie tam.

Przez polanę przebiegł lis; jego oczy połyskiwały zielenią w mroku, ogonem zataczał powolne kręgi. Obserwowaliśmy w milczeniu, nikt się nie odzywał. Lis zniknął bezszelestnie w krzakach.

Dorzuciliśmy torfu do ognia pod maską. Płomień rozbłysł jaśniej, w ciemność wleciały iskry i zgasły w mgnieniu oka. Cienie kreśliły pośród drzew ponure, długie twarze.

- Zobacz - rzuciłem i trąciłem Stevena. Zdjąłem but i skarpetkę.

Tolson także pochylał się naprzód. Oparłem prawą stopę o starą deskę rozdzielczą.

- Rany - mruknął Tolson.
- A niech mnie - dodał Steven.

103

- Wiecie, co mówią o facetach z sześcioma palcami - powiedziałem do mych nowych towarzyszy.

* * *

Obudziłem się o świcie i wiedziałem, że ludzie mnie szukają. Pozostali dwaj wciąż spali. W świetle dnia twarz Tolsona wydawała się oklapła, barwą przypominała śliwkę. Steven chrapał miarowo, nisko, jak generator.

Poszedłem odlać się w krzakach. Oparty o drzewo, obmyśliłem plan. Zamierzałem przeprosić, wiele razy, wiele osób. Jeśli trzeba, będę błagał. I wszystko naprawię. Muszę naprawić.

Usłyszałem chwiejne kroki i obok mnie stanął Steven.

- Czółko - rzucił i zaczął sikać.
- Muszę już iść - oznajmiłem.
- Odzywaj się czasem. - Steven pozdrowił mnie wolną ręką i westchnął z ulgą. -1 powiedz dziadkowi, że nie mam do niego pretensji. Pracę gazeciarza i tak była do dupy. Powiedz dziadkowi, że mam nadzieję, iż złapie tego Nixona.

- Kogo?
- Faceta w masce Nixona. - Steven schował penis w spodnie. - Wiadzieliśmy go z Tolsonem w nocy. Gościa, który bazgrze sprayem po tablicy twojego dziadka.

* * *

Powrót biegiem do motelu Beachcomber zajął mi dwadzieścia minut. Skorzystałem z telefonu w budce. Czekać, krążyłem po parkingu. Miałem nadzieję, że ojciec się pośpieszy.

* * *

Poprzednio rozmawiałem z Ty'em Claiborne'em w dzień pogrzebu babci, na stypie.

Zmęczyły mnie już kondolencje i myślenie, postanowiłem zatem wyczyścić basen za domem, zebrać siatką z powierzchni martwe owady. Tam właśnie byłem, gdy znalazł mnie ojciec.

- Cześć, George - zaczął. - Chciałem ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro. I to nie tylko z powodu twojej babci.

Ty miał na sobie granatowy garnitur i sącył dietetyczną pepsi. Ja tymczasem krążyłem z siatką wokół basenu. Nie odzywałem się do niego. Był chudy, miał szarą cerę i włosy barwy słomy. Wyglądał tak, jak wyobrażałem sobie przedsiębiorcę pogrzebowego, bezkrwisty, jakby zakurzony. (W istocie przedsiębiorca zajmujący się pogrzebem babci okazał się mężczyzną tęgim i wesołym, biegającym po domu pogrzebowym z bukietami dla wszystkich).

Bardzo się zmienił od czasu naszego poprzedniego spotkania twarzą w twarz cztery lata wcześniej na parkingu w Blue Hill. To wtedy groził, że zabije moją matkę, i Paul złamał mu nos łopatą do odgarniania śnie-

104

gu. Wówczas miał bardzo długie włosy. Leżał w śniegu, krwawiąc jak świnia i nawet gdy matka zaciągnęła mnie do domu i zamknęła w łazience, wciąż słyszałem jego wrzaski.

Teraz, przyjrawszy się bliżej, dostrzegłem wyraźne zgrubienie na jego nosie.

Matka opowiedziała mi o dwóch latach trzeźwości Ty'a, jego nowej pracy, wykształceniu zdobytym w więzieniu i pracy społecznej w YMCA. Powiedziała też, że ojciec bardzo chce ze mną porozmawiać, i dodała, że według niej powinienem się zgodzić (mniej więcej w tym czasie przestałem się do niej odzywać).

- Wiem, że „przepraszam” brzmi jak zwykły pretekst, ale tak nie jest. To szczerza prawda. W naszym programie nie ma żadnych wymówek, George. Byłem kiepskim mężem i jeszcze gorszym ojcem. Jestem alkoholikiem, narkomanem, zdrowiejącym degeneratem. Takie są fakty. Zmarnowałem dwadzieścia lat mojego życia, zaszyłem się w dziurze, a kiedy ktoś zaglądał przez jej krawędź, obsypywałem go śmieciami - odetchnął głęboko. - I bardzo mi przykro. Przepraszam. Tak bardzo przepraszam.

W tym momencie pojawiła się uśmiechnięta pani Desjardins. Odebrała Ty'owi styropianowy kubek, po czym cierpliwie przytrzymała worek, czekając, aż wytrząsnę do niego zawartość siatki pełnej martwych owadów.

- Babcia nauczyła mnie czyścić basen - powiedziałem do ojca, gdy odeszła.

- W takim razie słusznie zrobiłeś, zajmując się tym dzisiaj.

Przez parę minut staliśmy tak bez słowa. Basen był czysty. A potem Ty spróbował dać mi swój numer telefonu.

- Jeśli chcesz - dodał.

- Wezmę go, tylko jeśli obiecasz, że do mnie nie zadzwonisz - rzekłem.

Ty obiecał i dotrzymał słowa.

16

Gdy taksówka zatrzymała się przy krawężniku przed Beach-comberem, w ogóle nie myślałem o owej obietnicy. Myślałem o wyspie Rodos i artykule rozwiedzionego profesora. Przypomniałem sobie dziwaczny pomysł autora, że rycerze świętego Jana zamienili się w wojery-styczne beznamiętne koty, wygrzewające się w słońcu i podziwiające dojrzałe, brązowe piersi europejskich turystek. Przypomniałem sobie kasjera w Citgo, gotyckiego chłopaka z widłami na jabłku Adama, którego tak bardzo zainteresowali Desjardinsowie. „Rany. Janet”.

Koła taksówki zazgrzytały na żwirze, a ja wybiegłem z budki telefonicznej.

Szarpięciem otworzyłem drzwi i opadłem ciężko na splekaną skórę tylnego siedzenia. W samochodzie unosiła się woń sosny i papierosów.

- Cześć - zagadnął Ty. - Ciesz się, że zadzwoniłeś. Wiesz, że matka cię szuka?

105

- Muszę pojechać do domu dziadków - oznajmiłem.
 - Kiedy tam dotrzesz, zadzwonisz do matki?
 - Tak. Proszę, nie mów nic do mnie.
 - Jasne - odparł. - Śpieszy nam się?
- Tak.

Ty okrążył parking i wyjechał na drogę numer 5. Włączył magnetofon. Z głośnika odezwał się Bob Dylan. Przy jęklwym akompaniamencie gitary śpiewał, że nie może uwierzyć - jeszcze zeszłej nocy byli razem, a teraz ona zachowuje się, jakby się w ogóle nie znali. Samochód podskoczył na leżącej na drodze gałęzi. Nie oglądając się za siebie, Ty sięgnął do tyłu i wskazał pas nad moim ramieniem. Pociągnąłem go i zapiąłem.

- Rany. Janet. To coś dla ciebie znaczy?
- „Rocky Horror Picture Show”. Wyświetlałem go.
- Znaczy coś jeszcze? - naciskałem.
- Nie, chyba że naprawdę lubisz przebierać się za kobietę albo jesteś fanem Tima Curry'ego.
- Dzięki - mruknąłem, wciąż nie do końca pewien, co mi świta, lecz dostrzegając już ogólny zarys.

Ojciec wjechał na autostradę. Znów sięgnął do tyłu i pokazał ręką otwieranie okna. Powiedziałem, żeby się nie krępował. Opuścił szybę. Przemknęliśmy obok przydrożnego rusztowania połyskującego ostrzegawczo światłami. Woda lśniła na granitowych płytach przy drodze. Poranne powietrze było rześkie i słodkie.

- Masz komórkę? - spytałem.
- Mhm - odparł i podał mi ją.

Wybrałem numer dziadka. Telefon zadzwonił pięć razy, po czym usłyszałem głos babci.

- Nie płaczcie, działajcie - powiedziała i zaśmiała się ochryple. - I zo stawcie cholerną wiadomość. - Sekretarka pisnęła. Rozłączyłem się.

Taksówka zjechała z pochylni, skręciła w lewo w Dundee Avenue. Wpatrywałem się w tył głowy mojego ojca, krótko ostrzyżone pomarańczowe włosy przetykane siwizną. Od celu dzieliło nas zaledwie parę kilometrów. Denerwowałem się, bałem i byłem gotów. Tak naprawdę nie myślałem o nim jak o ojcu. Może i dobrze.

Mój ojciec był złym człowiekiem, narkomanem i przestępcą, nieopanowanym szaleńcem wrzeszczącym i bryzgającym krwią w śniegu. Natomiast Ty Claiborne był taksówkarzem w średnim wieku, który podwiózł mnie, gdy znalazłem się w potrzebie. Kiedy ktoś potrzebuje pomocnej dłoni, wyciągasz ją - i vice versa.

* * *

Zahamowaliśmy z piskiem opon i ujrzałem dziadka leżącego na trawniku. Nim jeszcze taksówka znieruchomiała, zdążyłem odpiąć pas i otworzyć drzwi.

106

Wypadłem z wozu, machając rękami, by utrzymać równowagę, i wylądowałem na mokrej trawie. Wstałem i pobiegłem, padłem obok niego na kolana.

Leżał na plecach, poły szlafroka spoczywały obok w trawie. Z jego ust dobywał się świszczący oddech, szkliste oczy wpatrywały się pod ostrym kątem w tablicę niczym w fasadę budynku. Widniała na niej ponura podobizna byłego wiceprezydenta Alberta Gore'a Juniora, a pod nią śmiałe słowa:

PRAWDZIWI PREZYDENT STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Nie można jednak było przeoczyć słów nabazgrozonych na nich zielonym sprayem: **GŁOSUJCIE NA NADERA, GÓWNOJADY!**

- Wszystko będzie dobrze, dziadku - powiedziałem. - Wszystko bę dzie dobrze.

Nic w jego twarzy nie zdradzało, że mnie usłyszał. Patrzył wyłącznie na Ala Gore'a. W dłoni trzymałem komórkę ojca, zacząłem wybierać numer.

- Wezwaliśmy już karetkę - oznajmiła pani Desjardins.
Bo oczywiście ona i Gil też tam byli.

W tym momencie nie wiedziałem jeszcze o szczegółach - że Gil od lat wysyłał artykuły podróżnicze do

różnych gazet (pod pseudonimem G.T. Flowers); że zazwyczaj pisał w nich o miejscach, których nigdy nie odwiedził; że w artykułach tych często pojawiały się wzmianki o nagich Europejczykach, bezpańskich kotach, jego byłych żonach i nielicznych innych rzeczach, które go interesowały. Tak bardzo zdumiała go wiadomość o tym, iż jego tekst przyjęto do niedzielnego „New York Timesa”, że nie był w stanie czekać i pojechać do supermarketu. Podwędził dział podróźniczy z gazety mojego dziadka.

Nie rozumiałem też jeszcze, iż jednym z głównych powodów, dla których Gil nadal podkradał fragmenty gazety dziadka, było to, iż okazał się zbyt skąpy, by ją zaprenumerować, i zbyt leniwy, by pojechać do Cit-go po własny numer. Poza tym nie lubił odwiedzać Citgo, gdyż kierownik (z widłami wytatuowanymi na jabłku Adama) spotkał raz Gila w zupełnie innym miejscu: pewnej nocy w kampusowym kinie USM podczas pokazu „The Rocky Horror Picture Show”. Gil, ubrany w skórzane spodnie z wyciętymi pośladkami, jeździł wówczas na trójkołowym rowerku między fotelami.

Przede wszystkim nie rozumiałem, że niszczenie tablicy dziadka nie miało nic wspólnego z niedzielnym „New York Timesem” i Stevenem Su-garem. Nie znałem historii uwielbienia Gila dla Ralpa Nadera i głębi jego szaleńczego oddania. Dopiero kilka miesięcy później - po piątym rozwodzie Gila - otrzymaliśmy list od pani Desjardins, uzupełniający elementy układanki.

Bardzo treściwie wyjaśniła w nim, że Gil święcie wierzył, iż pewnego razu pogłaskał nagie uda Ralpa Nadera podczas orgii w maskach. Owa

107

mistyczna więź nawiązała się wedle Gila podczas całonocnej imprezy w hotelu Hyatt w Beverly Hills w 1973 roku, po wykładzie na temat kaniowskiej analizy skandalu Watergate. Człowiek, którego uważał za Nadera, miał na sobie fioletową maskę Zorro, lecz Gil był absolutnie przekonany, iż rozpoznał w nim nieulekłego obrońcę praw konsumentów. Co więcej, pani Desjardins napisała (w jej słowach wyraźnie wyczuwało się nutkę zazdrości), że wedle słów Gila zamaskowany mężczyzna odpowiedział podobną pieszczotą i uczynił to z oddaniem i uwagą, jakiej można by oczekiwać od człowieka, który poświęcił całe swe życie dobru innych. A przynajmniej tak to opisała.

* * *

Lecz poza wszystkim innym nigdy nie zdołałbym zgadnąć, że Gil - zabawny, nieprzyzwoity, stary Gil - zdolny był do podobnej niechęci, którą pielęgnował przez wiele lat, podczas gdy mój dziadek opowiadał o swych związkach, solidarności i dobru ogółu. Nigdy nie umiałbym zgadnąć, jak bardzo go drażniło.

Innymi słowy, w ogóle nie znałem Gila.

Wpatrywałem się w niego oszołomiony. W moich myślach pojawiło się nazwisko Tom Hellweg i równie szybko zniknęło niczym brzydki zapach.

* * *

Gil, drobny i kruchy, stał ubrany w kimono żony i z nadąsaną miną trzymał dłonie w kieszeniach. Maskę Richarda Nixona tkwiła na czubku jego łysej głowy. Szyję i maskę pokrywały plamy czerwonej farby w miejscach, gdzie przycupnięty w snajperskim gnieździe w pokoju gościnnym dziadek trafił go z karabinu IL-47.

Pani Desjardins ubrana była w skórzany kombinezon, rękawiczki do łokci i czapeczkę ozdobioną różową swastyką.

- Karetka zaraz przyjedzie - oznajmiła. Jak zawsze uśmiechała się promiennie. - Myślę, że to zwykły wylew.

- Cały czas gadał o polityce - powiedział Gil. - Nie potrafił znieść nawet najbardziej niewinnych żartów.

Odpowiedziałem czymś oczywistym, bo jedynie to miało jakieś znaczenie.

- Byłeś jego przyjacielem.

- I nigdy nie dorzucił się do trawy - dodał Gil.

- Byłeś jego przyjacielem - powtórzyłem.

Wbił ręce jeszcze głębiej w kieszenie kimona. Maskę Nixona tkwiła mu na głowie niczym oklapły suflet.

- I co więcej, Ralph Nader nigdy nie był nic winny Alowi Gore'owi.

Trzasnęły drzwi samochodu. Usłyszałem kroki Ty'a na chodniku.

Stary człowiek w kimonie obejrzał się z nagłym grymasem.

Ty zatrzymał się obok mnie.

- Zabawa kostiumowa? - spytał.

108

- Wystarczy. Wracam do **domu** - oznajmił Gil.

Odszedł szybko i w szeleście jedwabiu zniknął za żywopłotem. Pani Desjardins ruszyła za nim, chichocząc i chwiejąc się na wysokich obcasach kozaków.

* * *

Zostaliśmy sami na trawniku, mój ojciec, dziadek i ja. Przykucnęliśmy we trójkę w cieniu tablicy ozdobionej obliczem człowieka, który powinien być zostać prezydentem.

- Dziadku - powiedziałem. - Dziadku, słyszysz mnie?

Jego oczy powoli poruszyły się w moją stronę, niczym przekręcające się opornie, zardzewiałe śruby. Skóra na twarzy była luźna i poszarzała. Otworzył usta, lecz wydał z nich jedynie ochryply jęk.

- Nic nie mów. - Okryłem go połamami szlafroka.

Ty wybiegł na ulicę, by pokazać karetce właściwy wjazd.

Dziadek wpatrywał się we mnie, oczy miał niebieskie i przerażone. W jednym z nich powoli wezbrała łza i spłynęła po policzku wzdłuż zmarszczki, po czym ściekła na ziemię.

- Wszystko będzie dobrze, dziadku - powiedziałem. Chwyciłem go za rękę, uściśniłem, by pokazać, jak dobrze będzie. - Jestem z tobą, je stem tutaj.

Otworzył usta, by coś powiedzieć - i znów zakasłał. Usłyszałem wilgotne mlaśnięcie, świst i wiedziałem, że próbuje coś przełknąć. Zaczął mrugać gwałtownie, jego policzki pociemniały.

To była ta chwila, chwila, w której mój dziadek umierał.

* * *

Była to chwila przed chwilą, gdy wyruszyliśmy na kolejny pogrzeb. Widziałem starszków w czarnych winylowych kurtkach z napisem Lo* cal 219, zgromadzonych na tyłach domu pogrzebowego. Słyszałem, że szepczą o tym, jak Henry McGlaughlin pokazał kiedyś palec ważnemu kontrahentowi z Departamentu Obrony i spytał, czy potrzebuje pomocy, czy też sam się na niego nadzieje. Patrzyłem, jak opuszczamy w głąb ziemi kolejną trumnę, i słyszałem, jak wszyscy wokół śpiewają „Międzynarodówkę”, podczas gdy ksiądz stał z boku, rozglądając się nerwowo.

Widziałem to wszystko i czułem.

Wciąż miałem w ręce komórkę Ty'a. Zadzwoiłem do domu.

* * *

Halo?

Na dźwięk głosu doktora Vica poczułem gwałtowną ulgę.

- Chyba się dławi - wypaliłem. - Dziadek chyba się dławi.

Przez moment w słuchawce panowała cisza. Na ziemi ciało mojego dziadka zaczęło dygotać, wibrować niczym trącona struna. Wywrócił oczami. W dali usłyszałem zawodzenie karetki.

109

• Czemu tak sądzisz, George?

• Twarz mu sinieje, wygląda, jakby próbował coś przełknąć.

• W porządku, wierzę ci...

• ...dziękuję, tak mi przykro. Przepraszam...

Przerwał mi.

- Nie teraz. Założę się, że twój dziadek zakrztusił się orzeszkiem.

Otwórz mu usta, połóż palec na języku, a potem sięgnij jak najgłębiej i wyciągnij orzeszek.

Usta dziadka były już otwarte. Wepchnąłem w nie palec wskazujący, trącając tył gardła. Poczułem coś twardego i podważyłem to paznokciem. W następnej sekundzie dziadek zachłysnął się i z całych sił przygryzł mi palec.

* * *

Karetka zatrzymała się z jękiem i sanitariusze wybiegli na trawnik.

Uniosłem palec do twarzy. Był przekrzywiony. Położyłem rękę na ziemi, odetchnąłem i leżałem tam bez ruchu. Słońce weszło już nad dom, powlekając złotem dachówki. Leżałem dalej.

Ty przykucnął obok mnie.

- Dzwoni twoja matka - oznajmił. - Chce z tobą rozmawiać.

Usiadłem i skinąłem głową. Był już niemal stary. Gdy tak patrzyłem mu w twarz, widziałem, jak będę wyglądać, kiedy ja także się zestarzeję. I w porządku, obaj mieliśmy czas. Ludzie żyją bardzo długo.

- Tak, mammo?

- Nic ci nie jest? - spytała pośpiesznie. - Powiedz mi tylko, że nic ci nie jest, George. Muszę wiedzieć, że nic ci nie jest.

Czułem się świetnie.

- Czuję się świetnie - powiedziałem, a ona sapnęła, po czym oboje zaczęliśmy jednocześnie mówić.

* * *

Działajcie!

W dzień, kiedy wałęsa się wieżowce, wszyscy jesteśmy w szpitalu. Dziadka przeniesiono na oddział dla przewlekłe chorych, gdzie terapeuci pomagają mu znów nauczyć się mówić i chodzić. Moja matka, doktor Vic i ja siedzimy wokół jego łóżka i wpatrujemy się w wiszący pod sufitem telewizor. Wstrząśnięci i milczący, zjadamy nietknięty lunch dziadka. Twarz staruszka zastygła w przekrzywionym półuśmiechu. Teraz zawsze wygląda na pijanego. Nie próbuje nic powiedzieć, nikt z nas nic nie mówi. Na ekranie reporter próbuje opisać odgłos, jaki wydaje ludzkie ciało, gdy spada z wysokości stu pięter i uderza w dach samochodu. Opis nie oddaje grozy.

W pewnym momencie pojawia się prezydent. Mówi nam, byśmy zachowali spokój, mówi, że wszystko jest pod kontrolą.

Mój dziadek zaczyna płakać. Przemawia wysokim helowym głosem przez usta pełne waty.

110

- Prezydent wydaje się silny, prawda? Myślę, że sobie poradzi, na prawdę tak sądzę.

Półuśmiech jest groteskowy i nienawidzę się za to, że nie chcę na dziadka patrzeć.

Emma wyłącza telewizor i podchodzi do niego.

- Mogę dostać moją galaretkę? - pyta dziadek.

- Zjadłem ją- odpowiadam.

Dziadek płacze, uśmiecha się krzywo.

- Nie szkodzi, George. Dają nam tu wszystko, czego chcemy.

* * *

Na weselu moja matka i doktor Vic tańczą pierwszy taniec do wtóru piosenki Flying Burrito Brothers. Nauczyłem się już doceniać solidność i niezmiennność mojego ojczyma. On kocha stare popowe zespoły, a moja matka kocha jego. Akceptuję to.

W ramach grudniowego miesiąca miodowego nowożeńcy wyjeżdżają nad Morze Śródziemne zwiedzać tamtejsze wyspy. Święta spędzam z Ty'em. Razem idziemy na koncert Boba Dylana w State Theatre w Portland. Bob jest chudziutki i drobny jak pasikonik.

- Nie wydaje ci się, że wygląda trochę jak królowa Anglii? - pyta Ty. Całkiem nieźle się dogadujemy.

W drodze do domu pytam o jego szósty palec. Ty śmieje się; mówi, że odpadł mu podczas pierwszego pobytu na odwyku.

- Znalazłem go w skarpetce. Po prostu odleciał.

Nie wierzę mu, zatrzymuje się jednak i pokazuje mi. To prawda, na skraju stopy widzę drobną bliznę, nic więcej.

- Bolało? - pytam.

- Nie - odpowiada. - Ale mi go brak.
- Czemu?
- Bo był częścią mnie - wyjaśnia.
- Jestem ostatnim sześciopalczastym mężczyzną w mojej rodzinie.

* * *

Odwiedzamy dziadka w domu opieki, do którego go przeniesiono. Wśród starych, niepełnosprawnych mieszkańców krąży wielki kocur przypominający rudego zeppelin. Dziadek został najbliższym przyjacielem zwierzaka. Kot ma na imię Softball. Gdy próbujemy wciągnąć dziadka w rozmowę na temat pogody i emeryckiej ligi kręglarskiej, kompletnie nas ignoruje, rozmawiając z kotem.

- Softball pożre każdego terrorystę, który spróbuje zabić staruszków, prawda? Prawda, że zabije tych terrorystów?

W szkole na korytarzu skinieniem głowy pozdrawiam Stevena Sugara i jego dawnego porucznika Tolsona. Odpowiadają leniwym salutem. Twarz Tolsona już się zagoiła, lecz jej jedna strona pozostała ciemniejsza, jakby stale myślał o czymś złym.

111

Matka mówi mi, że Morze Śródziemne jest bardzo piękne i „owszem, doniesienia o mnóstwie nagich piersi na Rodos okazały się prawdziwe”. Zaśmiewa się przy tym jak wariatka, aleja się wstydę, toteż pozwalam jej jedynie pocałować się w czubek głowy. Jej ostatnie słowa do mnie brzmią: „Spóźnię się do pracy”.

Tego samego dnia późnym popołudniem moja matka i Charlie zamykają klinikę, gdy na parking z piskiem opon *zajeżdża*, zardzewiała niebieski minivan. Wyskakuje z niego kobieta UPB, ta sama, która lubi wrzeszczeć o ladacznicach i nosi czapkę z daszkiem, ozdobioną błyszczącym krzyżem. W dłoni trzyma wiadro. Moja matka występuje naprzód, Charlie niezgrabnie sięga po broń. UPB ciska wiadro, obsypując moją matkę deszczem ziemi i dżdżownic, a potem trafia ją w usta plastikową krawędzią. Emma leci do tyłu, na chodnik. Słysząc trzask czegoś przypominającego skorupkę jajka tłuczoną o miskę. Jajko to czaszka mojej matki, a miska to krawężnik. Matka umiera na miejscu.

Mówią, że niczego nie czuła, ale nikt nie wie na pewno.

* * *

A potem moja wizja staje się rzeczywistością i trzech mężczyźni spotykają się w Beachcomberze, ubrani w czarne garnitury. Podjeżdżamy po nich z moim ojcem i doktorem Yikiem. Dale przyjechał z Bostonu, gdzie przeniósł się z nową żoną i rodziną, Paul z Blue Hill, a Jupps z hydropo-nicznej farmy w Holandii.

Jupps wręcza mi pięknego pomidora, którego przemycił przez odprawę celną. Oddaję mu walizkę.

- Zabieraliśmy ją wszędzie - mówię, a on *zaczyna*, płakać i upuszcza w błoto swego pięknego pomidora.

- Człowieku - mówi siedzący w samochodzie Paul. - O rany.

- Już wcześniej zdarzało mi się, że coś mnie rąbnęło, ale to coś zupełnie nowego. To jak kopnięcie w jaja, któremu nie dorówna żadne inne kopnięcie w jaja. - Dale opuszcza szybę i wystawia głowę niczym pies. Jupps podaje mu pomidora i mówi, by go wyrzucił.

- Bardzo mi przykro z tego powodu - dodaje.

Paul mówi, żeby się nie przejmował.

- Takie *rzeczy* się zdarzają, wiesz?

Z oczywistych przyczyn zamiast „Międzynarodówki” śpiewamy „Amazing Grace”.

* * *

Po pogrzebie Myrna Carp upiera się, by pomówić ze mną na osobności. W ciemnym pokoju popycha mnie na kanapę, na całą twarz ma smugi tuszu do rzęs. Pociąga nosem i tuli moją głowę do swych piersi. To

112

jej obowiązek, twierdzi z uporem, rozpinając mi spodnie. Coś, co jest winna mojej matce.

- Nie - mówię. - Czy masz prezerwatywę? - pytam, a Myrna przypomniała, że bierze pigułki, ja jednak upieram się i w noc po pogrzebie matki zwijam brudne szorty i ciskam je pod łóżko. Nie wierzę w życie po śmierci, ale wiem, że Emma byłaby zadowolona, że użyłem prezerwatywy.

A potem robię to, co zrobiliby każdy - płacząc rozpaczliwie, bez końca. Nikt nie przychodzi, by sprawdzić, jak się czuję.

* * *

Trzy lata później mój dziadek przestaje interesować się wiadomościami. Nie wiadomo, jak wiele pamięta, lubi jednak głaskać Softballa i jeździć swym wózkiem na spacer po ogrodzie domu opieki. Teraz śpi obok mnie. Obaj siedzimy pod gałęziami rozłożystego wiąz. Jestem w domu, na wakacjach po pierwszym roku college'u.

Sam nie wiem, co mam myśleć. Chciałbym, by ktoś mi to wyjaśnił, sprawił, że wszystko wyda się oczywiste i proste niczym karta do głosowania. Mógłbym po prostu odhaczyć swój wybór i nigdy więcej nie przejmować się wolną wolą.

Zastanawiam się, gdzie jest w tej chwili Steven. Wstąpił do wojska zaraz po szkole, tak jak zapowiadał.

Musi tam być noc, noc niczym granatowy jedwab nad pustynnym miastem. Pył, piasek i cisza pomiędzy wybuchami.

- Dobra - mówi kapitan Sugar. - W porządku, ludzie.

Jego oddział zbiera się wokół niego. Ze zrujnowanego rynku na wszystkie strony odchodzą krzywe uliczki, tuzin możliwych dróg wiodących poza strefę walk.

Kapitan ma twarz osmaloną i zmęczoną, lecz patrzy spokojnie w oczy wszystkich żołnierzy.

- Jeśli będziemy działać razem - obiecuje - zdołamy się wydostać z tego bagna.

ZWIERZĘTA W LODZIE

Trzej ludzie szli gęsiego, bardzo blisko siebie, związani konopną liną: Kosskoff, najwyższy, z przodu; za nim Funt, drugi traper; na końcu Pinet, dentysta. Gęsty śnieg zasypywał ścieżkę, spowalniając ich marsz. Każdy z nich niósł latarnię i jakaś istota z daleka mogłaby wziąć tych trzech mężczyzn za jedno wielkie zwierzę utkane z migotliwego światła, kołyszące się i pełnące naprzód, być może ranne. Lecz żadna istota ich nie obserwowała.

Wędrowali do żony Kosskoffa. Traperzy zbudowali chatę i szopy na futra na południowym zboczu, trzy, cztery mile w górę. Żona Kosskoffa miała coś nie tak z zębami. Była w ciąży; taka podróż stanowiłaby dla niej ryzyko.

W wąwozie pomiędzy dwiema skałami zbierał się śnieg, jego powierzchnia zakrzywiała się ostro i znikła gdzieś w górze. Na skalnych ścianach po obu stronach połyskiwały splątane ścieżki lodu. Wznoszące się setki stóp w górę skały zwieńczone ostrymi stosami łupku zdawały się łączyć z niebem - niską, szaroczną powalą chmur - zupełnie jakby tutejsza pogoda także była czymś namacalnym. Śnieg padał obojętnie na wszystko.

Trzeci mężczyzna, dentysta, kilkanaście razy zostawał w tyle. Zatrzymywał się, jakby zbierał myśli, i rozcierał ręce przez grubą kurtkę. Zaciągał ciaśniej boki kaptura wokół głowy, jak gdyby próbował coś w niej zatrzymać. Potem znowu brnął w śniegu.

Za ich plecami wiatr zacierał ślady.

* * *

Potężne powiewy wiatru sprawiały, że Funt, drugi traper, co chwila znikał z pola widzenia Pineta. Dentysta

wciąż odczuwał działanie porannej dawki; słyszał wszystko zbyt głośno, jego uszy rejestrowały zimowe dźwięki jak odgłos metalu drapiącego o metal; odgłos niemający nic

114

wspólnego z wiatrem czy padającym śniegiem. Pinet przywykł co prawda do podobnych niespójności, lecz ta sytuacja była dla niego nietypowa, a dźwięki dodatkowo wzmagaly niepokój.

Najbardziej martwiła go myśl, że coś mogłoby zerwać linę łączącą go z pozostałymi dwoma. Sam chętnie przyznawał, że w życiu nieraz zawinił

- na przykład zdradzał żonę - uważał jednak, że śmierć przez zamrożenie cie to kara, która winna spaść na większych od niego grzeszników. Do skonałe rozumiał, że jest człowiekiem słabym, łatwo ulega pokusom, uni ka konfrontacji - i czyż sama ta wiedza nie stanowiła dostatecznej kary? O tym myślał, maszerując w śniegu, unosząc ciężkie buty i stawiając nie wielkie kroki. Jego nos przypominał stalaktyt, głowę wypełniał idiotyczny odgłos widelca przeciąganego po blaszanym talerzu.

W nieco dalszej przyszłości miał przed sobą upiorną perspektywę spędzenia nocy - albo i nie daj Boże paru - w towarzystwie dwóch traperów i kobiety. W żaden sposób nie zdoła zejść z góry przed poprawą pogody.

Znał Funta z jedynej tawerny w Limestone i uważał go za odrażającego typa. Tawerna, bezimienna czarna dziura bez okien i powietrza do oddychania, mieściła w sobie zaledwie kilka stołów i dentysta, co dwa miesiące odwiedzający miasteczko, parę razy musiał usiąść z drobnym traperem. Funt był chamski, śmierział i gadał wyłącznie o dziwkach i zabijaniu zwierząt. Stanowił uosobienie wszystkiego, czego Pinet nienawidził w żalonym życiu na walizkach, do którego zmuszała go jego wędrowna praktyka. Pewnego razu ponad szklankami cuchnącej wódki ziemniaczanej Funt zaszczyił Pineta upiorną historią o bez-nogiej prostytutce z Ontario, specjalizującej się w obscenicznym sztuczkach magicznych. Przez kilka tygodni dentysta nie mógł spać, dręczony powracającymi koszmarami, w których pojawiała się owa nieszczęsna kobieta.

Koskoffa natomiast nie znał. Drugi traper był bardzo wysoki, potężnie zbudowany i, jak zgadywał Pinet, bardzo głupi. Ale wyglądało na to, że to on rządzi.

Gdy wyrwali dentystę z pijackiego snu - Pinet znów stracił przytomność i właściciel tawerny zaniósł go na stryzek z sianem - Koskoff wyjaśnił sytuację: żona ma coś z ustami, jest w ciąży i Pinet będzie musiał pójść na górę, by ją obejrzeć. Następnie wepchnął do kieszonki koszuli dentysty plik wytłuszczonych dolarowych banknotów i zażądał, by ruszali w drogę. Jego postura i zachowanie nie dopuszczały możliwości odmowy, a poza tym dziesięć dolarów wiele znaczyło dla kogoś takiego jak Pinet, mającego swoje potrzeby.

Wędrujący na przedzie przed Funtem i Pinetem Koskoff wspinał się niestrudzenie. Czarna poła futra zdawała się za nim pełznąć.

Pinet, idący pod wiatr, mrużył piekące od śniegu oczy i próbował wyobrazić sobie życie kobiety tkwiącej - uwięzionej; tak właśnie uważał

- w jednej chacie z tymi dwoma. Ból zęba pewnie stanowił dla niej

115

ulgę. Dentysta zadrzał; był zmęczony, potrzebował kolejnej dawki. Dreszcze skupiły się w jego kroczu i nagle zrozumiał, że musi się odlać, i to szybko.

* * *

Szarpnął linę. Pozostali dwaj zatrzymali się i cofnęli ku niemu.

Koskoff przyciągnął do siebie dwóch mężczyzn. Pochylili ku sobie głowy, obejmując się rękami. W takim kręgu mogli rozmawiać względnie łatwo, podczas gdy wiatr zawodził i atakował ich plecy. Wszyscy trzej zaciągnęli ciasno kaptury tuż pod nosami, toteż dobywające się z ich ust słowa były niewyraźne i stłumione.

- Zatrzymałeś się - powiedział Koskoff.
- Muszę się odlać - odparł Pinet. - Stańcie tam, proszę. Nie mogę si kać pod wiatr, bo zamarznię. Dajcie mi minutkę. - Chwytał zębami sztywną od lodu rękawicę, ściągnął i wypluł na ziemię.
- Po prostu zrób w gacie, *mon ami*. - Funt wydawał się rozbawiony tą myślą.

Pinet puścił jego słowa mimo uszu i zaczął grzebać pod kurtką w poszukiwaniu guzików rozporka.

Koniuszki palców miał zupełnie odrętwiałe.

Śnieg padał wielkimi płatami, drobinki lodu sypały im się z ramion. Widelec w głowie Pineta skrobał po blasze coraz szybciej - tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Dentysta rozpiął guziki, znalazł penis i skrzywił się, czując przejmujące zimno.

Uniósł wzrok, nagle świadom bliskości pozostałych dwóch mężczyzn. Wciąż trzymali ręce na jego ramionach, pod kapturami widział-ich oczy.

- Cofnijcie się trochę - poprosił. - Muszę się odlać.

Koskoff zamrugał parę razy. Nie odpowiedział. Na rzęsach miał płatki śniegu.

- Cofnijcie się - powtórzył Pinet. - To potrwa tylko chwilę. Jeśli się nie cofniecie, obsikam wam buty.

Funt zachichotał i szturchnął współnika.

Dentysta ścisnął w dłoni penis ukryty pod połą kurtki. Jego pęcherz pulsował, widelec drapał niestrudzenie.

Koskoff wzruszył ramionami i cofnął się parę kroków, Funt uczynił to samo.

- Dziękuję - powiedział Pinet.

Słyszał różne historie na temat traperów, mężczyzn żyjących razem w górach. Wcale nie podobał mu się fakt, że tam stali, ale było za zimno, by sikać pod wiatr.

Uniósł lekko połą kurtki i poczuł, jak kurczą mu się jądra. Zaciśnął zęby, walcząc z gwałtowną falą mdłości. Skoncentrował się na samym sikaniu. Nic się nie stało., Przez sekundę miał wrażenie, jakby kawałek lo-

116

du utkwiał mu w cewce moczowej. Gdy jednak zerknął w dół na swój penis - główka zaczynała już sinieć - nie dostrzegł niczego.

- Odwróćcie się. - Machnął niezgrabnie swą latarnią. - Odwróćcie się, do kurwy nędzy, nie mogę tego zrobić, kiedy tak na mnie patrzycie.

Traperzy spojrzeli po sobie. Dostrzegł ruch szczęki Funta, lecz wiatr zagłuszył śmiechy. Dwaj mężczyźni odwrócili się powoli, aż w końcu Pinet ujrzał ich plecy.

Dygotał gwałtownie, kolana uginały się pod nim. Odchylił głowę w tył, by odzyskać równowagę. Chmury miały brudnoszarą barwę wody po praniu, zdawało się, że lada moment runą na ziemię. Zakręciło mu się w głowie, jakby ciężkie niebo miało zwalić się na niego i przygwoździć do skał. Zastanawiał się, co poleci pierwsze - siki czy wymiociny.

A potem zaczął lać serią bolesnych rozbryzgów. Siki wsiąkały w śnieg u jego stóp. Parę kropel wylądowało na butach.

Upchnął penis z powrotem w spodnie i kilka razy odetchnął głęboko. Może jednak nie zwymiotuje.

Szarpnął linę i pozostali dwaj się odwrócili. Znowś stłoczyli się razem.

- Bolało? - zapytał Funt. - Kiedy masz trypra, *mon ami*, zupełnie jakbyś gryzł ze złamanym zębem...

Pinet zgiał się gwałtownie i zaczął dławić, zdołał jednak powstrzymać wymioty. Na języku czuł miedziany smak żółci. Osunął się na kolana w śnieg. Miał ochotę paść na ziemię i zwinąć się w kłębek. Koskoff złapał go za łokieć i podniósł brutalnie.

- Już niedaleko - oznajmił. - Żona zrobi coś do jedzenia. Dostaniesz też drinka.

Twarde grudki śniegu tłukły o ich ciała, pogoda pogarszała się z każdą chwilą. Krocze Pineta piekło po kontakcie z mrozem.

• Już niedaleko? - spytał.

Koskoff pokiwał twierdząco głową.

• I jest tam coś do picia? Coś mocnego? Będę się musiał rozgrzać.

- Jasne. - Funt mrugnął porozumiewawczo. - Mamy wódkę, dziwki, karty i akordeonistę, który śpiewa zadkiem. A także steki, wielkie, pie przone steki. Tak, tak, mój panie, mamy tam całkiem znośny saloon.

- Słyszycie ten metaliczny dźwięk? - spytał Pinet. - Jakby drapanie.

Koskoff patrzył na niego bez słowa. Funt parsknął.

- To jak metal - wyjaśnił Pinet. - Metal trący o metal. - Przyłożył dłoń do boku głowy.

- Masz w głowie noże, doktorze? - zaśmiał się Funt.
Pinet przytaknął.

- Idź - polecił Kosskoff. Oparł mu dłoń na piersi i pchnął mocno.
Pinet zachwiał się i runął na plecy. Pozostali dwaj odwrócili się i ruszyli naprzód.

I gdy tak patrzył, jak lina naciąga się powoli, wgrzyzając się w świeży śnieg, nagle powróciło do niego wspomnienie. *Ostatnio często mu się to*

117

zdarzało. Dziwne skojarzenie pojawiło się znikąd i atakowało niczym natrętny świr bądź zebraczyna. Czuł nagle, jak ściska mu się serce, oddech więźnie w gardle, szumi w głowie. Skalne półki, brodate lodem, wznosiły się nad nim, a śnieg obracał się i tańczył widmowo w powietrzu.

* * *

Jako chłopiec z upodobaniem hodował zwierzątka. Pewnego dnia pod deską podłogi w stodole znalazł parkę maleńkich myszek.

- O, Laurent, to bliźniaczki - powiedziała jego matka.

Ochrzczył je Molly i Poiły, imionami dwóch dziewczynek z bajki, które uciekły z domu, uwolniły czarownicę i zdobyły magiczne Złote Oko, mrugające, gdy tylko słyszało nieprawdę. Miał ogromną nadzieję, że jego myszy to także czarownice - to mogłoby wyjaśniać nieobecność ich matki - i że on złamie więzące je zaklęcie. Dwie czarownice, myślał.

Trzymał myszki w drewnianej skrzynce, którą zbił sam z kawałków desek. Czasami po zmroku przemyślał im kawałeczki dziczyzny podwędzone z kolacji.

Pozwalał Poiły i Molly biegać sobie po rękach. Myszki piszczały, patrząc na niego błyszczącymi oczami, a on gładził ich mięciutki, brązowe futerko - bardzo ostrożnie, samym palcem wskazującym, bo były takie maleńkie i kruche. Oglądał ich malutkie łapki i patrząc, jak zacierają je czasem z zapalem, wierzył, że w gestach tych kryje się coś ludzkiego. Modlił się, by jego ukochane czarownice przemieniły się i wręczyły mu dar za to, że tak je kocha: parę złotych oczu, jedno mrugające do kłamców, drugie porażające ich wzrokiem.

Lecz choroba zabrała jedną z nich - nie pamiętał którą. A kiedy matka odkryła trupka, zobaczyła też, jak żywa myszka skubie nogę martwej siostry.

- Z pewnością zaraziła się już chorobą - stwierdziła. - Będziemy musieli pozbyć się także żywej myszy. Tak będzie humanitarnie - do dała.

Pinet patrzył posłusznie, jak matka wkłada żyjącą myszkę do zamrażarki. Pozwoliła mu pogłaskać ją na pożegnanie.

- Nie będzie cierpieć - przyrzekła.
Teraz zaczął mieć wątpliwości.

* * *

Dentysta znów szarpnął sznur. Kosskoff zawrócił. Funt z desperacją uniósł ręce.

- Tak? - spytał Kosskoff.
 - Nie zamarzniemy chyba? - zagadnął Pinet.
- Oczy Kosskoftą .zweziły się.
- Nie chcę zamarznąć - dodał dentysta. - Chcę tylko się napić.

118

Widział, że to nierozsądne, może nawet wariackie, lecz wspomnienie drugiej myszy zwiniętej w przecinek z futerkiem sztywnym od lodu i czarnymi oczami zasnutymi białą mgielką wydało mu się nagle złowrogim omenem.

- Będziesz żył - oznajmił Kosskoff - i dostaniesz drinka, ale tylko jeśli ruszysz tyłek. - Wyciągnął rękę i pchnął mocno dentystę w pierś. Pinet zachwiał się na nogach.

Rosły traper zawrócił i znów ruszył naprzód. Funt puścił go przed siebie i podążył za nim.

Pinet także zaczął iść, powłócząc nogami. Krok. Przerwa. Potem drugi krok.

Śnieg stał się jeszcze gęstszy, nawet Funt zniknął z oczu. Dentysta całą uwagę skupił na linie. Jeden krok, kolejny. Przypominało to lunatyko-wanie, tyle że nie śnił.

A śnieg padał, na wszystko i ponad wszystkim.

Gdy Pinet się ocknął, walili do drzwi, żeby dziewczyna wpuściła ich i dała się schronić przed burzą.

* * *

Funt spytał go, czy ślad na szyi to malinka. Byli już pod dachem.

- Nie, moja żona wróciła do domu, do swojej rodziny. - Machnięciem ręki skwitował odejście pani Pinetowej.

Gdy weszli, dziewczyna pomogła mężczyznom zdjąć zamrożone okrycia i owinęła ich w suche futra. Teraz siedzieli w długich gaciach na niedźwiedziej skórze przed piecykiem.

Żona trapera krzątała się, szykując ryby, i w pomieszczeniu wisiały ciężkie zapachy jedzenia. Była młodą dziewczyną, smukłą i delikatną, toteż wydawało się, że to ona stanowi dodatek do wielkiego, ciężarnego brzucha, nie odwrotnie. Twarz miała płaską i gładką, cerę czystą. Raz jeden zerknęła na dentystę, lecz jej puste oczy nie wyrażały niczego... prócz być może myśli, iż Pinet nie wygląda zbyt godnie. Z tą oceną nie mógł się nie zgodzić.

Pociągnął łyk wódki z blaszanego kubka. W głowie wciąż czuł pulsowanie, lecz przywykł do tego. Zgrzyty drapanego metalu ucichły i patrzył na świat z optymizmem. Przyszedł sobie, że gdy załatwi sprawę, nagrodzi się podwójną dawką. Za to, że nie zamarzył na śmierć.

Cała chata składała się z jednego pomieszczenia, jego środek zajmował piecyk. Na półkach pod ścianami rozstawiono nieporządnie słoje i pogięte rondle. Na łózkach piętrzyły się stosy futer, z głównej belki zwisały dwie lampy naftowe.

Pinet wyobraził sobie, jak Koskoff pieprzy dziewczynę, a Funt leży w sąsiednim łóżku i obserwuje ich, nieustannie oblizując wąż szybkimi ruchami czarnego języka.

Na zewnątrz wiatr walił w ściany i potrząsał zabitymi deskami oknami.

119

- To pewno dostałeś już nauczkę - rzekł Funt, powracając do tematu żony dentysty. - Trzymaj się kurew, traktuj to jak biznes. Zawsze mówię do nich tak samo. Kurwo, mam z tobą do ubicia drobny interes. Tak po prostu.

- Nie odwiedzam burdeli - odparł Pinet.

- Tak, ale kurwy możesz pieprzyć. - Gdy traper się uśmiechnął, jego rzadki wąsik rozciągnął się niczym gąsienica.

Dentysta pił bez przerwy, nie martwiąc się, czy zdoła zbadać zęby kobiety.

Żona Koskoffa podała im rybę na blaszanych talerzach. Potem stanęła obok, patrząc, jak jedzą. Jak dotąd nie odezwała się ani słowem i Pinet przypuszczał, że tak już zostanie.

Ryby były przypalone i bez smaku. Nawet gdyby miał apetyt, wątpił, by zdołał zjeść dużo. Odgłosy towarzyszące posiłkowi Funta i Koskoffa, barbarzyńsko miażdżących zębami ości, sprawiły, że znów zrobiło mu się gorąco. Nie chciał rzygać. Ze wstydem przypomniał sobie, jak zachowywał się na zboczach, i szybko nalał sobie kolejny kubek.

Gdy dziewczyna upewniła się, że skończył skubać posiłek, zabrała mu talerz i usiadła na jednym z łóżek. Zjadła szybko palcami.

* * *

Kiedy jedzenie zniknęło z talerzy, Koskoff uznał, że czas już, by dentysta wziął się do pracy.

- Teraz napraw jej zęby - rzucił.

Pinet kazał dziewczynie usiąść na krześle z wysokim oparciem. Położył swą torbę na łóżku, wyciągnął zagłówek i walizeczkę z narzędziami. Stanął za dziewczyną i przykręcił zagłówek do krzesła.

Skóra pokrywająca wygiętą twardą poduszkę była miejscami popękana i podarta, roztaczała wyraźny, ostry zapach. Pinet wyliczył, że w czasie jego podróży przez wioski, obozowiska i miasteczka drwali spoczywało już na niej ponad tysiąc niemytych głów.

- Odchyl się do tyłu - polecił dziewczynie.

Z walizeczki wyciągnął narzędzie leżące na wytartym aksamicie wraz z serią wymiennych zakończeń. Miało dwie końcówki, jedną nieco dłuższą niż drugą, ostro zakrzywioną; trochę przypominało dziadka do orzechów.

- Co to jest? - spytał Funt.
- Kleszcze - odparł Pinet.

Funt podrapał się po zarośniętym policzku.

- Coś jak obcęgi - dodał dentysta.

Traper uśmiechnął się; rozumiał, co to są obcęgi.

Pinet skupił się na pacjentce, traperzy stanęli tuż za nim.

Stojąc z nią teraz twarzą w twarz, przekonał się, że dziewczyna nie jest wcale brzydka. Była ciemna, pewnie pełnej krwi Pasamaquoddy. Miała niezwykle niebieskie oczy. Nos, lekko przekrzywiony w lewo, zo-

120

stał kiedyś złamany i nigdy nie nastawiony. Na swój sposób jest nawet ładny, pomyślał dentysta. Miał ochotę go dotknąć, przesunąć palcem po zagojonym miejscu, w którym pozostało lekkie wybrzuszenie.

- Co ci dolega?

Dziewczyna zamrugła.

- Nie może spać, cały czas ją boli - wyjaśnił Kosskoff. - Boli też przy jedzeniu.

Pinet pokiwał głową i pociągnął łyk z kubka. Zauważył lekką opuchliznę po lewej stronie szczęki tuż pod zuchwą.

- Szeroko usta - polecił.

Jej oddech śmierdział; nie zaskoczyło to dentysty ani mu nie przeszkadzało; już dawno przywykł do zaniedbanych jam ustnych wieśniaków. Zęby dziewczyny pokrywały typowe czerwono-żółte plamy - nałogowo żuła tytoń. Wątpił, by kiedykolwiek w życiu je myła. Odbarwienia dziąseł zwiastowały pierwsze stadium paradontozy. Pomiędzy górnym prawym kłem i siekaczem tkwiło włókienko mięsa.

Oceniał, że za jakieś dziesięć lat, może nawet wcześniej, żona Koskof-fa będzie potrzebowała pełnej protezy. Naprawdę szkoda, pomyślał. Oczami duszy ujrzał piękne, proste zęby, którymi mogłaby się cieszyć przy zachowaniu zasad higieny i odpowiedniej opiece dentystycznej. Patrząc na poślizki prawy górny kiel i tkwiący pod nim kawałek mięsa, widział ząb taki, jaki być powinien: małeńki szpikuliec lśniącej emalii, ska-ionej jedynie drobinką czekolady - nim uroczy dziewczęcy języczek ją zliże. Uniósł do ust kubek; był pusty.

Lecz źródło jej obecnych dolegliwości stanowiły dwa przypadki próchnicy, jeden w pierwszym dolnym lewym trzonowcu, drugi w dolnym lewym siekaczu. Siekacz nie wyglądał jeszcze źle. Dotknął ich kolejno szpikulcem dentystycznym na końcu kleszczy. Przegniłe, rozmiękłe zęby ustąpiły lekko pod naciskiem metalu. Dziewczyna skrzywiła się, jednak się nie poruszyła.

- Którymi zębami żujesz tytoń? - spytał dentysta.

Dotknęła ust w okolicy infekcji.

- No cóż, to próchnica. Dwa ubytki. - Pinet trącił lekko oba zęby.

- Tutaj i tutaj.

Po ogłoszeniu diagnozy wyprostował się i odczekał kilka sekund, pozwalając, by w chacie zapadła cisza. W bladym świetle dwóch lamp naftowych trzydziestosiedmioletni mężczyzna mógł uchodzić za sześćdziesięciolatka. Na sobie miał żalotne, poplamione kalesony, które dostał od pewnej wdowy w zamian za przecięcie wrzodu na języku. A gdyby zniszczona cera i należące do nieboszczyka stare gacie nie wystarczyły, aby obserwator wyciągnął wniosek o degrengoladzie Pineta, on sam radośnie dostarczyłby każdemu zainteresowanemu kolejnych dowodów: nieudanego małżeństwa, uzależnienia od narkotyków. A czy facet z charakterem bałby się małeńkich duchów dawno nieżyjących zwierzątek? Pogodził się ze swymi wspomnieniami i zachował je w swym sercu.

121

Nadal jednak pozostawał zawodowcem - absolwentem Baltimore College i weteranem siedemnastu lat praktyki w polu. Był prawdziwym dentystą, nie jakimś znachorem. Pozwolił zatem, by kilka sekund ciszy podkreśliło jego autorytet wobec ludzi z gór i powiedziało im, że wie, co robi.

Krótko i zwięźle wyjaśnił sytuację.

- Próchnica to choroba zębów, można powiedzieć rodzaj zgnilizny. Zaryzykuję stwierdzenie, że ma to związek z twoją dietą-jesz zbyt dużo mięsa - a także najprawdopodobniej z żuciem tytoniu. Ząb z tyłu trzeba usunąć. Jest nie tylko spróchniały, ale i martwy. Drugi mógłbym pewnie oczyścić, założyć stalową koronę. Lecz tobie bym tego nie zalecał. Sama procedura jest nieprzyjemna, a wątpię, by przy waszym trybie życia można było przestrzegać niezbędnych zasad higieny.

Dziewczyna zamrugnęła i pociągnęła nosem.

- Wyrwij oba - powiedział Kosskoff.
- Doskonale - odparł dentysta. - Który to miesiąc?
- Ósmy - wyjaśnił Kosskoff.

Funt zagwizdał.

• To znaczy, że został jeszcze jeden miesiąc i trzynaście lat, nim zabiorę małego do Maisie. Dziewczyny nie dadzą mi spokoju, póki nie odpadnie mu fiutek.

- Cicho! - warknął Pinet.
- Czy ciąża jest już za stara? - W głosie Kosskoffa dźwięczało niepokój. - Czy to bezpieczne?
- *Pardon, mon ami* - dodał Funt.
- Powinno się udać - odparł Pinet. - Ale nie odważę się podać jej nic przeciwbólowego. I oczywiście przy każdym zabiegu istnieje możliwość, że coś może pójść nie tak. Ale wątpię...
- Wyrwij je - rzekł Kosskoff; dziewczyna gwałtownie pokiwała głową. - Po prostu wyrwij.

* * *

Starając się znieczulić dziąsła, Pinet przemył je wódką, namoczył też w niej kleszcze. Obok ułożył kilka pasków czystego materiału. Zarekwirował pudełko po cygarach Hickum, do którego miał trafić wyrwany ząb. Ilustracja na boku pudełka przedstawiała tłustego kruka wystrojonego jak angielski dandy i palącego wielkie cygaro. „Reszta jest dla ptaków”, głosił podpis. „Moja marka to Hickum, przyjacielu. Gdy raz poczujesz go w dziobie, niechybnie się ze mną zgodzisz!”. Kruk strzelał szelkami i wymachiwał laską.

Pinet powiedział dwóm traperom, żeby nie stali tak blisko.

Dziewczyna siedziała z głową odchyloną i opartą na zagłódku, czekając na zabieg. Ręce ułożyła spokojnie na ciężarnym brzuchu. W oczach

122

Pineta jej ciemna twarz, niebieskie oczy, uroczo zakrzywiony nos nie wyrażały niczego. Czekala z rozchyłonymi wargami niczym dziecko spodziewające się landrynki. Pinet pomyślał, że powinna sobie poradzić.

Był pijany, ale nie przesadnie. Znów zaczęły go prześladować metaliczne zgrzyty, to jednak mogło zaczekać do końca operacji. Wierzył w swoje umiejętności; nieraz zdarzało mu się pracować w znacznie gorszym stanie.

Okrążył krzesło i spojrzał na nią z góry.

- Szeroko usta.

Gdy je otworzyła, szybko znalazł pierwszy ząb i objął go kleszczami. Aby wzmocnić uchwyt, zaczął przekręcać śrubę zamontowaną w najgrubszym miejscu kleszczy. Obracał ją, póki nie zaskrzypiała. Coś trzasnęło - to był dźwięk spróchniałego zęba, zaczynającego pękać pod naciskiem.

Po wardze dziewczyny spłynęła ślina zmieszana z szaro-czerwoną ropą. Pacjentka wzdrygnęła się, poza tym jednak nie zareagowała.

- Nie ruszaj się - rzucił Pinet.

Chwytał ją ręką za kark, zebrał siły i szarpnął. Ząb wyszedł gładko. Rozległo się ciche pyknięcie, dziewczyna sapnęła i było po wszystkim.

- Świetnie - pochwalił dentysta.

Spróchniały ząb z brzękiem wylądował w pudełku po cygarach.

Pinet sięgnął do jej ust i gołymi palcami ścisnął chore dziąsło. Z rany wypłynęła następna fala szaro-czerwonej ropy. Dziewczyna kilka razy zacisnęła i rozluźniła dłonie. Wyciskał dalej, aż w końcu ujrzał czystą krew. Odkaził ranę wódką i dał pacjentce kawałek materiału, by zwinęła go w kulkę i przycisnęła do szczęki.

- Był gotów. Praktycznie mnie nie potrzebowałaś.

Uśmiechnęła się, demonstrując mężowi i Funtowi krwawą dziurę.

Kosskoff głośno wypuścił powietrze. Pinet zauważył cienką warstewkę potu lśniąca na jego czole i policzkach, połyskującą pośród gęstej brody.

- Świetnie jej idzie - powiedział, próbując dodać mu otuchy. W od powiedzi Kosskoff zerknął na niego tępo.

Funt klepnął Pineta po ramieniu i wręczył mu pełny kubek wódki.

- Dobra robota, doktoru.

Dentysta podziękował mu i wziął kubek.

- Jeszcze jeden. - Ponownie zanurzył kleszcze w wódcę. Odebrał dziewczynie bawełnianą kulkę i zajrzał do pustego zębodołu. - W po rządku - rzekł. - Bardzo ładnie. - Wyjął z kubka kleszcze i pociągnął spory łyk.

Kosskoff znów podszedł bardzo blisko, drapiąc się po brodzie i przyglądając się żonie z uczuciem przypominającym podziw. Pinet ponownie kazał mu się cofnąć.

Dziewczyna otworzyła usta i dentysta powtórzył cały manewr, obejmując kleszczami dolny lewy siekacz. Przykręcił śrubę. Tym razem szło

123

nico trudniej. Jeszcze zacieśnił uchwyt. Dziewczyna zadrzała. W głębi czaszki usłyszał tysiąc igieł opadających gwałtownie na stalową równinę i mknących z szaleńczym zgrzytem po metalowej powierzchni. Zadrzała mu ręka, palce zacisnęły się na śrubie, obracając ją o dalsze ćwierć cala. Z wilgotnym mlaśnięciem ząb pękł. Pinet zachwiał się i poleciał w tył. Kleszcze wysliznęły mu się z ręki, obróciły w powietrzu, rąbnęły o ścianę naprzeciwko i z brzękiem runęły na podłogę. Z ust dziewczyny wytrysnął strumień krwi, spływając po brodzie; krew obryzgała kalesony dentysty. Dziewczyna wrzasnęła.

Funt złapał Pineta w ostatniej chwili. Kosskoff ryknął z wściekłości i odepchnął drugiego trapera, próbując dopaść dentystę. Jego pięść niczym olbrzymi młot uniosła się nad głową, gotowa opaść.

- Przepraszam - wyjąkał Pinet. - Bardzo przepraszam. Jezu... ząb... to się zdarza raz na jakiś czas... Jezu... przepra...

Śmiech dziewczyny sprawił, że pięść zamarała. Kosskoff powoli opuścił ją, nie czyniąc nikomu krzywdy.

- Patrzcie - powiedziała niewyraźnie dziewczyna z ustami pełnymi krwi. Na jej dłoni leżały trzy odłamki siekacza. Zaśmiała się, otwierając szeroko usta i pokazując nową krwawą dziurę. Z oczu spłynęło jej kilka łez.

Swym melodyjnym śmiechem zaskoczyła wszystkich. Ten śmiech miał w sobie dźwięczną wibrację; Pinet przypomniał sobie nagle własne wesele i to, jak jego teść uciszył gości, trącając srebrnym widelcem kryształowy kieliszek do szampana.

Dziewczyna poklepała się po wydętym brzuchu.

- Niedługo będzie miał więcej zębów ode mnie.

By uczcić udany zabieg, traperzy otworzyli słój brązowego samogonu. Tymczasem Pinet zajął się swoim inhalatorem.

- Przepraszam na chwilę - rzekł, choć nikt go nie pytał. - To na astmę.

Z pozbawionej etykiety buteleczki nalał do inhalatora trzy naparstki przejrzystego płynu.

Żona Kosskoffa mieszała samogon z syropem klonowym i śniegiem, i hojnie posypała brązowym cukrem.

- Tak! - wykrzyknął Kosskoff. - Ma być gęsty.

Długimi drewnianymi łyżkami zaczęli czerpać ze wspólnej miski.

Pinet oparł inhalator o lewe przedramię, prawą ręką naciskając niewielką pompkę. Objął wargami ustnik i kilka razy odetchnął głęboko, starannie wyliczając właściwy moment. Już po pierwszej inhalacji poczuł się wolny, lekki, pozbawiony wszelkich ciężarów i trosk.

Kiedy odstawił inhalator, w jego gardle wzbierał śmiech. Odkrył, że pozostali uśmiechają się do niego. Odpowiedział szerokim uśmiechem.

Jedna z lamp zamrugła i zgasła, w pomieszczeniu zrobiło się ciemniej. Wiatr świstał w niewidocznej szczelinie.

124

- A zatem... - rzeki Pinet i zaczął chichotać.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Funt turlał się po ziemi niczym rozradowany pies, wpadając na różne sprzęty.

Pinet opowiedział dziewczynie o tym, jak próbował się wysikać podczas burzy. Parsknęła, demonstrując zakrwawione dziąsła.

Koskoff jak nakręcony tłukł łyżką w garnek.

- To prawda - powtarzał. - To prawda.
- Myślałem, że zamrznie ci i odpadnie. - Funt walnął Pineta w kolano.
- Wtedy mógłbyś posłać go mojej żonie.

Koskoff ryknął śmiechem, wciąż bębniąc łyżką.

Dziewczyna także się śmiała, zaśmiewała bez końca. Jednocześnie płakała, bo śmiech sprawiał, że jeszcze bardziej bolały ją usta.

Szukając pociechy, wyciągnęła woreczek z tytoniem do żucia i wzięła sobie szczyptę. Pinet pomyślał, że warto by ją ostrzec, iż to szkodzi na zęby i z pewnością podrażni poranione dziąsła. Lecz nie zrobił tego, tylko poprosił o porcyjkę.

Nigdy wcześniej nie żuł tytoniu i obrzydliwy, słodkawy smak wzbudził w nim mdłości. Wypluł wszystko.

- Cholera - rzekł. - Ale syf.

Pozostali roześmiali się, Koskoff nadal tłukł w garnek.

Pinet wyjął ze swej torby szczoteczkę i słoik pasty. Zaczął energicznie szorować zęby, aż z kącików ust popłynęła mu piana. Struzka piany spłynęła także po brodzie.

Skończył, wyplukał usta wodą i wypluł do kubka. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że obaj traperzy i dziewczyna obserwują go zafascynowani.

- Czy to boli? - spytała dziewczyna z policzkiem wydętym od tytoniu.
- Nie, to czyści. Bardzo miłe uczucie.

Pokręciła głową z wyraźnym powątpiewaniem.

- Znałem jedną kurwę, cały czas szorowała zęby - skłamał Funt.

- Miała całą kolekcję bajeranckich szczoteczek. Niesamowity widok, mówię wam.

Z niewiadomych przyczyn pokaz mycia zębów uciszył wszystkich. Dziewczyna pograżona w myślach żuła tytoń, Funt i Koskoff pili, najwyraźniej nie myśląc o niczym. Broda Koskoffa, rozłożysta i zjeżona, rozmiarami przypominała orle gniazdo.

Dentysta czuł się dziwnie zawstydzony, jakby zrobił coś złego. Przypomniawszy sobie nagle niefortunną przygodę z żoną, tę, która ostatecznie otoczyła go niesławą jako niegodnego małżonka. Pani Pinetowa przyłapała go z inną kobietą, wdową, obdarzoną nie tylko obolałą szczęką, ale i szczodłą naturą. Pinet nic nie mógł dla niej zrobić - potrzebowała chirurga, nie dentysty - ona jednak uparła się dopełnić swojej części transakcji, choć uzgodniony akt seksualny mógł jedynie pogorszyć jej stan. W tym momencie do pokoju weszła pani Pinetowa.

125

- Powinienem był się uprzeć, żeby pójść za nią - oznajmił dentysta.

Powiedział to nagle, bez żadnych wstępów. Zachichotał. Nikt nie miał pojęcia, o czym mówi, i ewidentnie nikogo to nie obchodziło.

- Kto tak w ogóle odbierze ten cholerny poród? - Pinet nagle poczuł złość z powodu ich braku reakcji. Czknął. - Kto odbierze dziecko?

Funt otworzył szeroko usta - dentysta ujrzał rzędy krzywych, zielon-kawożółtych zębów - i wydał z siebie długie, cuchnące beknięcia. Następnie zaczął ryczeć ze śmiechu.

Koskoff kilka razy rąbnął w garnek.

Drżące dłonie uniosły pełne kubki.

Dentysta nie próbował już więcej mówić. Na dobre poddał się działaniu narkotyku. Miał wrażenie, że znikają mu usta, oczy zamieniają się w kamienne kulki. Wokół knota samotnej naftowej lampy pojawiło się świetliste halo, a on spoglądał wprost w zimowe słońce sprzed dziesięciu lat.

* * *

Z college'u wyruszył na zachód ze swą przyszlą żoną i jej bratem. Jechali pociągiem i mieli z narzeczoną poważne kłopoty ze znalezieniem ustronnego miejsca. Pomogły im w tym jednak upór i wyobraźnia. Pewnego razu kochali się w przedziale bagażowym, tarzając się po ciężkich walizkach i workach. Sprzączki pasków i rączki wbijały im się w plecy i pośladki. W szale namiętności dentysta kopniakiem przewrócił klatkę z papugą i ptak uciekł. Zaczął miotać się po przedziale, a potem wrzaskiem domagać sosu. „Gdzie mój sos? Gdzie mój sos, ty stary taki i owaki?”. Ptak cały czas zawodził, domagając się smakołyku, lecz przyszła żona obejmowała Pineta mocno i mówiła, żeby nie ważył się przerwać.

Gdzieś za Górą Skalistymi, na pustynnej stacji kochankowie podzielili się torebką podtlenu azotu.

- W imię nauki - powiedział Pinet. Nie był to jego pierwszy eksperyment.

Zataczając się, wyszli z pociągu i ukryli w cieniu pod peronem. Leżeli na piasku, patrząc w górę przez szczeliny na buty i sandały innych podróżnych.

Dentysta miał wówczas wizję, lecz nie pozostawiła ona śladu w jego pamięci. Później opisała mu ją żona:

- Mówiłeś, że widziałeś olbrzymie usta, które miały pożreć wszystko. „Pożerają świat” - krzyczałeś. Zacząłeś płakać, a minutę czy dwie później powiedziałeś: „Och, och, tak mi przykro. Są po naszej stronie. Usta są po naszej stronie”. Zupełnie oszalałeś. - Żona wywróciła oczami.

Byli wtedy krótko po ślubie.

- Oszalałem, to prawda. Byłem jak szalony. - Chwycił ją za rękę.
- Byłeś? - spytała, odsłaniając przed nim gardło.

126

* * *

- Pytałem o twoją żonę - powiedział Funt. - Czy wróci do ciebie, *mon amfi*

Pinet wpatrywał się w niego długą chwilę.

- Pierdol się - skrzywił się i zasnął.

Traper nie poczuł się urażony. Kontemplując poszarpaną dziurę w kalesonach, zaczął wydłubywać nitki poczeriałym palcem.

* * *

Dentysta otworzył oczy i zobaczył, że tkwi pomiędzy dwoma mężczyznami. Usłyszał, jak jego własne bezwładne stopy szurają po podłodze. Spojrzał na nie; owszem, należały do niego. Położyli go na jednym z łóżek.

Zamrugnął, widząc z bliska wielkie twarze traperów: zjeżoną brodę Koss-koffa, Funta oblizującego wąsy. A potem pojawiła się dziewczyna. Wargami musnęła jego nos, podbródek, usta. Czuł tytoń w jej oddechu. Palcami delikatnie uniosła jego wargi, językiem powoli przesunęła po zębach.

Jęknął.

Zakrwawione usta zatrzymały się na rance na jego szyi, ucałowały ją.

Ziemia pod nim zadrżała i Pinet pojął, że traperzy zsuwają oba łóżka. Spróbował unieść kończyny i zatrzepotał nimi słabo.

- Proszę - wychrypiał tak niewyraźnie, że tylko on sam zrozumiał, co mówi.

W jakiś sposób jego kalesony zniknęły; miał wrażenie, że obdzierają go żywcem ze skóry. Trzeba oskrobać

rybę, nim się ją ugotuje. Myszy nie obdziera się ze skóry, myszy mogą w niej zostać. Można je zamrozić. Najlepiej smakują w lodzie.

- Proszę.

Koskoff przysunął się od tyłu i zaczął go całować w ucho. Łaskotał szorstką brodą.

Brzuch ciężarnej kobiety napierał mu na udo. Czuł jej oddech w pobliżu, nie umiał jednak znaleźć ust.

Czyjaś ręka sięgnęła mu między nogi, towarzyszył jej głos rozsądku.

- Tu jest, *mon ami*.

Pojął, że głos należy do lekarza, z jego tonu wnioskował, że diagnoza jest bardzo niepokojąca.

Lekarz zakrył mu dłonią usta.

- Czy będzie bolało? - spytał Pinet, czując smak potu lekarza.

Nie potrzebował jednak odpowiedzi. Kiedy w grę wchodziło wrywanie zębów, nikt lepiej od niego nie wiedział, z jakimi nieprzyjemnościami się to wiąże.

* * *

Rankiem obudził się sam w łóżku. Ktoś przekręcił go na bok, może po to, by się nie zadławił, gdyby zwymiotował. Przez szczeliny między pokrywającymi okna deskami przenikały ostre promienie słońca.

127

Pod futrami był nagi i obolały.

Potyając się, poszedł do ukrytej w szafie łazienki. Znalazł wiadro lodowatej wody, jakoś się umył. Po wszystkim nie poczuł się wcale lepiej, ale myślał jaśniej. Prócz niego w chacie nie było nikogo. Jego ubranie leżało złożone na krześle.

Ubrawszy się, zaczął szukać butelki czegoś, co dodałoby mu sił. Natknął się na pudełko po cygarach Hickum. Cygaro kruka było olbrzymie, nieproporcjonalnie wielkie. „Reszta jest dla ptaków. Moja marka to Hickum, przyjacielu. Gdy raz poczujesz go w dziobie, niechybnie się ze mną zgodzisz!”.

Położył pudełko na podłogę i rozdeptał je. Szczątki wkopał pod łóżko.

Nie znalazł niczego mocniejszego, więc musiał się zadowolić słabą, lodowatą herbatą pozostawioną niedopitą na kredensie. Mogła tu stać parę dni. Przemyślawszy sytuację, podjął męską decyzję, że zaczeka z kolejną dawką, aż wróci do pensjonatu w Limestone.

Szybko zebrał swe narzędzia i schował do torby.

Już w progu oparł się o framugę i mrużąc oczy, powiódł wzrokiem po krajobrazie ze śniegu i światła, ostrych linii i nieba. W czystym porannym powietrzu ujrzał odległą przełęcz, którą pokonali poprzedniego wieczoru. Urwiska okazały się jedynie niewysokimi skałami. Dalej, znacznie dalej, zobaczył jezioro, w którym pływały dzieci podczas krótkiego północnego lata. Zza zagajnika bezlistnych brzoź wystawała dzwonnica kościoła metodystów.

Z kamiennego komina stojącej nieco z boku, skutej lodem drewnianej szopy ulatywały kłęby szarego dymu.

Podszedł do niej, stąpając po świeżych śladach.

Znalazł ich w środku, czyścili skórę norki. Funt i Koskoff rozciągnęli ją na stole, a ciężarna dziewczyna przeciągała ostrzem, ścinając resztki chrząstek i mięśni. W palenisku płonął ogień, ciało i wnętrze norki leżały w kuble; jego zawartość parowała.

Patrząc na nich, Pinet uznał, że jedynie wyobraził sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru. Był narkomanem, a umysł narkomana łatwo się miesza. Ciężarna dziewczyna zagryzała wargę, umiejętnie operując nożem. Na policzki i czoło wystąpił jej krwisty rumieniec.

- Muszę iść - oznajmił Pinet.

Koskoff zerknął na niego i odwrócił wzrok.

• Zapłaciliśmy ci.

• *Tabernac!* - zaklął Funt, z wysiłkiem przytrzymując swoją część skóry.

Ostra woń zwierzęcych wnętrzności owiała twarz dentysty.

Pani Pinetowa, kobieta oszczędna, często kupowała u rzeźnika flaki miast droższych mięs. Pinet nigdy się nie skarżył; lubił je, lubił ten mocny, słony smak. Kiedyś przy obiedzie żona zachichotała, mówiąc, że gdy flaki były surowe, pachniały jak wówczas, gdy oboje się kochali. Pinet nie rozumiał.

- Czy ja śmierdzę? - spytał.

128

- Nie, Laurent, nie - zaprzeczyła szybko. - Nie mówiłam o tobie, mówiłam o... naszym pożyciu... o tym jak się kochamy. Po prostu... ten zapach to nic złego. - Uszczypnęła go w policzek i ucałowała. Potem karmiła go palcami, wsuwając w usta kawałki mięsa.

Działo się to wiele lat wcześniej, w poprzednim życiu, i pożałował, że przypomniał sobie tę scenę.

- Co tak stoisz? - spytał Kosskoff.

- Pachnie tu ostrym rżnięciem - odparł Pinet i zaśmiał się krótko, piśkliwie, wskazując kubek pełen krwawych szczątków.

Klepnął się po udzie, nie zdołał jednak powstrzymać kolejnego chichotu.

Dziewczyna wypluła coś ciemnego w śnieg.

CUDA

Mecz I

Najlepsze uderzenie w ogóle nie wymagało wysiłku. Zupełnie jakby po prostu zamachnął się pałką, a piłka sama posłuchała. Mecz był trudny, lecz owa chwila tak łatwa - piłka pomknęła naprzód, Eckstein pobiegł i nikt nie miał szansy go doścignąć. Przez większość czasu czuł się nieswojo, niepewny, skrepowany. Często, gdy nadchodziła pora kłaść się spać, wciąż jeszcze czuł tępe brzęczenie porannego budzika wwiercające się w czaszkę, słabe pulsowanie na karku. Gra w bejsbol stanowiła jedyną część jego życia, która kiedykolwiek wydawała mu się całkowicie naturalna. Ale nie dzisiejszego wieczoru. Dziś wieczór nawet myśl o idealnym trafieniu go nie pociągała. Strasznie wszystko schrzanił i nie miał ochoty zaciągnąć sznurowadeł, a co dopiero unieść pałki.

Eckstein, drugobazowy drużyny Cudów z Coney Island, cały mecz z Dżentelmenami z Hoboken przesiedział na ławce rezerwowych. Poinformował Gordy'ego Wheelocka, menedżera, że jest chory, ma kłopoty z żołądkiem.

Wheelockowi się to nie spodobało.

- Lepiej zainwestuj w parę alka seltzerów, mały; nie jestem tu po to, by masować ci brzuszek.

Lecz menedżer nie zamierzał ryzykować. Eckstein miał talent, był ich najlepszym pałkarzem, toteż stary drań dał mu wolny wieczór.

Teraz zatem Eckstein siedział skulony na ławce, oglądając mecz spod daszka czapki. Starał się nie myśleć o tym, jakim jest żalonym dupkiem. Nie mógł jednak zignorować maleńkich srebrnych ząbków przeżuwiających mu wnętrzości. A do tego wszystkiego krzykacz znów się pojawił, obsypując wyzwiskami Burnhama, Murzyna grającego na lewym polu w zespole Coney Island.

Cleatus Dzieciół Burnham stał na swej pozycji z pogodną miną. Pomiedzy kolejnymi rzutami splatał ręce na piersi i przesuwiał wykalaczkę

z jednego kącika ust w drugi. Równie dobrze mógłby stać w kolejce albo jechać metrem. Stanowił idealne uosobienie cierpliwości, a może jedynie rezygnacji.

Lecz tylko ktoś całkowicie głuchy nie zdołałby dosłyszeć wrzasków krzykacza, które rozbrzmiewały bez końca na całym stadionie, niczym natrętne brzęczenie trzmiela odbijającego się od szklanych ścian słoika.

- Jesteś okropny, Burnham! Nie tylko wyglądasz, jakby trafił cię piorun, ale też tak grasz! - Krzykacz był

chuderlawym człowieczkiem o żalostnej, przypominającej czarny grzyb brodzie. - Wichura powinna zdmuchnąć cię z powrotem do Afryki. Albo nie, nie zdmuchnąć - wydymać!

Kilka osób zarechotało; krzykacz skłonił się otaczającym go widzom. Eckstein marzył, by palant się zamknął. Uszy bolały go od krzyków.

Gdy *gracze* Cudów zbiegli z boiska w połowie zmiany, zjawił się woźny, by zagrabić ziemię wokół baz, ścieżek i mety rzucającego. Nadeszła pora przerwy w siódmej zmianie i wieczornego Numeru Wodewilowego. Na trawę wypadły dwa żywe eksponaty z cyrkowego gabinetu dziwolągów. Odwrócony Człowiek i Dwugłowa Jenny zaczęły ścigać się na miniaturowych trójkołowych rowerkach wokół zapola, podczas gdy organista grał „Muskrat Ramble”.

Dzięcioł usiadł obok Ecksteina; ławka zatrzęszczała. Był najstarszym graczem w drużynie i miał już za sobą swe najlepsze lata. W całej lidze Hudsonu nie grał żaden inny Murzyn, było to wbrew przepisom, lecz Coney Island miała licencję rozrywkową pozwalającą angażować wyjątkowe atrakcje (w poprzednim sezonie zatrudniali karła siłacza Udolfo Niepowstrzymana Siła, wyglądającego jak jeden olbrzymi biceps maszerujący na krótkich nóżkach i grożący, że odgryzie innym jaja. „Urwę ci klejnoty!” - wrzeszczał do niemal każdego, kto wszedł mu w drogę. Zaliczał sporo punktów jako pałkarz, ale nie potrafił grać w polu ani biegać. A poza tym jego ciągle picie i niemiecki akcent - nie mówiąc już o groźbach jajożerstwa - nie zyskały mu popularności ani wśród graczy, ani w zarządzie. Coney w końcu pozbyła się karła, sprzedając go do cyrku w Utice jako zastępcę człowieka-kury). I dlatego w tym sezonie Cuda ściągnęły Dzięcioła Burnhama, czarnucha, który umiał grać w bejsbol.

Najwyraźniej zresztą Dzięcioł był kiedyś naprawdę świetnym pałkarzem. Czasami udało mu się trafić i posłać daleko piłkę, lecz jego średnia nikomu nie imponowała. Na zapolu poruszał się ospale, jakby brodził w gęstym, lepkim błocie.

Nazywali go Dzięciołem, bo nieustannie żuł własnej roboty wykałaczkę. Cały czas nosił przy sobie kieszonkowy nożyk i odcinał strużki od wszystkiego, co się napatoczyło. Na ławce pozostawił setki rys, zupełnie jakby dobrał się do niej bóbr.

Paru chłopaków lubiło zabawić się jego kosztem. Na przykład Pelky, trzeciobazowy, poprosił Dzięcioła, by złożył mu autograf na arbuzie. Murzyn zachował się całkiem w porządku i podpisał się „Dzięcioł Burnham” dużymi, wyraźnymi literami. Teraz Pelky trzymał arbuza na naj-

131

wyższej półce szafki, na jego czubek nasadził czapeczkę Cudów, a w kącik wyrysowanych ust wbił wykałaczkę.

Burnham był inny od reszty, lecz Eckstein go lubił. Po pierwsze, zawsze mogli pogadać o filmach. Niemal za każdym razem, gdy Eckstein wybierał się do Odeonu, kiedy zerknął w górze, na balkonie widział Dzięcioła w pierwszym rzędzie, przygarbionego nad poręczą, z wykałaczką wiszącą nad dolną wargą.

Teraz patrzył, jak jego kolega z drużyny obraca na kolanie starą złamaną pałkę Louisville Slugger, po czym wybiera miejsce wysoko na zgrubieniu i z jednym błyskiem noża odcina zgrabną wykałaczkę. Dzięcioł wypluł starą wykałaczkę na ziemię i wsunął między zęby nową.

Na zapolu, w blasku reflektorów, Odwrócony Człowiek spadł z rowerka. Wstał oszołomiony i pobiegł w przeciwną stronę, oddalając się od linii końcowej. Opiekunowie dziwolągów pospieszyli za nim, trudno jednak było przyciągnąć uwagę Odwróconego Człowieka. Jego mała jak orzeszek główka tkwiła na szyi tył na przód, spoglądając zezowatymi oczami w dół na kręgosłup.

- Dobry mecz? - spytał Eckstein.

Dzięcioł przesunął wykałaczkę w ustach.

- Nie najlepszy.

- Ten sukinsyn na trybunie nigdy się nie zamyka, co?

• Nie zwracam na niego uwagi. - Dzięcioł podrapał się po brzuchu, pocierając długimi, ciemnymi palcami o jaśniejszych koniuszkach po miękkiej wypukłości.

- Widziałeś ostatnio coś dobrego? W Odeonie?

- Oglądałem ten nowy film. Całkiem niezły. O wampirach.

- Dużo zabijania?

- Trochę.

- Dziewczyny?

- Tylko jedna. Niewiele pokazuje. Trochę nogę, ale nie udo.

Dzięcioł odciął wykałaczkę od swej pałki i wręczył Ecksteinowi. Smako wała trocinami, ale nie chcąc urazić kolegi, drugobazowy zaczął żuć pilnie.

Gdy przerwa dobiegła końca, opiekunowie dziwołagów sprowadzili z boiska Odwróconego Człowieka i Dwugłową Jenny. Jedna z głów Dwugłowej Jenny zasnęła. Głowa ta, łysa, budziła się rzadko i nigdy nic nie mówiła. Druga wystawiła język i pomachała nim lubieżnie do Odwróconego Człowieka.

W pierwszej połowce zmiany Dzięcioł posłał piłkę w lukę na prawym polu, ale wyautowali go przy drugiej bazie.

Nim jeszcze otrzepał się z kurzu, krzykacz zaczął wrzeszczeć.

- Ty tłusty sukinsynu, masz tylek z ołowiu!

Dzięcioł, nie zwracając na niego uwagi, wrócił na miejsce, wciąż przeżuując wykałaczkę z dębu z Louisville.

Na dziewiątej zmianie Wheelock powiedział Ecksteinowi, żeby „zaciśnął zęby, wciągnął brzuch i wziął tylek w troki”, bo będzie odbijał. Eck-

132

stein wiedział, że miotacz jest zmęczony -jego szybkim piłkom brakowało siły, a podkrecone wyglądały coraz gorzej. Uznał, że bez problemów odbije choć jedną. Lecz w chwili gdy się zamachnął, pośliznął się na czymś i piłka przeleciała obok. Miotacz skoczył naprzód. Szybki rzut do drugobazowego i z powrotem do pierwszego. Podwójna.

- No, Eckstein, do roboty!

Kiedyś Eckstein widział, jak koń wyścigowy łamie sobie nogę na torze. Patrzył, jak dżokej osobiście staje nad nim w swym obszarpanym stroju i strzałem z pistoletu kończy cierpienia biednego zwierzęcia. Teraz w jego głowie znów zabrzmiał tamten dźwięk jednego, wyraźnego strzału. Krzykacz miał głos jak syrena przeciwmgielna.

- Co się stało, Eckstein? Też zamieniłeś się w czarnucha?

Zebrany tłum - rodziny na wakacjach, chłopcy w jarmułkach i szortach, mężczyźni w koszulach i słomkowych kapeluszach, dziewczęta w letnich sukienkach, parę zakonnic, siedmiu czy ośmiu Murzynów stojących na zewnątrz z palcami wczepionymi w siatkę przy prawym polu - wydał z siebie kolektywne westchnienie i zaczął opuszczać trybuny, zmierzając do domu albo z powrotem na promenadę. Operator tablicy wywiesił ostateczny wynik: Dżentelmeni z Hoboken: 4, Cuda z Coney Island: 3.

Eckstein wrócił na miejsce i opadł ciężko na ławę. Pozostali gracze, także Dzięcioł, już poszli. Operator tablicy wyników zastąpił karty z wynikami kolejnych zmian reklamami ekstradługich hot dogów Red Giraffe. W powietrzu rozeszła się seria trzasków, gdy obsługa wyłączała kolejno trzy słupy oświetleniowe górujące nad boiskiem. W miarę jak włókienka żarówek stygły, noc rozlewała się wokół, powlekając murawę czernią.

* * *

Po wszystkim Eckstein poszedł pieszo do Odeonu. Lillian skrzywiła się i wpuściła go za darmo.

Film nosił tytuł „Czarny dwór”; perspektywa jego obejrzenia odrobinę pocieszyła Ecksteina. Nie ma nic lepszego niż film o wampirach.

Dwóch włóczęgów, Gooch i McMasters, jedzie wagonem towarowym do Kalifornii. Nagle jednak postanawiają wyskoczyć tuż pod małym miasteczkiem gdzieś w Teksasie i poszukać czegoś do jedzenia. Ta część jest bardzo zabawna, bo Gooch to radosny koleś i prawdziwy głupek.

- Jeśli nie znajdziemy tu czegoś porządnego do żarcia, Mac, do diabła, może spróbuję zjeść ciebie - mówi i w tym samym momencie wyobraża sobie olbrzymi kotlet wieprzowy ubrany w ciuchy McMastersa i jego czapkę.

Potem jednak robi się mniej śmiesznie, bo miasteczko nęka horda wampirów mieszkających we dworze na wzgórzu, żywiących się ludzką krwią. Aby zaspokoić głód enklawy krwiopijców, tej nocy mieszkańcy miasta zwabiają Goocha i McMastersa do dworu, obiecując solidny posiłek z fasolką i ciepłe łóżko. Wampiry nie przewidziały tylko jednego - tego, że McMasters to prawdziwy twardziel, były bokser noszący na

133

piersi krzyżyk otrzymany w prezencie od wuja księdza. Nigdy go nie zdejmuje, choć przestał wierzyć w Boga, gdy jego mała siostrzyczka umarła na polio. Dzięki temu McMastersowi udaje się przegnać wampiry i jakimś cudem uciec. Tymczasem Gooch zapędzony pod ścianę obserwuje ze zgrozą zbliżające się nieubłagane wampiry; patrząc ich oczami, widzimy nagle kotlet wieprzowy w ciuchach Goocha i jego kapeluszu. Lillian

usiadła obok Ecksteina.

- Miasto nękają wampiry - wyszeptał Eckstein. - Jeden z włóczęgów uciekł.

- Chała - odparła Lillian krótko.

McMasters próbuje zebrać grupę wieśniaków i przypuścić atak na dwór, ale wszyscy mieszkańcy to sługusy wampirów. Jedyną osobą, jaka zgadza się mu pomóc, jest córka burmistrza Kelly-Anne. McMasters zakrada się do dworu, podczas gdy Kelly-Anne podkłada dynamit. Wcześniej on każe jej przysiąc na duszę jego młodszej siostry, że jeśli nie wyjdzie za pół godziny, dziewczyna wysadzi wszystko. Wreszcie McMasters zabija króla wampirów, przebijając mu serce nogą od fotela. Ale trwa to tak długo, że Kelly-Anne musi podpalić lont. Jest zrozpaczona, bo nagle pojmuje, że kocha tego twardziela mimo jego niewyparzonej gęby. A wtedy on za pomocą krzyża wykopuje się z gruzów i wschodzi słońce, zwiastun nowego dnia.

Przez cały film Lillian nieustannie wzdychała cicho, z niesmakiem, Eckstein jednak prawie tego nie zauważał. Taki film mógł oglądać dwa, nawet trzy razy. Uznał, że jego ulubiona scena to ta, w której McMasters przewraca wielki wampirzy tron i więzi pod nim wrzeszczącego, piszczącego krwio pijęcę. Potem włóczęga odrywa z tronu nogę - zakończoną rzeźbą przypominającą niedźwiedzie pazury - i wbija w czarne wampirze serce.

Czekając, aż Lillian pozamyka, Eckstein krążył po chodniku, kopiąc kamyczki. Znowu czuł wyrzuty sumienia. Zasłużył sobie na taki sam los jak Gooch. Wiedział, że miało to być zabawne - dowcip w dowcipie - lecz scena, w której wampiry patrzyły na Goocha i widziały kotlet, sprawiła, że nagle zlał się potem i znowu poczuł mdłości. Przypomniał sobie, co kiedyś powiedział mu ojciec:

„Wierzę święcie, że życie zeżre cię i wyrzyga, chłopcze”.

Myślał o wampirach otaczających włóczęgę, zbliżających się powoli, bardzo powoli, pochylających nad nim i unoszących peleryny, które przesłoniły skuloną postać osuwającą się powoli pod ścianą, aż w końcu zamieniły się w jedną wijącą się masę, żywy cień.

Co w tym takiego zabawnego? - spytał sam siebie i uznał, że może jednak film nie podobał mu się aż tak bardzo.

Nieco dalej, pod salonem gier jeden z zaganiaczy urządził konkurs w odbijaniu monet od ceglanej ściany. Stary gliniarz zbierał zakłady do znoszonej czapki. U wylotu alejki po drugiej stronie ulicy bezdomny siedział na ziemi i mieszał patykiem w kałuży. Po bruku przejechał z chrzę-

134

stem ford T. Wielki diabelski młyn, górujący nad lunaparkiem, pomruki-wał światłami, zielenią i bielą, zielenią i bielą, zielenią i bielą.

Lillian wyszła na dwór i zaczęła zaciągać stalową żaluzję. Podszedł jej pomóc, kazała mu jednak zejść sobie z drogi. Metal opadł z brzękiem, a ona zamknęła żaluzję na klucz.

- Jestem głodna - oznajmiła.

Bez dalszej dyskusji poszli do baru za rogiem. Jej obcasy uderzały głośno o trotuar. Lillian była dużą, wysoką dziewczyną o szerokich biodrach. Włosy czesała w modne fale podskakujące przy każdym kroku i zawsze świeżo pachniała talkiem i bzem. Dziś wieczór jednak szli zbyt daleko od siebie, by Eckstein poczuł nawet cień słodczy, a jej trwała wydawała się mokra i oklapła.

Lillian wybrała miejsce z tyłu. Pozwoliła, by kelnerka nałóża im kawy, i odczekała, aż tamta się oddali.

- Wiem, o co chcesz zapytać, i odpowiedź brzmi nie, wciąż nie dostałam. To już dziewięć tygodni, kolego.

Spojrzała na niego twardo, a on odwrócił wzrok do okna.

Owego pierwszego wieczoru w kwietniu zobaczyła go podczas meczu. Twarz miała zarumienioną, gdy wychyliła się ponad barierką trybuny i wręczyła mu bilet na wieczorny seans. Film okazał się historią miłosną opowiadającą o pięknej dziewczynie cierpiącej na amnezję i playboju milionerze, Eckstein jednak nigdy się nie dowiedział, jak się skończyła.

- Nudzę się - wyszeptła mu do ucha Lillian w chwili, gdy play boy przyprowadził piękną, udręczoną amnezją biedaczkę na spotkanie z wróżką.

- Spotkało cię coś strasznego - oznajmiła wróżka. - Widzę złowieszczego nieznajomego, widzę, jak cię szuka w tej chwili.

Dziewczyna krzyknęła.

- Spokojnie, spokojnie - rzucił playboy. - Wystarczy już.

Do tej pory jednak Lillian wyciągnęła Ecksteina z fotela, razem wymknęli się bocznymi drzwiami, wbiegli po schodach i znaleźli się w ciemnej kabinie, gdzie stał projektor.

Z pękniętego włazu na środku ulicy sączyła się para. Eckstein chuchnął na szybę i napisał palcem E.

Zjawiała się kelnerka. Lillian zamówiła stek, pieczony ziemniak i placek z truskawkami. Eckstein poprosił o kawę. Kelnerka odeszła.

- To był wypadek - powiedział. - I wiedziałaś, co robisz...

- To wszystko twoja wina. Po prostu się w tobie zadurzyłam i proszę!

- Zamrugła kilka razy i wytarła dłonią kąciki oczu.

Owego wieczoru w kabinie projektora to był jego pierwszy raz.

- Nie rób tego we mnie - powiedziała.

W małym pomieszczeniu ledwo starczało miejsca dla nich obojga.

- Czego mam nie robić? - spytał Eckstein. Chwilę później jęknął i wystrzelił.

135

Ów moment ekstazy skończył się gwałtownie, gdy Lillian odepchnęła go gorączkowo. Eckstein poleciał do tyłu na regał z taśmami filmowymi. Krzyknęła, że jest idiotą, Eckstein odparł, że po prostu nie myślał, to wszystko, i to był jedyny raz, gdy to zrobili. Od tego czasu ledwo pozwalała mu się pocałować. Pewnego wieczoru w desperacji, gotów uczynić wszystko, byle tylko znów to poczuć, zaproponował, że się z nią ożeni, nieważne czy jest w ciąży, czy nie.

- Też mi coś - odparła Lillian. - Moja rodzina byłaby zachwycona. Bejsbolista z żydowskim nazwiskiem.

- Nie jestem Żydem - zaprotestował Eckstein - tylko Niemcem.

- Jasne. - Lillian prychnęła pogardliwie. - Jasne.

I wtedy wyrzucił z siebie, że ją kocha, po prostu kocha. Oczy Lillian rozszerzyły się, zmierzyły go uważnie i Eckstein poczuł, że dziewczyna spogląda w głąb niego. Ścisnęło mu się gardło. Jej oczy się zwężyły.

- Jesteś potworem - oznajmiła w końcu bardzo cicho.

* * *

- Niedługo zrobię się gruba i stracę pracę. - Lillian zaczęła płakać.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Lillian miała twarz mokrą od łez. Spojrzała z niesmakiem na swój talerz i odsunęła go gwałtownie.

- Czy prosiłam o sos? I co z serwetkami? Czy wyglądam na kogoś, kto nie używa serwetek?

Odprowadził ją do domu, do mieszkania dzielonego z trzema innymi kobietami, w pensjonacie dla kobiet Mermaid Avenue.

- Ta scena z filmu, w której ten gość, włóczęga... Kiedy wampiry patrzyły na niego i nagle zamienił się w kotlet wieprzowy, nie uważam wcale, że była śmieszna - oznajmił Eckstein z nadzieją zagajenia rozmowy.

- Głupia - odparła Lillian, nie powiedziała jednak nic więcej.

Ostatnie cztery przecznice pokonali w milczeniu.

- Jutro po pracy zajmę się tym - oznajmił Eckstein. Lillian pociągnęła nosem i uderzyła go słabo torebką. - Weź ubranie na zmianę - dodał, bo słyszał, że tak właśnie powinna postąpić dziewczyna w podobnej sytuacji.

* * *

Tej nocy czuł się tak okropnie, że opowiedział o wszystkim swojemu współlokatorowi Pelky'emu, trzeciobazowemu Cudów. Gdy tylko skończył, natychmiast tego pożałował. Głośno wypowiedziane słowa sprawiły, że poczuł się jeszcze gorzej. Był winny, jasne jak słońce, że był winny.

Boby Pelky nie widział, w czym problem. Pochodził z południa, chyba z Alabamy i czasami dyktował Ecksteinowi listy do swej matki.

- Ma brata, rodzinę? Kuzyna? Kogoś, kto mógłby cię zabić?
- Nie - odparł Eckstein. - Nie sądzę, by kogoś miała.
- No to nic się nie stało - orzekł Pelky.

136

W listach do matki zawsze powtarzał, że prostuje rękę, rzucając trudne piłki, i prosił, by dała mu znać, jeśli farmer Garrison z sąsiedztwa znów zacznie się jej narzucać i zapraszać na wiejski jarmark. „Stary dzia-dyga niech lepiej zachowuje się jak należy, bo inaczej zastrzelę mu psa - tak na początek”, podyktował kiedyś.

Teraz Eckstein próbował zmienić temat.

- Oglądałem dziś nowy film w Odeonie, ten o wampirach.

Pelky usiadł na parapecie i zapalił zapałkę. Był żylasty i zaskakująco szybki: zręczny gracz, który poruszał się pozornie leniwie, tak iż czasami zdawało się, że zaśnie pomiędzy złapaniem piłki i odrzuceniem jej do pierwszego. Odbijał natomiast kiepsko i czasami miewał kłopoty z krótkimi podaniami.

- Ale ci jej szkoda. - To nie było pytanie.
- Mam dwadzieścia dolców.
- Nie starczy. - Płomyk dotarł do palców Pelky'ego, który zgasił go pstryknięciem. - Potrzebujesz czterdziestu, może pięćdziesięciu.

Eckstein wruszył ramionami.

• Wiesz, dokąd pójść? - Pelky podszedł do nocnej szafki, znalazł portfel i wyjął trzy czy cztery dolary.

• Tak - odparł Eckstein. - Jasne, słyszałem.

- W porządku, Eck, urządzimy zrzutkę na resztę. To nie problem.

Trzeciobazowy rzucił banknoty na stolik Ecksteina i wrócił do okna. Zapalił kolejną zapałkę.

- Wiesz, w zeszłym roku też zrobiliśmy ściepę na karła, szkopskiego karła. Ale nie na laskę, tylko lekarza. Szkopski karzeł coś złapał. Od ja kiejs kurwy, tak mówił. Chętnie zobaczyłbym tę kurwę.

Eckstein próbował zmusić się do śmiechu, ale zdołał jedynie zakasłać. Zapięły go oczy, szybko wydmuchnął nos.

Za otwartym oknem ponad ramieniem trzeciobazowego tańczyły i migotały światła wesołego miasteczka. Z dołu dobiegały śpiewy pijaków, mechaniczna muzyka i śmiechy.

- Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby zawałiła się największa kolejka? - spytał Pelky. - Po prostu poleciała jak stos patyków? Ludzie w kolejce nieźle by krzyczeli. Jak myślisz?

Eckstein skulił się na łóżku. Wyciągnął rękę spod kołdry, dotknął palcem banknotów i cofnął dłoń.

- Tak, założę się, że by wrzeszczeli.

Pelky w oknie zdmuchnął zapałkę.

- Daj spokój, Eck - rzekł. - Uśmiechnij się. Chodź, napiszemy liścik do mojej mamci.

Mecz 2

Podczas trzeciej zmiany, gdy Dziecioł nie złapał wysokiej piłki, krzykacz cisnął butelką. ;

137

- Niezdarny czarnuch! Ślepa komenda!

Dziecioł trafiony butelką w głowę runął na ziemię. Krzykacz przebiegł po trybunie i zmykał w stronę wyjścia, nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać.

Paru graczy podniosło Dziecioła i pomogło mu zejść z boiska. Wstrząśnięty Eckstein dostrzegł krew na skroni lewopolowego, płamiącą daszek jego czapki i ściekającą na kołnierzyk pasiastego kostiumu. W zaszklonych oczach Dziecioła widział tępy ból; gdy napotkał jego spojrzenie, poczuł, że nic ich nie łączy, byli sobie obcy.

Po kilku minutach, gdy rozgrzał się nowy lewopolowy, mecz potoczył się dalej.

Eckstein miał nadzieję, że gra pozwoli mu choć na trochę zapomnieć O Lillian i o tym, co zamierzali zrobić... załatwić. Nie umiał jednak po wstrzymać myśli. Wyobrażał ją sobie obscenicznie rozkraczoną na stole, płaczącą i krzyczącą, krew bryzgającą na wszystkie strony. A gdy w końcu przegnał ów obraz, jego umysł przywołał śmierć Goocha w „Czarnym dworze”, tyle że zamiast Goocha to Eckstein kulił się pod ścianą, a po tem wampiry uniosły peleryny nad jego głową, przesłaniając światło.

Pewnej nocy, jednej z ostatnich swego życia, gdy gruźlica przeżarta już jej mózg, matka Ecksteina powiedziała mu:

- Powinam była się ciebie pozbyć. Spójrz tylko na mnie, co się ze mną stało.

Jego ojciec porzucił ich trzy lata wcześniej, od dwóch lat nie przysyłał pieniędzy. Matka z synem żyli samotnie w pokoju na czwartym piętrze. Nie słuchał jej, wbijając wzrok w ścianę, a ona zwykle milczała. I właśnie na owym pustym pokoju skupiły się w końcu jego myśli, na obrazie brązowej plamy na ścianie ponad łóżkiem matki.

Do przerwy w połowie siódmej zmiany nie tylko ani razu nie trafił piłki, choć trzykrotnie miał w rękach pałkę, ale też popełnił dwa poważne błędy.

- Grasz dziś jak śmieć - oznajmił Wheelock. - Niech nikt nie wyrzuca Ecksteina. To śmieć, ale nikomu nie wolno go wyrzucić. Słyszycie? Nie ważne, jak bardzo pieprzony Eckstein wygląda jak cholerny śmieć tkwiący w boksie pomiędzy graczami, niech nikt go nie wyrzuca. Bo jeśli znaję tego małego sukinsyna w klubowym śmietniku, to nie ręczę za siebie.

Eckstein splunął na ziemię, nic jednak nie powiedział.

Podczas przerwy w ramach numeru wodewilowego Dwugłowa Jenny i Odwrócony Człowiek ścigali się po boisku na jumperach. Organista odegrał zwariowaną wersję „Sugarfoot Stomp”. Akompaniowali mu Fioletowa Dziewczyna na flecie i Trzytonowy Timmy na trąbce. Zakonnica z widowni rzuciła hot dogiem w Fioletową Dziewczynę, ona jednak odańczyła na bok, pokazując tłumowi gołe nogi. Trzytonowy Timmy zawodził na swej trąbce; w jego olbrzymich rękach wydawała się małeńka jak organki. Obwisłe policzki kołysały się niczym juki przy siodle galopującego konia.

138

Odwrócony Człowiek znów upadł ciężko, owinięty wokół swojego jumpera. Małeńkie oczka w skarłalej główce wywracały się gorączkowo, podczas gdy tłum wrzeszczał. Dwugłowa Jenny skłoniła się; przytomna głowa polizała po uchu tę łysą, uśpioną. Łysa głowa nie zareagowała. Tłum zafalował, klaszcząc głośno. Ciężarówka z mleczarni wywiozła Trzytonowego Timmy'ego służbową bramą. Fioletowa Dziewczyna zarumieniła się zielonkawo, słysząc nieprzystojne okrzyki.

Podczas ostatniej próby Eckstein dostał piłką w biodro.

- Pierdol się, pieprzony, cholerny piździelu! - zawołał do miotacza Hobokenów, kuśtykając na pierwszą bazę.

Ostateczny wynik: Dżentelmeni z Hoboken 9, Cuda z Coney Island 1.

* * *

W szatni Pelky poprosił każdego z graczy o zrzutkę, minimum po dolarze. Sknerusom powtarzał: „Tylko nie odgrywaj mi tu Żydowiny, chłopie” i uśmiechał się ostrzegawczo, a oni pośpiesznie dorzucali resztę. Nawet menedżer Wheelock - który najpierw spojrział na Ecksteina i z dezaprobatą pokręcił głową - dołożył dwa dolary.

Eckstein siedział i obgryzał paznokcie. Potem umknął pod prysznic i stał pod strumieniem gorącej wody, aż w końcu miał wrażenie, że skóra kurczy mu się na kościach.

Kiedy wrócił, Pelky stał nad Dzięciołem.

Dzięcioł z głową owiniętą workiem lodu leżał wyciągnięty na ławce. Ciało wokół prawego oka napuchło i pociemniało, z ust wystawała drzazga czerwonego drewna, odciętego z ławki w szatni.

- Tylko tyle masz, smoluchu? - Pelky uniósł monetę dziesięciocento-

wą. Uśmiechał się niebezpiecznie, wszyscy inni patrzyli.

Czarnoskóry odwrócił głowę, wbijając wzrok w ścianę.

- No, no, i co my z tobą zrobimy, Dzieciolku?
- Jutro dam ci resztę.

Pelky bez ostrzeżenia wałną go pięścią w miękki brzuch. Dzieciol sapnął i zgiął się wpół. Pelky wytrącił mu z ust wykałaczkę. Paru chłopaków poruszyło się niespokojnie, ale nikt się nie odezwał.

- W porządku - rzekł Pelky - przynieś jutro. Ale lepiej niech to bę dzie piątał, staruszku. Co ty na to?

Dzieciol nie odpowiedział.

- Jak na lato, prawda? Inaczej wiesz chyba, że urwę ci jaja, czarnu chu. - Pelky pokiwał głową sam do siebie. - A to tylko na początek.

Eckstein, owinięty w pasie ręcznikiem, zamarł. To było ciasne, brudne pomieszczenie, wilgotne od prysznicowej pary. Zawodnicy siedzieli na stołkach przed szafkami, większość była naga - blade ciała, ręce i twarze brązowe od słońca. Dzieciol, także nagi, stanowił czarną smugę pośrodku, jego pierś unosiła się i opadała, worek z lodem niczym turban okrywał głowę. Pelky ziewnął, przerywając ciszę. Odwrócił się od nieruchomej postaci na ławce i zaczął zbierać składki od ostatnich członków drużyny.

139

Eckstein poczuł, jak nozdrza wypełniają mu szatniane miazmaty - pot, pleśń, maść rozgrzewająca i tytoń. Miał ochotę zwymiotować. Gdy się ubierał, Pelky podszedł i wcisnął mu do ręki zwitek banknotów.

- Tu jest trzydzieści, nie licząc piątki smolucha. - Objął ramieniem Ecksteina i ścisnął mocno. - Trochę mało, ale wątpię, by odrzucili taką ładną sumkę.

Eckstein potrzebował kilku sekund, by odzyskać głos.

- Dzięki. Jestem ci coś winien.
- No cóż, wiesz, jaki ze mnie miękki gość.

* * *

Poszedł do kina z nadzieją, że wypatrzy błąd. Kiedyś w westernie dostrzegł zderzak forda wystający zza budynku. W filmach roilo się od błędów i zwykle podobne przeoczenia jedynie irytowały - ale dzisiaj pragnął dowodu, że to tylko fantazje, że „Czarny dwór” nie jest prawdziwy...

...Włóczęga wybałuszyl oczy, gdy go otoczyły potwory. Wampiry były coraz bliżej i bliżej, ciągnęły za sobą peleryny, które przelewały się i falowały niczym żywe zwierzęta. Potwory o białych twarzach czarnymi językami oblizywały czarne wargi. Nie odsłaniały zębów, lecz pod skórą upiornie napiętych policzków rysowały się ich kształty - maleńkie ostre miecze. A potem punkt widzenia się zmienił i nagle na ekranie ukazał się świat widziany oczami wampirów - Gooch stał się wielkim kotлетem wieprzowym wciśniętym w połatane ciuchy włóczęgi i sfatygowany, stary włóczęgowski melonik.

Kilka osób się zaśmiało. Mężczyzna w rzędzie Ecksteina zachichotał i parę razy uderzył oparcie przed sobą. Gooch jęknął: „O Boże, Bo...”. Peleryny i cienie przesłoniły go zupełnie.

Eckstein zerwał się, przecisnął obok rozchichotanego mężczyzny na końcu rzędu. To był krzykacz, który rzucił w niego kilkoma ziarnami popcornu.

- Uwaga na kolana, gównolocie!

W toalecie Eckstein w końcu zwymiotował, głównie kawą, ale rozpoznał też kawałek porannego bekonu unoszący się pośrodku czarnej brei. Potem znów wstrząsnęły nim spazmy, choć nie miał już czym rzygać.

Gdy poczuł się lepiej, umył ręce, ochlapał wodą twarz. Sikając, słyszał w pisuarze trzask przypominający pęknięcie lodu i dźwięk ten sprawił, że zadrżał.

Wyszedł na zewnątrz, spacerował wokół kina, czekając, aż skończy się seans i Lillian będzie mogła wyjść.

Weekendowy tłum był gęsty i hałaśliwy. Dzieci uganiały się wokół. Z dansingu dobiegały melodie wygrywane na pianinie. Dwóch facetów siłowało się niemrawo - napierali na siebie chwiejnie, a przechodnie wymijali ich bez zainteresowania. Jakiś mężczyzna wciągnął w alejkę rozchichotaną dziewczynę. Eckstein rozpiął parę guzików koszuli i zsunął czapkę na tył głowy. Od razu poczuł się lepiej. Pozwolił, by tłum zaniósł go

140

na koniec promenady, gdzie wśród kolorowych świateł rozbrzmiewały okrzyki zachwalające najnowsze

atrakcje. Kupił butelkę oranżady; sprzedawca go rozpoznał.

- Spadek formy? - spytał.
- Nie - odparł Eckstein. - Po prostu daliśmy Hobokenom odetchnąć.

Myślę, że jutro im pokażemy.

Uchylił czapki przed sprzedawcą, który w odpowiedzi uniósł swoją papierową czapkę w czerwone pasy. Eckstein znalazł kram oferujący rzucanie piłką bejsbolową; zaczął ciskać nią bezbłędnie przez kolejne wiszące obręcze. Tymczasem kramarz palił cygaretkę.

- Znikaj stąd, chłopie - rzekł. - Te nagrody nie są dla ciebie.

* * *

Nieco później znalazł się z powrotem przy głównej alei, gdzie dostrzegł Dziecioła siedzącego na krawężniku i strugającego wykałaczką z kawałka wyrzuconego przez morze drewna. Nim Eckstein zdążył zniknąć, zapolowy uniósł wzrok, uśmiechnął się szeroko i pomachał do kolegi. Ecksteina zapiekły policzki. Wstydił się.

Dziecioł ułożył u swych stóp stosik nowych wykałaczek. Przycisnął nożyk do szarego kawałka drewna, odciał kolejny fragment i mruknął z satysfakcją.

- Porządne drewno - rzekł.
- Pewnie tak - zgodził się Eckstein.
- Mam te pięć dolarów - oznajmił Dziecioł.
- Nie, nie trzeba, naprawdę - odparł Eckstein. - Przepraszam za Pelky'ego, po prostu próbował mi pomóc i... no, trochę go poniosło.
- Nieważne. - Dziecioł wyciągnął banknot i wcisnął do kieszeni ko szuli Ecksteina.

Z dalekiej promenady dobiegał gwar. Odbijające się od nocnych chmur wielkie koło rozbłyskiwało zielenią i bielą, zielenią i bielą, zielenią i bielą.

Lillian wkrótce zamknie kino.

- Dzięki - rzucił Eckstein. - Muszę już zmykać.
- Widziałeś ten film? - spytał Dziecioł.
- Tak. Diabło mnie wystraszył.
- Wydawały się prawdziwe, co nie? Te wampiry.
- Jak diabli.
- Zgadza się - mruknął Dziecioł. W głębokim zamyśleniu zaczął prze suwać wykałaczką w ustach tam i z powrotem, ale nic już nie powiedział.

* * *

Gdy spotkali się pod kinem, Lillian unikała wzroku Ecksteina. Szedł obok niej zgarbiony. Co chwila udając, że się drapie, wycierał oczy, do których napływały łzy. Z daleka od promenady domy przy Surf Avenue stawały się coraz węższe, listewki oblażyły z farby i pękały, trawniki wię-

dły, w rynsztokach piętrzyły się stosy śmieci, a w powietrzu wisiał smród gnijących ryb. Nagle Ecksteina zaskoczył skowyt dwóch walczących psów.

- Do diabła! - zaklął i Lillian go nie upomniała.

Kiedy dotarli do uliczki, rozpoznał ją po niesławnym znaku - odła-manym kawałku skrzyni przybitym do wygiętego słupa latarni. Na desce oblażącymi czarnymi literami wypisano: Zaulek Nieszczęśników.

Lillian czknęła i zaczęła płakać.

- Kiedyś będę miała piękne dzieci - wyszlochała, jej głos unosił się i opadał w rytm czkawki. - A ty będziesz wypalonym pałkarzyną w zapy ziałym miasteczku.

Na ulicy leżała pusta butelka. Eckstein podszedł, podniósł ją i cisnął daleko ponad dachy po drugiej stronie ulicy.

Lillian przestała płakać. Przytrzymał jej torebkę, gdy nakładała sobie świeżą warstwę makijażu przy świetle księżycy, przeglądając się w lusterku puderniczki.

Podał jej rękę. Chwyciła ją. Ich dłonie kleiły się od potu.

Na końcu alejki ujrzeni wielkie zaśmiecone podwórko. Pod jedną ze ścian stał pogięty, jednokołowy rower. Do drugiej przysunięto klatkę, dość dużą, by pomieścić lwa. Leżało w niej coś wielkiego, nieruchomego bądź martwego. Na końcu podwórza stał ciemny, rozpadający się dom z zamkniętymi, krzywymi okiennicami. Z rozklekotanej werandy do środka wiodło dwoje drzwi, czarne i czerwone.

- Mamy wejść czerwonymi - oznajmił Eckstein.

* * *

Lillian czekała na dole, kuląc ramiona. Eckstein zapukał z wahaniem. Niespodziewanie oczy mu wyschły. Odkrył, że mruga bardzo szybko i przestępuje z nogi na nogę.

Po minucie usłyszał kroki i szuranie. Tup, tup, szsz, tup, tup, szsz. Zacisnął pięści.

Drzwi się otwały.

- Przychodzisz na dymanko? - spytała sennie Fioletowa Dziewczyna.

- Już po godzinach, będzie kosztowało więcej.

W blasku księżycy jej skóra wydawała się posiniaczona. Z niewiadomych przyczyn trzymała w ręce szczotkę, którą ciągnęła za sobą. To wyjaśniało szuranie.

Eckstein nie był w stanie mówić. Mrugając, wpatrywał się w szczotkę.

Fioletowa Dziewczyna podążyła za jego wzrokiem.

- Czasami mam ochotę pozamiatać - oznajmiła. - Bywa, że zaczy nam zamiatać o najdziwniejszych porach.

Przesunęła mu szczotką po butach. Miała na sobie białą koszulę nocną, jej ciemna skóra przeświecała przez materiał. Eckstein poczuł pierwsze lęklive mrowienie podniecenia.

- Potrzebny nam doktor - oznajmił, nagle odzyskując głos.

142

Fioletowa Dziewczyna spojrzała mu ponad ramieniem, dostrzegła Lillian i zmarszczyła nos.

- Chodźcie za mną- poleciła. Odwróciła się i ruszyła w głąb korytarza.

Podążyli za nią po splekanej drewnianej podłodze. Na końcu korytarza naga żarówka wisiała nad otwartymi drzwiami do piwnicy. Fioletowa Dziewczyna skinieniem głowy wskazała drewniane stopnie i odeszła. Lillian ścisnęła mocno dłoń Ecksteina. Razem zeszli na dół.

- Będziecie musieli zaczekać, aż skończy amciać - oznajmiła przy tomna głowa Dwugłowej Jenny. Kobieta-dziwoląg stała przy stole po środku pograżonego w półmroku pomieszczenia o podłodze z ubitej ziemi. Siedzący na ustawionym tyłem do przodu krzesle Odwrócony Człowiek posłusznie otwierał i zamykał usta, gdy Jenny karmiła go, czerpiąc kolejne łyżki zupy.

Gdzieś nad ich głowami rozległo się szuranie; Fioletowa Dziewczyna zamiatała, szsz, szsz, szsz. Brzmiało to niemal jak wyrzut. Lecz Odwrócony Człowiek nie przejmował się wyrzutami.

• Amciu, amciu - powiedział piskliwym głosem brzmiącym niczym wiatr świszczący przez pęknięte okno. Jego dłonie radośnie pocierały uda, podczas gdy głowa za plecami posilała się zupą.

• Wybaczcie mojemu bratu, sam nie potrafi jeść - oznajmiła Jenny. Jej śpiąca głowa, ta łysa, zakołysała się lekko, obrzydliwie.

- Amciu, amciu, amciu - zaśpiewał Odwrócony Człowiek.

Eckstein i Lillian stali bez słowa, ściskając swe dłonie aż do odretwienia.

Po skończonym karmieniu Dwugłowa Jenny zaprowadziła Odwróconego Człowieka na górę.

Wróciła, dźwigając wielki zakurzony słój i lampę. Ustawiła je na podłodze przy stole i skinęła na Lillian.

- Posadź tu tyłek. - Zwracając się do Ecksteina, dodała: - A ty daj mi forszę.

Lillian podeszła do stołu i wdrapała się niezgrabnie na blat. Znów zaczęła płakać.

Eckstein wręczył dziwolągowi pieniądze.

- Było warto? - Jenny zaśmiała się, wpychając banknoty między piersi.

Przykucnął z nadzieją, że na poziomie podłogi łatwiej mu będzie od dychać, ale nie. Wstał zatem. Kręciło mu się w głowie.

Zauważył, że w słoju coś się porusza. Przetarł dłonią zakurzoną ściankę. Na dnie słoja wił się kłęb grubych białych robaków podobnych do jasnych ciagutek.

- Po co je wzięłaś? - spytał.
- Jedzą to - odparła Dwugłowa Jenny. - Do tego są.

Zajął miejsce przy stole i ujął dłoń Lillian. Dwugłowa Jenny uniosła jej sukienkę i brutalnym szarpnięciem zerwała bieliznę.

- Po tym nie będziesz już jej potrzebować, złotko.

Ustawiła lampę na stole między nogami Lillian. Z szuflady wyjęła pince-nez i dwa instrumenty - sfatygowaną łyżkę i gumową gruszkę.

143

Wsadziła ria nos okulary i położyła gruszkę pod ręką. A potem nachyliła się z łyżką, oglądając uważnie genitalia dziewczyny.

- Szerzej - warknęła, klepiąc ją mocno po grubym białym udzie.

Lillian jęknęła i rozłożyła nogi szeroko.

Eckstein pomyślał o piłce, białej, czystej, szybującej wysoko po bezchmurnym nocnym niebie, dalej niż jakakolwiek inna piłka przed nią. Myślał o tym, jak wciąż się wznosi, coraz wyżej, jak krople rosy z ciężkiego od wilgoci powietrza prześlizgują się po niej, a potem jak opada majestatycznym łukiem wprost w zatokę Sheepshead i tonie, coraz głębiej i głębiej, aż w końcu osiada wdzięcznie w mule, pomiędzy falującymi wodorostami. Przez chwilę znalazł się daleko od piwnicy, od miasta i samego siebie. Cały był ruchem, swobodą i wówczas był doskonały jak wtedy, gdy płaszczyzna piłki styka się z płaszczyzną pałki, tworząc trzecią płaszczyznę, tę, która przecina niebo i unosi drugobazowego do jego azylu, sanktuarium. Wówczas był bezpieczny, panował nad wszystkim i nikt nie miał mu nic za złe. Był ruchem.

Dwugłowa Jenny wyprostowała się z prychnięciem. Łysa głowa uniosła się nagle, otworzyła oczy i beknęła, a zaraz potem opuściła powieki, opadła i zasnęła na ramieniu.

Szsz, szsz, szsz - szurała miotła Fioletowej Dziewczyny.

- To twój szczęśliwy dzień, skarbie.

• Czemu tak mówisz? - Lillian skuliła się na stole, obejmując rękami kolana.

• Twoje dziurki nie działają. Są popsute jak zgniły owoc. Nigdy nie wyjdzie z nich dziecko. Możesz się pieprzyć, ile zechcesz, dziecka nigdy nie urodzisz.

Lillian wypuściła dłoń Ecksteina.

• Amciu, amciu, amciu - z daleka dobiegało echo piosenki Odwróconego Człowieka.

• W porządku - dodała Jenny. Wydłubała pieniądze spomiędzy pier si. - Połowę dostaniecie z powrotem, ale to wszystko. Nie jesteśmy instytutką charytatywną.

Gdy wyszli na zewnątrz, Lillian, potykając się, odbiegła przez podwórko i dalej Zaułkiem Nieszczęśników.

Olbrzymia istota w klatce zawołała żałośnie do przechodzącego obok Ecksteina.

- Proszę, nie pozwól im zmuszać mnie do jedzenia! Nie pozwalają mi przestać, cały czas mnie karmią. Nie jestem głodny, od lat nie byłem głodny. Proszę, każ im przestać, każ przestać!

Mecz 3

Pierwsza piłka pomknęła ku niemu w czerni i bieli. Apatia minęła; Eckstein ujrzał białą piłkę jako czarny punkcik, a barwny świat wokół zamienił się w puste tło. Zamachnął się, piłka odbiła się od grubszej części

144

drewnianej pałki i pomknęła na sam środek boiska. Uderzyła w kostkę miotacza Hobokenów i śmignęła na aut. Nim trzeciobazowy ją znalazł, Eckstein dotarł do drugiej bazy.

W następnej kolejce posłał piłkę płaskim łukiem. Ze świstem pomknęła w powietrzu i uderzyła w tablicę z wynikami. Znowu zdobył podwójny punkt. Stał na bazie, zaciskając zęby.

• Ładnie im dawałeś - powiedział Gordy Wheelock, gdy Eckstein wrócił do boksu. - Pokazowy strzał, bez dwóch zdań.

• Wsadź go sobie w tyłek - odparł Eckstein.

Przy trzeciej kolejce miotacz Hobokenów wyraźnie się bał. Jego policzki lśniły od potu. Przygryzł wargę, zdjął czapkę i przecesał dłonią włosy. Eckstein czekał cierpliwie, patrząc, jak tamten wierci się nerwowo. Gdy miotacz w końcu cisnął, drugobazowy Cudów odbił piłkę bardzo daleko, poza tablicę.

Do przerwy w połowie siódmej zmiany Cuda wygrywały siedem do jednego, a Eckstein zdobył prawie wszystkie punkty.

Siadając na ławce, Dzieciół poczęstował Ecksteina wykałaczką.

- Porządne drewno - powiedział. - Uczciwa sosna.

Drugobazowy mruknął przecząco.

Dzieciół zmierzył go wzrokiem i pokręcił głową.

- Tak naprawdę to jesteś gdzie indziej, prawda?

- Tak. - Eckstein pokiwał głową. Pomyślał o robakach w słoju, wijących się, pełzających po sobie, wygłodniałych. Może jego matka miała jednak szczęście, może na świecie istnieją stwory gorsze nawet niż on.

- Chyba faktycznie tak.

Tego dnia na boisku nie odbywały się wyścigi. Zamiast tego wózek przywiózł na prawe pole Trzytonowego Timmy'ego. Dziwoląg usiadł tam, podobny do pagórka. Fioletowa Dziewczyna, Odwrócony Człowiek i Dwugłowa Jenny uganiali się wokół. Trzytonowy Timmy ryczał i rozpaczliwie próbował ich złapać, jakby chciał pożreć wszystkich. Organista grał „The Moten Swing”.

Podczas dziewiątej zmiany przy drugiej próbie pałkarz Hobokenu podał wysoką piłkę na lewe pole. Dzieciół był najbliżej - pomknął za piłką na aut, kierując się w stronę trybuny. Uderzył o ścianę, próbując złapać piłkę, która poleciała dwa rzędy dalej. W tym momencie z tłumu wysunęła się ręka i zerwała Dzieciółowi czapkę.

- Mam twoją czapkę, czarnuchu! - Krzykacz zaczął podskakiwać w przejściu, wymachując zdobyczą nad głową.

Dzieciół stał pod ścianą; nie poruszył się. Eckstein zerwał się z miejsca.

- Chodźcie, dranie! - ryknął do reszty zawodników Cudów obecnych na boisku. Pelky i paru innych popatrzyło po sobie, wzruszyło ramionami i ruszyło niespiesznie za nim.

145

Krzykacz chlasnął Dziecióła czapką po twarzy.

- Proś, piesku! Siad, piesku!

Eckstein dotarł do ściany i przeskoczył ją.

Krzykacz odwrócił się, upuścił czapkę i popędził schodami w górę.

Jeszcze czterech zawodników Cudów przecisnęło się obok Dziecióła i ruszyło w pościg. Czarnoskóry mężczyzna odprowadził ich wzrokiem. Jeden z widzów podał mu czapkę.

- Dziękuję panu - powiedział Dzieciół.

Eckstein doścignął krzykacza tuż przed wyjściem, skoczył mu na plecy i powalił na cement.

- Kochaś czarnuchów, kochaś czarnuchów! - wrzeszczał krzykacz.

Pięścią Eckstein powstrzymał dalsze wrzaski. Pierwszy cios zmiażdżył krzykaczowi wargę, po drugim coś w twarzy trzasnęło. Krzykacz opadł na ziemię. Eckstein złapał go za włosy i rąbnął jego głową o cementową nawierzchnię; wokół bryzgnęła krew. Jeszcze dwa razy uderzał głową krzykacza o ziemię.

Potem spojrzął na swą zakrwawioną prawą pięść - w kostce tkwił żółty odłamek zęba. Krzykacz jęczał i ze świstem próbował chwycić powietrze.

- No cóż - rzekł Eckstein, częściowo do siebie, częściowo do krzykacza. - Sam się o to prosiłeś.

Cofnął się, tuląc do brzucha zranioną dłoń i plamiąc bluzę krwią.

- Sam się prosiłeś - powtórzył, by ostatecznie wyjaśnić sprawę, by wszyscy - łącznie z nim samym - pojęli, że jest zupełnie niewinny. To do bry tekst, pomyślał. Od tej pory zamierzał używać go bardzo często.

Tymczasem pozostali zawodnicy zebrali się wokół krzykacza. Zaczęli zacieśniać krąg, *zblizac* się coraz bardziej. Pelky kopnął pierwszy. Krzykacz wydał z siebie przerażony gulgot. A potem wszyscy zaczęli kopać.

WAŻ

Gdy ojciec wysadził Franka przy krawężniku, zaczął wykręcać kółka na parkingu. Frank widział, jak jego ojciec, Ken, siedzący za kierownicą hondy, wciska do magnetofonu kasetę i natychmiast *zaczyna* śpiewać i bębnić ręką po desce rozdzielczej, kiwając głową i poruszając ramionami do taktu. Jednocześnie manewrował hondą civic - wozem koloru tapioki, którego nalepka na zderzaku CLINTON/GORE 96 i niepasujące drzwi od strony pasażera, prosto ze złomowiska, praktycznie krzyczały „nauczyciel ze szkoły publicznej” - zmuszając ją do drżącego slalomu pomiędzy przerdzewiałą impalą i długą czarną furgonetką, którą wyminął o włos. Potem skręcił ostro w stronę wyjazdu i zatrąbił na pożegnanie. Bip-ba, bip-bip, bip-bip!

Była niedziela; do południa, kiedy otwierano centrum handlowe Jet-port, pozostało kilka minut. Frank siedział na chodniku, zbierał stosik kamieni. Gdy uznał, że ma dość, zaczął rzucać w przerdzewiałą impalę. Wycelował w pękniętą przednią szybę i nagroził go brzęk tłuczonego szkła. Samochód był wrakiem siedzącym nisko na dziurawych oponach.

Słońce świeciło jasno, topiąc poranny szron z dachów taniego osiedla po drugiej stronie ulicy. Rzędy identycznych jasnozielonych pudełek ciągnęły się aż po szczyt wzgórza i dalej, tworząc osobliwe złudzenie optyczne. Wyglądały, jakby ktoś gdzieś je prowadził - albo może jakby na własną rękę wymykały się z miasta.

Frank miał szesnaście lat, chodził do drugiej klasy liceum, lecz długie, proste czarne włosy dodawały mu powagi. Miał na sobie poplamiony prochowiec i stare trampki z popękkanymi podeszwami. Jego rodzice się rozwiedli; na ten weekend przypadały odwiedziny u ojca.

Jednakże w ten akurat weekend zbliżeniu ojca z synem i towarzyszącym im zwykłym przyjemnościom - hamburgerom w barze dla zmotoryzowanych, filmom z wypożyczalni, kręglom - stanęły na drodze mistrzostwa futbolowe związków zawodowych Penobscot, grało Stowarzyszenie

147

Nauczycieli przeciw ekipie Robotników Publicznych. Ojciec spytał Franka, czy ma coś przeciw temu, Frank odparł, że nie, na co ojciec powiedział: „Daj spokój”, a Frank: „Naprawdę, tato, nic mnie to, kurde, nie obchodzi” - i ojciec uwierzył.

- W porządku - powiedział Ken, a potem z jękiem wyjął z lodówki paczkę pieczeni wołowej.

- Możesz po prostu podrzucić mnie do centrum. - Frank zdjął czajnik z palnika i nalał ojcu kawy do kubka, na którym nadrukowano jego własne zdjęcie ze szkoły podstawowej. Na zdjęciu miał na sobie kraciaty krawat i uśmiechał się, demonstrując szczyrbę w miejscu przednich zębów.

Ken wsunął do ust plasterki mięsa; resztę paczki przycisnął do spuchniętego nosa. Oczywiście miał przekrwione, a worki pod nimi wyglądały - Frank przeczytał kiedyś to porównanie w czarnym kryminale Berniego

Yarricka - „jak para dwóch czarnych hamaków”. Frank nie wiedział, czy spuchnięty nos to pamiątka po kłótni z nową dziewczyną, czy po zwykłym upadku. Instynktownie jednak rozumiał, iż w sumie nie ma to żadnego znaczenia.

- Ile chcesz, żeby twoja matka nie urwała mi głowy? - spytał Ken.
- Cztery dychy. - Frank wręczył ojcu kubek z kawą.
- Dwie - skontrolował Ken. - I pomożesz mi w rozgrzewce.

Frank wyciągnął ze skrzynki na chleb butelkę whisky Dewar. Ojciec spojrział w sufit, westchnął, kilka razy obrócił głową, a potem wziął flaszkę. Nalał do kawy hojną porcję.

- Dzięki, Frankie, ale pamiętaj: kiedy w przyszłości będziesz opowiadał o dzisiejszym dniu swojemu psychiatrze, nie prosiłem o to. Sam za proponowałeś.

Cisnął do śmieci paczkę wędliny i poszedł do szafy po piłkę.

Przez jakieś dwadzieścia minut przrzucali się nią na rozświetlonym podjeździe. Niemal cały czas milczeli. Ojciec polecił Frankowi, by posłał mu parę piłek w biegu, po czym zaczął niezgrabnie poruszać się tam i z powrotem, wymachując rękami i dysząc ciężko. Mimo wszystko zdołał jednak złapać większość piłek.

- Ci goście z robót publicznych... - Chwytał powietrze między kolejnymi słowami. - Połowa z nich jest na rencie, ale kiedy zjawiają się na boisku, to jakby po ostatnich badaniach odwiedzili źródło w Lourdes. Są uleczeni.

Frank zmrużył osłepione słońcem oczy i uśmiechnął się. Ojciec wciąż potrafił go rozbawić. Potrafił rozbawić każdego, nawet matkę Franka. W samochodzie, nim Frank wysiadł, ojciec go przeprosił.

- Za co? - spytał Frank.
- Za wszystko. - Ken poklepał kierownicę. - Za mnóstwo różnych rzeczy, ale posłuchaj... - a potem opisał mu swoje plany dotyczące zimy. Zamierzał wziąć urlop z liceum. Niech przez parę miesięcy ktoś inny sprząta w tej małpiarni, on tymczasem wróci do swego starego gabinetu

148

w bibliotece uniwersyteckiej, weźmie się w garść i w końcu obwiąże wielką różową wstążką swą gotową rozprawę doktorską.

* * *

Kamienie z brzękiem odbijały się od trupa impali. Weekendy z ojcem nieodmiennie wprawiały Franka w pewien nastrój, nie potrafił do końca go określić - niedzielne uczucie, coś w rodzaju ogólnej niechęci, jaką czujemy, gdy parę godzin oglądamy telewizję, a potem wyglądamy przez okno i odkrywamy, że dzień zamienił się w noc, nim w ogóle się zaczął. Takie dni bywają nawet przyjemne, gdy czas płynie, a my niczego nie robimy. Ale potem, kiedy dobiegają końca, człowiek czuje się jak ostatni leń. Oczywiście Frank wiedział, że dzień dopiero się *zaczyna*, że ma przed sobą wiele jasnych godzin, ale poczucie to nadal mu towarzyszyło.

Wyobraził sobie ojca na środku sali wykładowej, traktującego słuchaczy Sceptyczną Lewą Brwią Kena Ackerly™ - unosił wówczas w górę krzaczastą czarną brew tak wysoko i znacząco, że nie powstydziliby się tego sam Groucho Mara. Dzieciaki z college'u byłyby zachwycone; Frank słyszał w myślach ich śmiechy.

W południe ochroniarz rozsunął z brzękiem szklane drzwi. Frank wyrzucił z kieszeni resztę kamieni i szurając nogami, wszedł do środka.

* * *

Centrum Handlowe Jetport nie zaliczało się do imponujących. Miało jeden poziom w klasycznym kształcie dużej litery C. Mieściło się w nim parę sklepików „Wszystko za dolara”, zapyziały kącik dla hobbystów, księgarnia Mr Paperback, sprzedająca głównie kartki świąteczne i miniaturowe zabawki, sklep ze zwierzętami, miejscowa filia biura rejestracji samochodów, kwaciarnia, fryzjer, sklep z butami Dextera, stoisko z hot dogami i salon pełen starych, ledwo dychających gier wideo.

Ken nazywał je centrum Reagana, a kiedy porządnie się narąbał, wygłaszał cały wykład na ten temat, tłumacząc, jak to od czasów Ronniego cały kraj przypomina głupiego dzieciaka, który naźarł się farby z ołowiem (diatryba ta nieodmiennie wiązała się z co najmniej jednym występem Sceptycznej Lewej Brwi Kena

Ackerly™).

- Te sklepy „Wszystko za dolara” - oznajmił Ken pewnego razu
- w istocie powinny nosić nazwę „Tani syf dla frajerów”.

Działo się to jeszcze przed rozwodem i matka Franka, Catherine, odpowiedziała:

- Fascynujące, Ken, po prostu fascynujące. Może wypijesz jeszcze jedno piwo i wyjaśnisz nam wszystkim, jak rozwiązać problemy Bliskiego Wschodu.

Frank przeszedł wzdłuż środkowego skrzydła i skręcił w prawo w stronę Mr Paperbacka - jedyne sklepu w całym centrum, który go interesował. Zamierzał spędzić popołudnie na lekturze, może nawet zdrzemnąć się w fotelu w głębi księgarni. Ów mebel - z pewnością po-

149

chodzący z kramu ze starzyzną, stale cuchnący wilgocią i tak głęboki, że wstając, Frank musiał wierzgnąć nogami - stanowił niemal bolesną odpowiedź na olbrzymią nową księgarnię sieciową w Bangor, nie tylko wyposażoną w kilkanaście nowiusieńkich foteli, ale także bufet z kawą. Frank miał ochotę na kryminał, coś mocnego i ostrego, historię, która sprawia, że w piersi wzbiera mu fala siły narastająca z każdym zwrotem akcji, ślepa uliczką i fałszywym tropem, nieuniknionymi aktami przemocy i pewnością, że tak czy inaczej na końcu złowroga prawda ujrzy światło dzienne. Dwadzieścia dolarów starczyło czasami na trzy, cztery kryminały. Frank uznał, że to dość złowieszczej prawdy, by na kilka dni zaspokoić jego głód.

Przyjęcie pieniędzy od ojca stanowiło część niepisanej umowy. Gdyby matka spytała, Frank powiedziałby, że poszli ze starszkiem do kina, biblioteki albo zrobili coś konstruktywnego. Nie żeby go wydał, nawet gdyby ojciec nie zapłacił ani grosza. Coś takiego w szybkim tempie doprowadziłoby do kolejnych sesji terapii rodzinnej - na to nikt z nich sobie nie zasłużył, a już najmniej matka.

Gdy ostatnim razem wybrali się na terapię grupową w YWCA, terapeuta głądził bez przerwy o tym, że kiedy w rodzinie pojawia się spór, to jakby ktoś wyłączył telefon i nim podłączy go z powrotem, wszyscy załatwiają już sobie inne środki komunikacji.

- Zanim wszystko wybuchło, siedzieliście razem, na jednej wspólnej linii. A teraz każdy gada do własnej komórki - powiedział terapeuta. - Ja sne, czasami wspólna linia bywa upierdliwa, człowiek nie może zadzwonić do kumpla we Fresno wtedy, gdy ma na to ochotę. To wkurzające, zgadza się? Ale także na tym polega życie razem. Tak to już jest, gdy ma się wspólną linię. Zatem albo znów ją podłączymy, albo będziecie musieli nauczyć się żyć ze wszystkim, co wiąże się z posiadaniem komórki.

(Co to, kurde, jest wspólna linia? - spytał Frank).

Kilka dni po sesji Frank zajrzał do pokoju matki i zastał ją siedzącą na łóżku. Płakała, kołysząc się w przód i w tył i przytulając do siebie pluszowego pingwina.

- Mam czterdzieści dwa lata, Frank. Nie mogę zacząć wszystkiego od początku. Nie mogę nawet sprawić sobie kota, mam alergię. - Chlipnęła głośno i beknęła, rozbryzgując drobinki czegoś żółtego na głowę maskotki. - 1 spójrz tylko - dodała, unosząc ją - do tego jeszcze narzygałam na mojego pingwina.

Frank uważał, że na tym etapie wszyscy po prostu muszą sobie z tym jakoś radzić, i dlatego właśnie był teraz w centrum handlowym. Ojciec radził sobie z życiem, wypijając parę piw i grając w piłkę z kumplami. Frank radził sobie, przeglądając książki w księgarni Mr Paperback. A ponieważ matka nie знаła lepszych sposobów, zapewne radziła sobie z tym w domu, medytując albo układając sobie i pingwinowi tarota. Jeśli nauczył się czegokolwiek z lektury kryminałów i książek sensacyjnych, to tego, że nie ma sensu się wychylać. Informatorzy i szpiedzy nigdy nie

150

dożywali kolejnego tomu, kończyli z podejrzytym gardłem albo pogrzebani w płytkim grobie, śpiący snem wiecznym. Najlepiej przyjąć cios na klatę, odsiedzieć swoje i trzymać głowę na kłódce.

Był już niedaleko księgarni, gdy nagle podskoczył, słysząc gromki głos. Rosły mężczyzna w punkcie

wystawowym wezwał go gestem.

Punkt wystawowy oznaczał niewielki podest pośrodku głównej alei centrum handlowego, gdzie odbywały się pokazy specjalne - wystawa ponad stu różnych modeli artystycznych podkoszulków (wszystkie na *sprzedaż*), pokaz wypychacza zwierząt, występy Króliczka Wielkanocnego czy Świętego Mikołaja, trener z siłowni Golda proponujący pięciodo-larowe masaże szyi w fotelu ortopedycznym. Żaden z nich nigdy Franka **nk** zainteresował. Dziś stał tam rosły facet; za plecami miał dziwną konstrukcję ze zwykłych drewnianych belek. Układały się one w prostokąt wysoki na jakieś dwa metry, a długi na trzy i pół. Na pochyłej podłodze podestu rozrzucono trochę słomy, na której ustawiono parę skrzyń. Wyglądało to dziwacznie. Może gość to przedsiębiorca budowlany? - pomyślał Frank. Choć trudno orzec, co miała przedstawiać owa konstrukcja.

- Tak? - spytał głośno.

Facet liczył sobie na oko pięćdziesiąt lat. Miał niewielką bródkę, spory brzuch, fryzurę motocyklisty i ciemny cień tatuażu pod włosami gęsto porastającymi przedramię. Ubrany był w brązowe skórzane spodnie i podkoszulek z napisem: „Poluję na zgrabne sarenki”. Widniał na niej rysunek przedstawiający mężczyznę o drapieżnym uśmiechu, celującego z bardzo długiej strzelby na słonie do dziewczyny w bikini, uwięzionej wysoko w gałęziach sosny.

Na szył faceta wisiał polaroid i okulary przeciwsłoneczne. Frank pomyślał, że gość wygląda jak postapokaliptyczny turysta.

• Hej, bracie, masz może zapalniczkę? - Facet wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

• Jasne. - Frank zdjął plecak i znalazł w nim zapalniczkę. - W większości centrów handlowych nie wolno palić.

• Faszyści. Co dzień jest ich więcej, zupełnie jak w tym starym filmie SF z roślinami z kosmosu: z każdą chwilą przybywało coraz więcej pa-lantów w garniturkach. - Facet zapalił papierosa, nie częstując Franka.

Nieco dalej kobieta powoli popychała wózek; obaj odwrócili się, słysząc skrzypienie kół.

• Hej, mały, nie chciałbym urazić twojej obywatelskiej dumy, ale to dość gówniane centrum, nie? W większości podobnych miejsc można znaleźć przynajmniej parę osób. Jak dotąd zauważyłem tylko ciebie i ją - wskazał palcem kobietę z wózkiem.

• To wariatka - rzekł Frank. - Ma w wózku dwulitrową butelkę coli w wełnianej czapeczce. Widywałem ją już wcześniej, po prostu łązi tutaj, i tyle.

151

Facet pokręcił głową.

• Wydaje w ogóle jakąś kasę?

• Wątpię. Czasami butelka jest ubrana w inne czapki, więc może je kupuje.

• Kurwa! Nie sprzedają czapek.

Frank czuł otaczający gościa zapach, znajomy smród kojarzący się zwykle z psami. Facet sprawiał wrażenie poirytowanego. Cmokał, zaciągając się dymem.

- Co właściwie tu robisz? - spytał Frank.

Facet uniósł brwi; powoli wydmuchnął dym kącikiem ust.

• Jestem treserem węży. To pokaz węży.

• Ach tak? - Frank dopiero teraz dostrzegł plakat przyklejony taśmą do ściany.

Jimmy Skórzany Kark Federicci i królewski boa z Amazonii

Juliusz Zeżał

zdjęcie z Juliuszem pięć dolarów

karmienie Juliusza dwadzieścia dolarów

uwaga: Juliusz Zeżał zżera dupków!

Pomiędzy literami wił się groźny wąż spoglądający na przechodniów hipnotycznie zielonymi oczami.

- Chcesz zobaczyć? - spytał Skórzany Kark Federicci, po czym, nie czekając na odpowiedź, rzucił: - Zostań tutaj.

Podszedł do największej skrzyni, w której boku wycięto kilkanaście dziur. Skrzynię zamykał żelazny skobel z kłódką. Federicci wyjął z kieszeni klucz, otworzył ją, zdjął wieko, przykucnął i wsunął ręce do drewnianego pudła.

Frank nie czuł specjalnego podniecenia. Widział już wcześniej węże w zoo w Portland i doświadczenie to jakoś go nie poruszyło. Poważnie wątpił, by wąż z centrum handlowego okazał się bardziej interesujący niż te w zoo.

Skórzany Kark wyciągnął gada ze skrzyni i nonszalancko powiesił go sobie na szyi. Z odległości paru metrów wyglądało, jakby owinał się grubym zielonym kablem.

Wrócił do Franka. Niósł cielsko gada z łatwością, choć wąż wydawał się bardzo ciężki, jakby napuchnięty; jego oczy przypominały żółte odłamki szkła. Równie dobrze mógł być martwy. Z boku na jego skórze widniało pasmo ciemnozielonych rombów, błyszczących we fluorescencyjnym świetle centrum handlowego.

- To jest Juliusz Zeżał - oznajmił Skórzany Kark.
- Super - odparł Frank z lekkim zainteresowaniem.

152

- Kurewsko super - poprawił Skórzany Kark. - To prawdziwy twar dziel wśród węży, szmaragdowy boa dusiciel. - Uniósł rękę i zacisnął w pięść. - Udusiłby cię, o tak.

Wąż był zupełnie nieruchomy.

- Co właściwie robi? - spytał Frank,

Skórzany Kark posłał mu pogardliwe spojrzenie.

- Co robi? - Poglądził głowę gada jednym palcem. - To olbrzymi boa dusiciel. Robi, co tylko zechce.
- Wygląda, jakby spał.
- No tak, Juliusz żyje wedle własnego rytmu. Nie jest tańczącym niedźwiedziem.

Frank zastanawiał się, skąd pochodzi zwierzę i jak to się stało, że obecnie odgrywa szalik grubego motocyklisty. Nie była to zbyt ciekawa kwestia, ale jak na niedzielę mogła być.

- Skąd go masz? - spytał.
 - To interesująca historia. - Skórzany Kark poklepał zielony węzowy splot owinięty wokół bicepsu.
 - Tak? Opowiesz?
 - Lubisz fajne historie?
- , - Jasne - przyznał Frank.

- A masz w plecaku piąta? Pięć zielonych za zdjęcie z polaroida, mały, nie prowadzę instytucji charytatywnej. Opowiem ci wszystko o Juliuszu, a przy okazji pstryknę portret.

Czemu nie? - pomyślał Frank. Miał parę dolarów luzu, spokojnie starczy mu na księgarnię. No i nigdzie się nie śpieszył. Szalona kobieta z wózkiem zniknęła w dali i znów zostali sami. Otaczające ich sklepy w milczeniu czekały na klientów.

- Chyba stać mnie na pięć dolarów.
- Świetnie. - Skórzany Kark poprowadził go do plakatu i ustawił na tle liter. - Prawa autorskie - wyjaśnił. Chwycił nieruchomego gada tuż pod szczęką i zsunął z siebie gładkim ruchem, zupełnie jakby zdejmował pasek. - Zrób groźną minę, pstrykniemy ekstrakotkę. Juliusz wie, że jesteś w porządku.

Frank poczuł lekkie drapanie w gardle; nagle pojął, że zaraz założy na szyję olbrzymiego dusiciela. Nieważne, że wąż był spokojny czy nawet martwy.

- No to skąd go masz?
- Juliusz pochodzi z Kostaryki. - Skórzany Kark delikatnie ułożył zwie

rzę na ramionach Franka. Wąż ważył mniej, niż można było przypuszczać. I wcale nie był w dotyku mokry i lepki, jak sobie Frank wyobrażał.

- Znalazłeś go w dżungli?
- Nie. Moja dziewczyna próbowała mnie zabić - odparł swobodnie Skórzany Kark i owinał końcami węża ręce Franka.
- Co takiego? - Frank jak przez mgłę zarejestrował lekkie napięcie w ciele Juliusza, gdy wąż odrobinę wzmocnił uchwyt. - Twoja dziewczy-

153

na próbowała cię zabić? Mówimy tu o morderczym szale czy profesjonalnym zabójstwie?

- O, jesteś jednym z tych upiornych małych drani, co? Powinienem być poznać po prochowcu. - Skórzany Kark wypluł papierosa na posadzkę i rozdeptał. - Oto skrócona wersja: mój kumpel z wojska miał domek na tamtejszej plaży, zaprosił mnie. Razem z panienką skorzystaliśmy z propozycji. Słońce, nurkowanie, piwo na plaży, trochę trawki. Czy jest coś lepszego? Jasne?

- Jasne - przytaknął Frank.
- Ale moja dziewczyna uważała, że ją zdradzam, dmucham na boku jedną z lasek z wyspy. Totalna bzdura, wierz mi, nawet jej nie dotknąłem. Mówiłem, że jestem niewinny, argumentowałem jak Perry Mason. W tym momencie moja panienka mówi: „Jasne, wierzę ci, dziubasku” i uznałem, że to koniec sprawy, że wszystko z nami w porządku. Duży błąd. Nigdy nie ufaj pannie, gdy *zaczyna gadać* do ciebie jak do niemów* laka.

Okazało się, że moja lasia dogadała się z pieprzonym szamanem. Nie żartuję, prawdziwym czarownikiem, takim co nosi na głowie całe wielkie pierdzielone krzaki.

Gość dał jej węża, żeby załatwił sprawę; to miało wyglądać, jakby gad wlaźł przez okno albo co. Całkiem normalne w tamtych okolicach. Jad mnie załatwi w piętnaście minut. Pięćdziesiąt dolców za całun, szybki porzeb i moja panna z szamanem mogą iść pić pina colady. Wraca do domu z dodatkowym bagażem, lecz poza tym bez problemów.

- Ja pierdzielę - mruknął Frank. Zerknął na węża, który owinał mu się wokół ręki, silny i bezszelestny.
- Skurwysyński plan, no nie? - Skórzany Kark uniósł aparat, opuścił, sprawdził lampę i znów podniósł. - Problem w tym, że gość był idiotą. Dał mojej panience boa dusiciela, a myślał, że to żmija. To spora różnica, przyjacielu.

Pewnej nocy, gdy zasnąłem, podrzuciła mi do łóżka starego Juliusza. Spodziewała się, że ugryzie mnie w tyłek albo co. Obudziłem się, bo poczułem, że coś łaskocze mnie w stopy. Pomyślałem, że wykopałem się spod kołdry, i wtedy zobaczyłem Juliusza, pełzał mi po nogach. Przez sekundę uwierzyłem, że mam przerąbane. Potem jednak się zorientowałem, że to tylko boa. Usiadłem i zacząłem głaskać wielkiego sukinsyna. Czarownik ją orznął.

Błysnęła lampa.

- Bardzo proszę - powiedział Skórzany Kark. - Okazałeś się godnym towarzyszem potężnego Juliusza.

Frank zamrugał, przed oczami zatańczyły mu kolorowe plamy. Skórzany Kark zdjął mu ciężar z ramion, zaniósł Juliusza do drewnianej kraty i powiesił na niej; wąż zawisł ciężko, nieszkodliwy niczym mokry ręcznik na kaloryferze. Chwilę potem zwinął się, oplótł wokół belki i zastępnął w tej pozycji niczym twarda zielona spirala.

154

- To będzie niezła fotka - oznajmił Skórzany Kark, wymachując w powietrzu kwadracikiem celuloideu. - Złapałem Juliusza z ładniejszej strony.

Frank znalazł w portfelu pięć dolarów i dokonali wymiany. Na zdjęciu wąż wydawał się jeszcze bardziej martwy niż widziany w rzeczywistości.

- Niesamowita historia - przyznał Frank. - Oszustka sama została wzukana. Uwielbiam takie numery.

- Cieszę się, że ci się podobało, bracie - powiedział Skórzany Kark. -Ale uwierz mi, to doświadczenie było mało zabawne. Za każdym razem gdy budzisz się z wężem w łóżku, tracisz co najmniej pięć lat życia. - Podzedł do drugiej skrzyni i zaczął w niej grzebać. - A teraz miłego dnia. Opowiedz wszystkim kolegom o Juliuszu.

* * *

Frank zdjął z regału parę książek i rozsiadł się na poplamionym fote-u na tyłach sklepu. Pierwsze dwie miały niezłe tytuły - „Złote piętno” „Szpieg i mat” -jednak treść okazała się dużo mniej ciekawa.

Były to książki z rodzaju tych, które Ken, nauczyciel angielskiego, lazywał „śmieciami o policjantach i złodziejach”.

- Jezu, ale przynajmniej coś czytasz - rzekł kiedyś. - W starszych klasach są dzieciaki, które nie potrafiłyby rozszyfrować nawet powołania do wojska. Gdy miałem osiemnaście lat, chłopaki, z którymi grywałem kietyś w Małej Lidze, wracali do domu w sosnowych skrzynkach, a szczury z dżungli w Azji Południowo-Wschodniej obgryzały im jaja. Wtedy wybór był prosty: college albo śmierć, mały. Co teraz czytacie w szkole?

Frank wzruszył ramionami.

- „Wielkie nadzieje”.
- Dickens! - wykrzyknął ojciec. - To wspaniale, Frankie. Strasznie abawny, prawda? Niesamowicie. No wiesz, chodzi mi o język.

- Nudziarstwo - mruknął Frank.

- Daj spokój. Pip, Joe, panna Havisham. Na miłość boską, Magntch! Skarbie, musisz dać się wciągnąć. Ciebie nie zachwyca, gdy posilają się „wiktuałami”?

- Co to są wiktuały? - spytał Frank, a ojciec westchnął ciężko, z niełowierzeniem.

- Nieważne - mruknął. - Chcesz poćwiczyć podania?

Problem ze „Złotym piętnem” i „Szpiegiem i matem” polegał na tym, że żadna z książek nie wydawała się zbyt prawdopodobna. Pierwsza opowiadała o wojnie gangów. W drugim rozdziale wynajęty zabójca najechał la prywatnego detektywa śmieciarką. Potem, gdy śmieciarka odjechała, ktektyw zdołał odczołgać się z lekko tylko uszkodzoną nogą. Akurat, x>myślał Frank. Rozsądek podpowiadał, że gdy na kogoś najedzie śmie-iarka, to koniec i kropka, bilet do raju w jedną stronę. Bohaterem „Szpiega i mata” był mistrz szachowy wciągnięty w świat międzynarodowych intryg. Frank znał kilku gości ze szkolnej drużyny szachowej i po-

155

mysi, że któryś z nich mógłby uwieść agentkę MI6, okazał się nie do wiary. A skoro ta część była nieprawdopodobna, po co to wszystko? Tak przynajmniej uważał Frank.

Na szczęście miał jeszcze w rękawie asa, pewniaka - najnowszy paper-back Berniego Yarricka. Na tylnej okładce wydrukowano niewielkie zdjęcie autora. Przedstawiało starego mężczyznę o bujnej śnieżnobiałej czuprynie i skrzywionej twarzy. Notka głosiła, iż Bernie Yarrick to emerytowany szeryf z Florydy. Yarrick należał do najulubieńszych pisarzy Franka. Kiedy ktoś w jego książkach ginął, to pozostawał martwy. Nie występowali tam genialni szaleńcy, tylko zrozpaczeni, zdesperowani ludzie i twardzi gliniarze. Nowa powieść Yarricka nosiła tytuł „Czasem coś wypływa”.

Frank zaczął czytać: Samolot wiozący kandydata do Kongresu i jego brata spada na bagna Florydy. Nie ma szans, by ktokolwiek przeżył, i nie da się odnaleźć ciał, na bagnach wszystko pada łupem aligatorów. I to byłby koniec, tyle że szeryf z pobliskiego miasteczka, alkoholik i twardziel Charlie Gunther przypadkiem natrafia w szafie martwej prostytutki na walizkę należącą do nieżyjącego brata kongresmana.

To był klasyczny Yarrick: *Gunther oświecił latarką ściany piwnicy. W pomieszczeniu unosiła się ciężka woń, wilgotna, ostra i zastała. Pomyślał o mięsie w słońcu, zmieniającym kolor z czerwonego na biały, przyciągającym muchy. Na ścianach wisiały zardzewiałe haki.*

Gunther nasłuchiwał, smród wyciskał mu z oczu łzy. Po chwili dotarło do niego: to był odór starej przynęty, rybich

flaków. Coś zaszurowało w ciemność.

- Kto tu, kurwa, jest? - rzucił, próbując się nie jękać.

Lecz myśli Franka zaczęły wędrować. Może w tym momencie ojciec przemyka między zawodnikami, idealnie wyliczywszy moment, chwyta piłkę, szykując się do przyłożenia. Niemal słyszał, jak o tym opowiada: „Zrobiłem unik, wyminąłem obrońcę, skręciłem w lewo, złapałem w biegu piłkę i przebiłem się aż za linię. Myślałem, że serce mi pęknie, Fran-kie, że padnę na miejscu”.

A potem w umyśle Franka pokazał się nieco bardziej prawdopodobny obraz: ojciec pod drzewkiem parę metrów od boiska, posyłający w krzaki długi, syczący strumień moczu.

Gunther sięgnął do rękawicy swej trzydziestkiósemki wiszącej tuż pod pachą. Palce rozpoznały znajomą zakrętkę piersiówki, tej samej, którą schował poprzedniego wieczoru na wszelki wypadek. Uniósł latarkę, oświetlając drugi koniec pomieszczenia. Biała plama światła padła na coś na ziemi, coś ruchomego. Gunther postąpił krok naprzód — światło odbiło się w dwóch maleńkich żółtych ostrzach — a potem stary gliniarz chwycił się za pierś, cofnął chwiejnie, ze świstem wciągnął powietrze i pękł jak balon. Juliusz Zeżarł, królewski boa z Amazonii, wpełzł w krąg światła.

Frank odłożył książkę. Może nie był dziś w nastroju do lektury. W księgarni nie było nikogo poza sprzedawcą i kobietą w dziale kartek pocztowych. Z tanich głośników dobiegało metaliczne brzdąkanie pianina. Wyciągnął zdjęcie węża z wewnętrznej kieszeni prochowca. Przecze-

156

sal palcami włosy, szarpiąc splecione końcówki. Przez minutę czy dwie wbijał wzrok w zdjęcie, potem podłubał w zębach ostrym brzegiem. Później znów na nie spojrzął w ogromnym skupieniu.

Odkrył nagle, że coś w historii Skórzanego Karka nie daje mu spokoju. Przypomniał mu się ojciec, jak opisywał kolejne zagrania na boisku albo kłótnie, w których wygrywał po pijaku. Porozumiewawczy, konspiracyjny ton, lekkość i swoboda, z jaką Skórzany Kark mówił, jednocześnie operując aparatem fotograficznym - wszystko to wyglądało znajomo. W historii pojawiały się nawet ulubione motywy ojca: złowieszcze kobiety, zaskakujące starcie z porażającą głupotą, frustracja prostego, porządnego człowieka. I wtedy Frank uświadomił sobie, co naprawdę go dręczy: generalnie rzecz biorąc jego ojcu, podobnie jak większości autorów kryminałów i tanich thrillerów, raczej nie należało wierzyć.

* * *

Skórzany Kark siedział na skrzyni, z ponurą miną pochłaniając hot doga.

- Hej - rzucił Frank.

Treser węży westchnął.

• Babka z wózkiem znów tu była. Miałaś rację, jest totalnie świrnięta. Próbowałem ją przekonać, że fajnie byłoby zrobić zdjęcie Juliusza w wózku, może nawet w czapce zdjętej z butelki coli, ale zupełnie jakbym gadał do telewizora.

• Tak - mruknął Frank.

Zapadła cisza. Skórzany Kark przeżuł kawałek parówki i uniósł brwi.

• Nie mów mi, że coś jest nie tak ze zdjęciem.

• Nie, nie, jest świetne - odparł szybko Frank. - Po prostu zastana wiałem się, tak sobie myślałem o twojej historii. O tobie, Juliuszu i dziewczynie.

• To szczerza prawda - oznajmił Skórzany Kark. - Co jeszcze chciał byś wiedzieć?

Wstał, rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt nie patrzy, i wrzucił resztki aot doga do najbliższej doniczki. Wrócił i stanął przed Frankiem, splatając ręce na piersi.

- Nie potrafię zrozumieć, jak przemyciłeś Juliusza przez kontrolę celną - powiedział Frank.

-Co?

- To przecież zwierzę egzotyczne. Jego przewóz jest nielegalny. Prawda?
- Jasne. Musiałem wyłożyć trochę gotówki, Kostaryka to zupełnie

inny świat, nie przyjmują tam kart kredytowych, jeśli chwytasz, co mam na myśli.

- A co z twoją dziewczyną?
- Uciekła. Złapała pierwszy samolot do Stanów, byle dalej ode mnie.

Gotów byłem porządnie skopać jej tyłek. Pewnie wraca do domu, mamusi. Chciałbyś wiedzieć coś jeszcze, Sherlocku

157

- Co się stało z szamanem?

Skórzany Kark przesunął kciukiem po gardle.

• Zabiłeś go?

• Nie mówię, że go zabiłem. - Zawiesił głos. Nawet jego bródka wygląda fałszywie, pomyślał Frank, z eleganckim siwym kosmykiem. - Po wiem tylko, że Juliusz od szczurów i ptaków woli inne mięso.

Frank poczuł, jak jego usta wyginają się w szeroki uśmiech.

Ich spojrzenia się spotkały. Oczy tresera węży były zielone i łagodne, niczym kamyki w jeziorze przeświecające przez czystą wodę.

Frank odwrócił wzrok, spojrzał na sinego ducha starego tatuażu na przedramieniu Skórzanego Karka. Niewielki gnom palił długą fajkę, z której dym układał się w jedno słowo: WOODSTOCK.

- Nieprawda - powiedział głośno. - Nikogo nie zabiłeś, nie ma mowy, nie wierzę. - Zaskoczył go dźwięk własnego głosu. Zachichotał nerwo wo; miało to zabrzmieć przyjaźnie, choć nie był do końca pewien, czy czuje sympatię do człowieka, który próbował wcisnąć mu tak idiotyczną historyjkę, jakby uważał go za kretyna. - A ten wąż nie pochodzi z Ko staryki - dodał. - Nie ma mowy.

Skórzany Kark wywrócił oczami. Uniósł głowę, patrząc w sufit. Zarost na szyi miał sztywny i kruczoczarny. Wyciągnął rękę i tuż przed twarzą Franka pokazał mu palec. Pod długim paznokciem widniał półksiężyc ciemnego brudu.

- Pieprz się. Pieprz się, pieprz się, pieprz się - powiedział to, jakby śpiewał do siebie.

Frank cofnął się o krok.

Treser węży mruknął z niesmakiem i usiadł na skrzyni.

Frank sięgnął do kieszeni, szukając ostatnich pięciu dolarów.

• Chcę jeszcze jedno zdjęcie - oznajmił.

• Spadaj - warknął Skórzany Kark. - Znikaj stąd, ale już. Niepo trzebne mi uwagi przemądrzałych smarkaczy. - Machnął ręką. - No już, zjeżdżaj, zmywaj się.

Frank odszedł, oglądając się przez ramię. Treser węży nie odprowadził go wzrokiem - siedział na skrzyni i z wkurzoną miną obgryzał paznokcie. Wąż wciąż wisiał owinięty wokół drewnianej kraty, nieruchomy, bezoki.

* * *

Minęła już czwarta, zmierzchało. Ojciec obiecał, że odbierze go koło piątej, gdy zamykano centrum. Na parkingu stało zaledwie kilka samochodów. Kolejny ruchliwy dzień w centrum handlowym Reagana. Wiatr turlał po asfalcie puste opakowania i liście. Frank skulił ramiona.

Drzwi impali od strony kierowcy były zablokowane rdzą, lecz zdołał szarpnięciem otworzyć tylne i wśliznąć się do środka. Stara, podarta skóra siedzenia zatrzęszczała pod jego ciężarem. W powietrzu wisiał dławiący smród moczu.

158

Frank wygrzebał z dna plecaka foliową torebkę z dwoma jointami. Rozparł się na siedzeniu, wyprostował nogi i zapalił jednego. Zaciągnął się mocno, po czym wydmuchnął dym ku brudnemu filcowemu sufitowi samochodu.

Przyląpał starego hippisa na kłamstwie. To było wredne, pomyślał Frank. Skórzany Kark nie jest taki jak jego ojciec, po prostu próbuje zarobić na życie. Frank właściwie pragnął, by zjawił się gliniarz i zgarnął go za

posiadanie. Na suficie impali widać było odciski brudnych palców.

Ktoś kiedyś jeździł tym samochodem, jeździł nim bardzo długo. Na wizyty do dentysty, na zakupy, do szkoły i Bóg jeden wie gdzie jeszcze. Jeździł, póki impala nie zardzewiała i odmówiła współpracy. W końcu zatrzymała się i koniec, po prostu stanęła.

Jego ojciec nigdy nie skończy doktoratu, a ten wóz nigdzie już nie pojedzie. I w porządku - może. Trzeba tylko przyznać to uczciwie przed samym sobą.

* * *

Obudziło go stukanie w szybę. Było ciemno. Potrzebował chwili, by przypomnieć sobie, że jest w porzuconym samochodzie na parkingu przed centrum handlowym. Zasnął i nadszedł czas powrotu do domu.

Usiadł sennie, poruszył obolałą ręką. Gdy zasnął, joint wypalił się do końca. Plecak z łoskotem upadł na ziemię.

Drzwi impali otworzyły się od zewnątrz i do środka ktoś wsunął głowę. Nie był to ojciec, lecz Skórzany Kark z żarzącym się papierosem w ustach.

- Och - mruknął Frank. - Cześć.

- Co tu robisz, bracie? - Treser węży miał na głowie obcisłą, czarną wełnianą czapkę. Jego oddech połyskiwał białą parą w powietrzu. - Jest kurewsko zimno.

- Zasnąłem - odparł Frank. - Tato miał mnie odebrać. Grał w piłkę. Pewnie go przegapiłem.

- Podrzucić cię?

Frank potarł oczy, zadrżał. Skórzany Kark skrzywił się.

- Nie zamierzam cię zgwałcić, mały - rzekł. - Ale nie zamierzam też stać tu jak kretyn. Decyduj.

Zamknął drzwi i odszedł, pobrzękując sprzączkami butów.

Odczekawszy dość, by pokazać, że nie jest zdesperowany, Frank zebrał swoje rzeczy i wygramolił się z porzuconego samochodu, nie zadając sobie nawet trudu, żeby zamknąć drzwi.

Długa czarna furgonetka - to musiał być ten wóz, tylko w nim paliło się światło - stała zaledwie parę miejsc dalej.

Skórzany Kark otworzył przed nim drzwi.

- Wskakuj.

159

Wewnątrz radio grało klasycznego rocka, galopujące solą gitarowe i ostre linie basu.

Frank wspiął się po stopniu i policzki natychmiast zapiekły go z nagłego gorąca. Siedzenie drżało od wibracji wielowatowych głośników. Musiał podnieść głos, by treser go usłyszał.

- Lubisz, jak jest ciepło, co?

- Juliusz lubi. - Skórzany Kark uśmiechnął się do Franka i położył mu dłoń na ramieniu. - Wiesz co, zdawało mi się, że w tamtym wraku poczułem znajomą woń domowego ziała. Może skęcisz jeszcze jednego, nim zawieziemy cię do domu?

Frank się roześmiał.

- Jasne, spoko.

Skórzany Kark wskazał łokciem tył samochodu.

- Przenieśmy się do zaczarowanego ogrodu.

Domowej roboty ścianka ze sklejki oddzielała kabinę od reszty furgonetki. Treser węży wcisnął się między siedzenia i otworzył osadzone pośrodku wąskie drzwi.

- Zamknij za sobą - polecił.

Frank ruszył za nim skulony i zatrasnął je szybko.

Ściany furgonetki przysłaniała miniaturowa dżungla, poskręcane śliskie gałęzie, ciężkie, zielone, błyszczące liście, kilka małych kwiatów połyskujących w słabym fioletowym świetle. Frank zamarł na moment, zaskoczony gwałtowną zmianą otoczenia. Przez sklejkę przenikała stłumiona muzyka. Rozpoznał długą, ciemną rurę leżącą

na gałęzi wśród gęstych liści: to był Juliusz Zeżał, a przynajmniej jego część.

- Odpalmy maluszka - zaproponował Skórzany Kark, siadając na zasłanej liśćmi podłodze. Włożył ciemne okulary, zatarł dłonie i poklepał podłogę. - Zapraszam.

Frank wzruszył ramionami, zsunął plecak i zaczął w nim grzebać w poszukiwaniu jointa.

• A zatem staruszek o tobie zapomniał? - spytał trener węży.

• Tak, to pijak. - Frank zapalił. Wnętrze furgonetki przypominało saunę, czuł, jak pod kołnierzykiem zbiera mu się pot. Zaciągnął się i po dał skręta.

• Cholera, zapomnij, że cokolwiek mówiłem. - W głosie Skórzanego Karka nie brzmiała szczególna troska. Mężczyzna zaciągnął się głęboko i przytrzymał dym w płucach na długą chwilę. Zachichotał. - Skurwysyńsko mocny syf.

Frank uśmiechnął się szeroko.

• Powiem ci coś, mój mały, wyrośniesz na niezłego sukinkota. - Skórzany Kark zaciągnął się ponownie.

• Naprawdę nie chciałem, ale nie umiałem się powstrzymać - wyjaśnił Frank. - Bo wiesz, ja nie znoszę kłamstw.

Treser węży podał mu skręta.

- Pieprz się kaczanem w poprzek. Według mnie to świetna historia.

160

Frank próbował wciągnąć jeszcze trochę dymu, ale zaczął kasłać.

• Gość, od którego kupiłem węża, rzeczywiście pochodził z Kostaryki — mówił treser węży - albo może był półkrwi Kostarykaninem czy coś takiego. W każdym razie przyjechał z zagranicy. A moja dziewczyna faktycznie chciała, żeby wąż mnie ugryzł. To też prawda. Przyznam jednak, że to ja okazałem się palantem, który wziął boa za żmiję.

• Nieważne - mruknął Frank. - To nie ma znaczenia. Mogę być dupkiem, czemu nie. - Zakasłał raz, drugi i głośno złapał oddech.

Skórzany Kark znów się zaciągnął. W radiu zabrzmiała nowa piosenka.

- Allmanowie -jęknął. - Chuj z nimi, nie cierpię martwych zespołów. Strasznie mnie dołują.

Kaszleł trzepotał w piersi, lecz Frank zatrzymał go tam, oddychał głęboko. W powietrzu było mnóstwo wilgoci i dymu. Już zaczynał odczuwać błogość. Świat wokół pojaśniał.

Kątem oka Frank dostrzegł jakieś poruszenie, przesunięcie długiego kształtu na gałęzi.

- Niesamowite miejsce - przyznał.

- Wszystko co najlepsze dla Juliusza - odparł Skórzany Kark.

Juliusz Zeżał pełził po gałęzi, szeleszcząc liśćmi. Skóra gada lśniła odbitym światłem, Frankowi skojarzyła się ze starym cadillakiem, odnowionym i odpicowanym.

• Porządny z ciebie dzieciak, Frank. Mój jedyny klient. A wiem, że tak naprawdę wcale nie chciałeś tego zdjęcia, widziałem. Po prostu byłeś miły, to wszystko. Twój tato nie wie, co traci. - Skórzany Kark wydmuchnął kółko marihuanowego dymu.

• Jest w porządku. - Frank słyszał własny głos, jakby dobiegał z daleka. Wąż szeptał cicho na gałęzi. - Zabiera mnie na kręgle, zna sporo fajnych historii.

• Hej, to już coś - rzucił Skórzany Kark.

Oczy węża, w końcu widoczne, lśniły żółcią, fioletem i żółcią, a on suwał się po pniu drzewa z niewymuszonym wdziękiem wody znaj duj ą-xj sobie drogę. Był prawdziwy, żywy. Frank wyciągnął rękę, by go dotknąć.

MOJA DRUGA ŻONA

Gdy żona porzuciła mnie dla innego, zadzwoniłem do mojego brata Wayne'a.

- Nie mogę pracować, nie mogę spać - oznajmiłem. - Gdybym był esejem, nie miałbym tezy ani zakończenia. Gdyby uczeń napisał coś takiego jak ja, postawiłbym mu pałę.

Uczyłem wówczas historii. Płakałem.

W mojej głowie pojawił się obraz parady, jednej z wielu obszarpanych, wijących się defilad maszerujących czwartego lipca przez amerykańskie miasteczka o ceglanych kominach: otwierają ją wozy strażackie, policyjne i kombajn zbożowy wiozący ładne dziewczyny w jednakowych farmerkach, ze źdźbłami słomy w ustach; po nich pojawiają się kombatanci w odprasowanych mundurach jadący otwartymi kabrioletami oraz napuszczona, pompacyjna orkiestra marszowa z liceum, wysokie białe buty i białe gwiazdki, uniesione puzony i wirujące pałeczki; potem jednak w procesję wkrada się niepokój, bo następną maszerują członkowie związków zawodowych, dumnie wyprostowani i pociągający z butelek ukrytych w papierowych torbach, próbujący strącać sobie nawzajem czapeczki i ciskający monetami w tyłek zamykającego orkiestrę grubasa grającego na bębnie; a za nimi idą ponurzy gracze z Małej Ligi z pumpami podciągniętymi do kolan i maleńkie, oszołomione baletnice; rodzice dotrzymują im kroku, przepychając się przez tłum na chodniku niczym agenci federalni w filmie akcji, strzelając zdjęcia i od czasu do czasu wskakując na ulicę, by złapać kogoś i potrząsnąć mocno, ostrzegawczo; aż wreszcie pojawia się zamykająca korowód zbieranina niezaproszonych natrętów, chorych psychicznie wypisanych na pół dnia oraz dzieciaków wymachujących różkami lodów, rzucających kapiszony i w rozpędzie trącających zaparkowane samochody, by uruchomić alarmy, i, co najgorsze, wyznawców miejscowej sekty religijnej odzianych w czarne krawaty i rozdających misterne diagramy przedstawiające tajemny wszechświat ukry-

162

ty pod naszym, niczym stół pod obrusem; a na końcu parady chwiejnym krokiem, potykając się, maszeruje obdarty grajek zawodzący „Love Me Do”, raz po raz, bez przerwy, tak że piosenka dociera w głąb każdej kolejnej mijanej ulicy. A wszyscy ci biedacy ze stopami pełnymi pęcherzy, spaleni słońcem, zachowują się, jakby naprawdę dokądś zmierzali, a nie jedynie wędrowali do ostatniego znaku stop w mieście.

Widziałem, jak moje życie wlece się w ten sam sposób, poprzez lata i święta. Widziałem samego siebie maszerującego w paradzie, która już nie istnieje.

- Umrę samotnie - powiedziałem do brata.
- Nie - odparł Wayne.

Nagle w pamięci pojawił mi się seksualny epizod sprzed wielu lat, z college'u, gdy dopiero co zamieszkaliśmy razem. Moja przyszła żona wróciła do domu; była pijana, absolutnie narąbana, półprzytomna. Bez słowa pchnęła mnie na kanapę i ukłękła między kolanami. A potem, obciągając mi, zaczęła się śmiać, nucić i mamrotać „Love Me Do”.

Wspomnienie to sprawiło, że w gardle wezbrała mi żółć.

- Nie umrę sam? - spytałem. - A co, przyjedziesz, żeby popatrzeć?
- Po prostu nie umrzesz i kropka - odparł Wayne. - Ale owszem, przyjeżdżam. Żeby pomóc ci się spakować. Jedziemy do Starkę na Florydzie po samochód.

* * *

Według planu Wayne'a mieliśmy pojechać do Starkę jego musztardowym chevy malibu, sprzedać go i wrócić do Maine idealnie odrestaurowanym czarnym jaguarem kabrioletem z 1974 roku, który czekał tam na niego. Zainteresowałem się, jakim cudem Wayne mógł sobie pozwolić na idealnie odrestaurowanego czarnego jaguara kabrioleta z 1974. Musi w tym się kryć jakiś haczyk, oznajmiłem. Byłem rogaczem, wiedziałem, że wszędzie kryje się haczyk.

- Twój problem to przesady - oświadczył Wayne. - Nie zrozum mnie źle, masz mnóstwo innych problemów, na przykład fryzurę, no i to, że twoja żona pieprzy się z innymi. Ale przesady to prawdziwy słoń w tym składzie porcelany.

Rozmawialiśmy przez telefon. On siedział daleko, w wynajętym pokoju w YMCA, ale miałem wrażenie, że go widzę, jak rozwała się swobodnie z jedną ręką na kroczu, a drugą na pręcie żaluzji i obraca nim tam i z powrotem, włączając i wyłączając widok na ulicę niczym światło. Cały Wayne. Brat mój był otyły, jak zawsze

bez centa przy duszy, bankrut w każdym znaczeniu tego słowa, wytatuowany i rozwiedziony, niedouczony i zarażony żółtaczką typu B. Jako ostatni człowiek na zachodniej półkuli z dumą nosił bujne, wygięte wąsy; był moim starszym bratem, jedyną ludzką istotą, jaką kiedykolwiek znałem, zdolną do życia w stanie absolutnej pewności. Nigdy nie żywił żadnych obaw, nigdy się nie wahał.

163

- Kocham cię - powiedziałem. Wcześniej przestałem płakać, ale te raz znów zacząłem.

Wayne wyjaśnił, że w miasteczku Starę mieści się więzienie z florydzkim krzesłem elektrycznym, a samochód należy do Yirgila Pendergasta - tak zwanego Samochodowego Szajbusa, słynnego psychopaty. Cztery lata wcześniej Samochodowy Szajbus rozjechał w Town Beach trzech czyścicieli szyb, nim sąsiad zauważył, jak Yirgil Pendergast wydlubuje na swym podjeździe strzępy mięsa z przedniej kratki jaguara.

„Pewnie uznałbym, że po prostu wpadł na jelenia albo inne cholerstwo - oznajmił sąsiad wedle relacji gazety. - Ale byłem niemal pewien, że widzę wystający z kratki palec". (Rzeczywiście, był to kciuk).

Brat poinformował mnie, że samochód, choć wykorzystany jako taran, pozostał praktycznie nienaruszony.

- Pendergast był świetnym mechanikiem. Zderzenie z człowiekiem z prędkością stu, stu dwudziestu kilometrów na godzinę może naprawdę dokopać bryce. Ale on umiał utrzymać wóz w idealnym stanie. To praktycznie nówka, Stan, pokażę ci zdjęcia.

Korzenie transakcji sięgały sieciowego czatu dla krewnych seryjnych morderców, na którym Wayne zaprzyjaźnił się z żoną Pendergasta Yolandą.

- Kto szuka sobie znajomych w takim miejscu?

— Uznałem, że mogę tam poznać wiele ciekawych punktów widzenia.

• Chryste, Wayne! A sprawdziłeś, czy nie mogą tego uznać za naruszenie warunków zwolnienia?

• Wiem, że jeśli ktoś spróbuje mi dyktować, z kim wolno mi, a z kim nie wolno rozmawiać, to naruszy moje pieprzone prawa obywatelskie.

Wciąż płakałem.

• Wszystko gra - dodał Wayne. - Mój kurator kupuje ode mnie trawkę. Razem byliśmy na koncercie String Cheese Incydent. Nie wrócę do więzienia.

• Nie obchodzi mnie, czy do niego wrócisz.

• Hej, pieprz się! Ty beczysz?

• Nie mogę przestać. Płacę, odkąd się obudziłem.

• Chcesz mieć powód do płaczu? Pomyśl o samochodzie. Ja też się poryczałem. Ten wóz to orgazm na kołach. Gdy zobaczyłem zdjęcia, rozbeczałem się, jakbym przyciął sobie kutasa rozporkiem.

Kilkunastu kolekcjonerów pamiątek po seryjnych mordercach złożyło Yolandzie Pendergast całkiem hojne oferty zakupu jaguara męża. Ona jednak nie chciała zarabiać na morderstwach. A ponieważ egzekucję wyznaczono na pierwszego kwietnia, zaszyła się w Starę aż do wielkiego dnia. Zaproponowała Wayne'owi, że sprzeda mu samochód za połowę szacowanej wartości podobnego modelu, pod warunkiem iż nigdy nie będzie próbował zarobić na jego historii.

Chciałem opowiedzieć żonie o ostatnim zwariowanym planie Wayne'a. Moja żona Wayne'a uwielbiała. „Czemu nie potrafisz trochę się rozluźnić jak twój brat?” - pytała często.

164

Ale żona odeszła, zostawiając tylko pustą kuchnię, której mogłem powtórzyć całą historię.

- W porządku - powiedziałem do Wayne'a. - Pojadę z tobą do Starę.

Ze Wschodniego Wybrzeża ruszyliśmy autostradą 1-95. Była wczesna wiosna. Jechaliśmy z otwartymi oknami, usiłując pozbyć się panującego w wozie smrodu zdechłego szopa.

Przed pójściem do więzienia Wayne zaparkował samochód u wylotu drogi przeciwpożarowej i zamaskował w kępie krzaków. Okazało się jednak, że coś w czterech funtach najlepszego ziela ukrytego w bagażniku przyciąga

z nieodpartą siłą miejscową populację szopów, które przegryzły się do kufra malibu. Trzy miesiące później zwolniony warunkowo Wayne wrócił i odkrył, że trawka zniknęła. Zamiast niej znalazł w bagażniku sześć ofiar przedawkowania w różnych stadiach rozkładu. (Zrelacjonowawszy mi całą tragedię, Wayne spytał podejrzenie lekkim tonem: „Uważasz, że zrobiłbym coś złego - no wiesz, niemoralnego - gdybym spróbował zapalić chociaż kawałek trupa?”).

Brat mój nie po raz pierwszy przyczynił się do strasznej śmierci zwierzęcia: jako dzieciak Wayne, mały geniusz, montował z papieru i folii aluminiowej obwody i drażnił prądem psa. Pewnego razu zbudował elektryczną pułapkę na myszy, która zadziałała zgodnie z planem. Gdy opadł dym, obaj z Wayne'em staliśmy wstrząśnięci, patrząc na zwęglone truchło.

I gdy tak jechaliśmy na południe po samochód człowieka skazanego na śmierć, rozmyślałem o szopach i dymiącej myszy. Pędząc w ulewie przez Worcester, wyglądałem na błotniste wzgórza i iglice kościołów. Zbudowany na wzniesieniu komin fabryczny wyrzucał w niebo kolumnę białego dymu. Pomyślałem o kremacji. Może w testamencie zażyczę sobie, by Wayne zrobił skręta z moich popiołów i mnie wypalił. Czy wówczas stałbym się częścią Wayne'a, czy też wzleciał w atmosferę jako zanieczyszczenie? Czy stałbym się częścią czyjegoś raka? Dręczyło mnie wiele podobnych myśli. Przy pisuarach na stacjach benzynowych miałem ochotę bez powodu popychać innych facetów. A za każdym razem, gdy dostrzegałem chudą kobietę, wyobrażałem sobie, jak by to było się z nią całować.

I myślałem też o mojej żonie i jej kochanku, niejakim Albercie Mi-chalkiewicz. Był piekarzem; wraz z żoną jadaliśmy jego pieczywo do niemal każdego posiłku - kręgi francuskiego wiejskiego chleba o twardej skórce i miękkie, gliniaste asteroidy czarnego razowca, który pozostawiał po sobie w ustach słodki, lepki smak. Kochałem jego chleb. On kochał moją żonę.

- Zdarza się - powiedziała.

Pewnej paskudnej nocy - pijany, ale nie do końca - zadzwoniłem do niej do pracy i na pocztę głosową nagrałem pełną wersję „Love Me Do” przy akompaniamencie szaleńczych mlasków i siorbnięć.

165

Wayne trącił mnie w ramię, wrywając z zamyślenia. - Jak myślisz, o co w tym chodzi, Stan? O miłość? Rzuciła cię, bo kocha tamtego faceta?

* * *

Tak właśnie powiedziała mi żona.

- Kocham innego mężczyznę - oświadczyła. A potem: - *Zdarza*, się.
- *Zdarza*, się - powtórzyłem mojej klasie, którą uczyłem historii Ameryki, informując o tym, że odchodzę na urlop. - Ale wiem, że żona wyzdrowieje. Choroby umysłowe nie są już nieuleczalne, jak kiedyś sądzili śmy. - Paru uczniów miało łzy w oczach. Słuchali, jak opisuję stan żony, jej halucynacje, jak ją odwiedzam każdego dnia i przynoszę książeczki do kolorowania. - Chcę jednak, byście wiedzieli, że naprawdę przykro mi rozstawać się z wami przed końcem semestru. Porządne z was dzieciaki, pierwsza klasa. Naprawdę pierwsza klasa.

Za oknami chevroleta ciągnęło się najeżone budynkami Baltimore, całe mile lśniących szyb i billboardów z olbrzymimi, uśmiechniętymi głowami.

- Tak właśnie powiedziała, że go kocha.
- Nieprawda - odparł Wayne. - Nie w tym rzecz.
- A w czym? - spytałem.
- W dreszczu emocji, Stan. W dreszczu, jaki czujesz, gdy pieprzysz się na stolnicy, a potem ganiasz na golasa, piszcząc, smarując się dżemem i posypując cukrem pudrem i znów pieprząc. Czysta dekadencja, brachu. O to w tym chodzi.

Zboczył na pobocze i zwolnił, żebym mógł zwymiotować, nie zalewając drzwi chevy'ego.

- Myślisz, że zechce spędzić resztę życia z facetem, który wstaje co dzień o czwartej rano? Facetem, który, gdyby jutro padł trupem i przeleżał w grobie dwadzieścia lat, wciąż śmierdziałby drożdżami?

Przez kilka godzin jechaliśmy w milczeniu. Teraz rozmyślałem o okradaniu grobów. Wyobrażałem

sobie, jak ktoś wyciąga mojego trupa z trumny. „O Chryste, ten to cuchnie solidnością” - powiedział jeden ze złodziei w mym umyśle, przyciskając do ust chustkę. Tak mawiali o mnie ludzie. Stan to solidny gość, ktoś, na kogo możesz liczyć. Pomyślałem, że żona poczuła się samotna albo po prostu się mną znudziła, a to z pewnością jeszcze gorsze. Pracowałem, starałem się, zawsze dzieliłem się z nią pilotem od telewizora. „Odłóżcie go - rzekł drugi złodziej trupów w mojej głowie - jest nic niewart”. I patrzyłem, jak złodzieje umykają pośród ozdobnych krzaków do bogatszego grobu czyściciela szyb.

* * *

Tego wieczoru na kempingu mój brat i ja paliliśmy marihuanę z parą emerytów z Reno, wracających do domu po wizycie na Wyspie Księcia Edwarda.

166

- Moja siostra mieszka tam w domu opieki - wyjaśnił starszy facet.

- Pewnego dnia obudziła się i znów miała dziesięć lat. Myśli, że jestem naszym ojcem, a prezydent to wciąż Franklin Delano Roosevelt.

- Przykro mi - mruknąłem.

- Czemu? - spytał emeryt. - Jest szczęśliwa. Znów jest ukochaną córeczką tatusia. Proszę pomyśleć, ma przed sobą całe życie.

Wayne opowiedział im starą, ale jarą historyjkę o dwuletnim odlocie na kwasie, Austin, Belize i odległej, utopijnej osadzie głuchych, gdzie paru skorumpowanych policjantów zatrzymało go pod rozdmuchanym zarzutem nieprzyzwoitego zachowania.

- Nie można ot tak wpięprzyć się w sam środek cudzej utopii, wiecie? To wkurza ludzi. Nawet bandę spokojniutkich, głuchych gości pracujących na farmie organicznej. Od początku trzymali mnie na krótkiej smyczy.

A tymczasem wciąż przeszkadzały mi małe zwierzątka, których nikt inny nie widział..

- *Znam to.* - Emeryt machnął ręką, demonstrując, jak małe niewidzialne zwierzątko kręci się obok człowieka. - Grr, grr! - Skubnął kola na Wayne'a.

Wayne przytaknął.

- Właśnie. Nie znoszę tego syfu.

Obudziłem się przed świtem, wypadłem z przyczepy i zacząłem sikać na trociny. Gdy skończyłem, niemal bez namysłu zacząłem się onanizować, wciąż na wpół senny, oparty łokciem o brzozę.

Kilka lat wcześniej miałem romans z matką ucznia. Nikomu o nim nie wspomniałem. Nie była szczególnie ładna ani nawet przeciętna. Za drugim razem uprawialiśmy seks na moim biurku, po zamknięciu szkoły. Falującym ciałem przycisnęła mnie do otwartego zszywacza, bolało niewiarygodnie. To był ostatni raz.

Masturbując się, wyobrażałem sobie ten sam scenariusz, tyle że tym razem moja żona wepchnęła mnie plecami w zszywacz.

Ponad drzewa powoli wzniosło się zimne, płonące słońce. Światło padło na mnie, na pnie i na namiot Wayne'a. Ogarnął mnie lęk i oklapłem.

* * *

Chciałem obejrzeć budynek sądu w Appomattox, gdzie Lee poddał się Graniowi. Wiele lat wcześniej miałem taki okres w życiu, gdy sądziłem, że mógłbym napisać książkę o wojnie secesyjnej, ale nie zdołałem ustalić tematu. Żona uważała, że dałbym radę, gdybym tylko się przyłożył. Teraz oczywiście wiedziałem, że się myliła.

Noc spędziliśmy w Motelu 6. Parking ozdabiała gipsowa figura Lee na stojącym dęba Podróżniku.

Następnego ranka siedziałem na stopniach starego sądu, podczas gdy Wayne wciąż spał w motelu. Ludzie przepływali obok, kupując w okienku na szczycie schodów bilety na zwiedzanie. Ekipa telewizyjna coś fil-

167

mowała. Młodociany przestępca skakał jej za plecami, próbując dostać się w kadr. Operator kazał mu zjeżdżać.

- Pokaż mnie, bracie, pokaż mnie w telewizji! - powtarzał dzieciak.

W końcu na schodach pojawił się strażnik sądowy i dzieciak umknął

na dół.

- Co teraz zrobisz?! - zawołał smarkacz.

- Nic. - Strażnik wzruszył ramionami. - Póki zostaniesz tam, gdzie jesteś.

Zamknąłem oczy i usłyszałem tętent kopyt Podróżnika na zamarzniętym błocie. Wczesny poranek. Widziałem mgłę zasnuwającą uliczki miasteczka, wiszące nieruchomo w oknach koronkowe firanki, puste domy.

Oficerowie konfederatów kręcili się po schodach odziani w ciężkie wełniane płaszcze i wysokie czarne buty. Rozmawiali szeptem, jakby w tym kawałku błota i budowlu z desek, nieróżniących się od tysięcy innych miejsc, w których odpoczywali i krwawili, było coś uświęconego. Lecz echo tętentu kopyt końskich sprawiło, że szepty ucichły i wszyscy zamarli. Z mgły wyłonił się mężczyzna i jego koń. Jakże stary wydawał się Lee, jak gdyby jego dumny, prosty kręgosłup miał pęknąć w każdej chwili, a ciało osunąć się na ziemię i zapaść wewnątrz munduru. Podróżnik wydawał się duchem konia.

Lee ściągnął wodze, ale nie zsiadł.

- Ludzie - rzekł. - Razem walczyliśmy w tej wojnie. Staralem się do wodzić wami jak należy. Serce zbyt przepełniając mi uczucia, bym mógł dodać coś jeszcze.

Oficerowie na schodach zorientowali się, że ich generał płacze. To był koniec. Nie wiedząc o tym, wszyscy się poddali.

Nagły powiew przegnał mgłę i Podróżnik wierzgnął. Generał mocniej chwycił wodze, lecz ogier znów się szarpnął i Lee pociągnął jeszcze mocniej. Zwierzę zarżało i parsknęło. A potem stary człowiek pochylił się i wyszeptał coś do aksamitnego ucha konia - może jakąś tajemnicę, której nie mogło pomieścić nawet wielkie, niepokonane serce generała Lee.

- Hej, psze pana! Kupi mi pan paczkę marlboro od tamtego gościa?

- Dzieciak przeszkadzający operatorowi stał teraz przede mną. Ręką wskazał kiosk u stóp schodów.

Dał mi pięć dolarów, a ja przyniosłem mu papierosy.

- Dzięki - rzucił, gdy mu je wręczyłem.

Stanley, co ty wyprawiasz? Przecież to nieletni! Co się z tobą dzieje?

- słyszałem w głowie głos mojej żony i wówczas wydało mi się rozsądne, że pokochała innego mężczyznę, zwykłego piekarza.

Klip, klap, klip, klap - zastukały końskie kopyta. Wiedziałem, jakie to uczucie poddać się. Współczułem zarówno człowiekowi, jak i koniowi.

Moja żona została wychowana surowo i religijnie. Przez większość dzieciństwa jej jedyną zabawkę, na jaką zezwalali rodzice, stanowiła Biblia, a i nią mogła się bawić tylko w jeden sposób - robić dla niej okładki. (Moja żona w niecałe trzydzieści sekund potrafiła wyprodukować całkiem sensowną okładkę; weź papierową torbę, ciach, ciach, sześć starannych złożzeń i już). Do dziś dnia na ścianach domu jej rodziców wiszą dziecięce okładki, czule oprawione i zawieszane obok zdjęć rodzinnych, przedstawiające misternie malowane sceny akcji: Jezusa rozbijającego stół przekupnia kopniakiem kung fu, Dawida przecinającego piłą łańcuchową tryskającą krwią gardło Goliata, a nad nimi śmiało wypisane słowo BIBLIA, literami kojarzącymi się raczej z plakatem filmu ze Steve'em McQueenem. Co wieczór jej rodzice z głębokim samozadowoleniem jedli kolację przy stole kuchennym pod oprawioną okładką z Kainem ćwiartującym Abła maczetą.

Przez cały nasz ślub ci poczciwi ludzie ani na moment nie usiedli w ławie, lecz na klęczkach modlili się, by ich córka poślubiła bogobojnego człowieka, kogoś o porządnej fryzurze.

Moja żona uważała, że dzieciństwo ograniczyło jej wyobraźnię, i może dlatego czuła się zawsze niepełna. Znała tylko historie z Biblii; jej własna historia zaczęła się dopiero, gdy poszła do college'u i mnie poznała.

- A co z dniem, kiedy uciekłaś dzikim niedźwiedzim? - spytałem.

Leżeliśmy w ciemności; działo się to wiele lat wcześniej, gdy oboje byliśmy biedni, moją fryzurę wciąż można było nazwać lekko buntowniczą, a ona nadal jeszcze sypiała nago.

- To znaczy?
 - No wiesz. Jak zdołałaś uciec? To przecież były niedźwiedzie, mogły cię zabić. Chciały cię zabić.
- Zamrugła, a potem zaczęła mówić szybko, bez tchu.
- Młoda para w podróży poślubnej. Uratowali mnie, choć o tym nie wiedzieli.
 - Tak?
 - Podchodziły coraz bliżej, śmierdzące, włochate potwory, czarne dzi kie niedźwiedzie o przekrwionych, oszalałych oczach i szponach wielkich jak szable. Ziemia drżała im pod stopami. Wiedziałam, że mam tylko jed ną szansę: pokazać im, iż jestem jedną z nich. - Przemknęła pomiędzy krzywymi nogami największego niedźwiedzia, dopadając rozszarpanych, wypatroszonych i wciąż parujących zwłok młodej pary. Wyrwała jakiś na rząd i wgryzła się w niego mocno. Dzikie niedźwiedzie patrzyły oszoło mione. Widząc, jak pożera krwawy ochłap, zrozumiały, że jest jedną z nich, i spokojnie poszły spać. - Później - dodała żona - zabiłam je, ob darłam ze skóry i sprzedałam futra, by kupić bilet powrotny na Sri Lankę.
- Bawiliśmy się tak co wieczór.
- Zadaj pytanie - domagała się moja żona, gdy leżeliśmy w pogrąžo nej w mroku sypialni.

169

- Jak to było z *banditos* - pytałem po chwili. - Hiszpańskie złoto, stara misja, niewidoma dziewczyna... jak to wyglądało?

A potem przekręcałem się na bok, patrząc, jak opisuje ucieczkę, oszukańczą umowę i słodką zemstę; jej oczy jaśniały, a ja czułem podniecenie, widząc, jak daje się ponieść historii. Teraz jednak zrozumiałem, że popełniłem błąd. Nigdy nie umieszczałem siebie w scenariuszach. Nie pytałem mojej żony, jak ją uratowałem. Posyłałem samą w objęcia niebezpieczeństwa.

Spróbowałem zagrać w tę grę z Wayne'em.

- Jak zdołałeś uciec dzikim niedźwiedziom? - spytałem.
 - To ta popieprzona gierka, w którą zabawiałeś się ze swoją suką?
- Prowadził samochód, pędząc przez Wirginię nieco poniżej stu pięćdzie sięciu na godzinę, a jednocześnie jadł kupioną na poboczu kanapkę z gril lowaną wołowiną; kilka pasemek soczystego mięsa spadło mu na gors.
- Tak - odparłem i już wiedziałem, że nic z tego nie będzie.
 - W porządku. Powystrzelałem je wszystkie.
 - Ładnie - mruknąłem. - Bardzo pomysłowe.
 - Przykro mi, ale tak było. Zastrzeliłem drani. Pytasz, to odpowiadam.
 - Zdradziłem ją, Wayne - wykrztusiłem. Nigdy wcześniej nikomu te go nie powiedziałem.
- Wayne jęknął.
- Zamierzasz to zjeść? - spytał.
 - Nie - odparłem.

* * *

Naszej trzeciej i ostatniej nocy w drodze zatrzymaliśmy się w kinie dla zmotoryzowanych w Karolinie Południowej, by zdrzemnąć się chwilę, ale żaden z nas nie mógł zasnąć. Zaczęliśmy z Wayne'em krążyć po parkingu, próbując zaglądać do wozów. Zdawało nam się, że panna jednego z kierowców robi mu dobrze ręką, ale trudno było coś dostrzec i nie mieliśmy pewności. Oba filmy kończyły się śmiercią ludzi na raka, lecz w drugim rak obdarzył bohatera supermocami.

- Wciąż się zdręczasz, myśląc o tym, prawda? - spytał Wayne. Nie musiał mi mówić, co oznaczało „to”.

Wyobrażałem sobie moją żonę i Alberta Michalkiewicza uprawiających seks na stalowych ladach piekarni. Widziałem mąkę oblepiającą pośladki mojej żony, leżącej pod nim z szeroko rozłożonymi nogami, biały pył osiadający na jego torsie; włosy na piersi stawały się białe i sprawiały, iż wyglądał staro, oblesnie i potężnie jak Anthony Quinn, pieprzony Grek Zorba. Przypuszczałem, że kiedy kończą, zaczynają ucztować - nadzy, upiornie biali i wygłodniali, z namiętym zapachem pochłaniają ciastka. Wyobrażałem sobie, jak Albert Michalkiewicz wyciska na piersi mojej żony ekierkę i rozsmarowuje krem po skórze.

170

- I co?

Wayne znalazł w krzakach niemal pełną torbę popcornu. Na ekranie superbohater, potwornie wychudzony i wyniszczony chorobą, wciąż miał dość sił, by wystrzeliwać z oczu lasery i burzyć budynki, tworząc tamę dla potężnej fali powodziowej. Świerszcze cykały, jakaś dziewczyna zachichotała; jej protesty mówiły „nie”, ale chichoty „tak”.

- Czy wciąż mogę tam kupować chleb? Od niego?

Mój brat pokręcił głową. Wyciągnął ku mnie torebkę. Wziąłem garść miękkiej kukurydzy i zacząłem żuć.

* * *

W piątek wieczór dotarliśmy do Starke. Minęliśmy bar z markizą, na której widniał napis: W TĘ SOBOTĘ WIELKA IMPREZA! SMAŻYMY DRANIA! Wyglądało na to, że Yirgil Pendergast wciąż czeka na odroczenie egzekucji.

Więzienie przycupnęło w gnieździe z drutu kolczastego na wzgórzu przy autostradzie międzystanowej. Sześć promieni reflektorów celowało smętnie w ciemniejące niebo. Przy głównej ulicy miasta kilka centrów handlowych próbowało wabić przechodniów wizjami cennych towarów za niską cenę.

Żona Pendergasta zatrzymała się w Days Inn, jakieś półtora kilometra od więzienia. My też wynajęliśmy tam pokój na dwa dni, bo w umowie krył się jeden haczyk: gdyby Pendergastowi odroczone egzekucję, Wayne nie mógłby kupić samochodu. Jaguar przechodził na własność przyszłej wdowy dopiero po śmierci męża.

Wayne zadzwonił do niej i odkrył, że ma pokój tuż obok.

Yolanda Pendergast okazała się kobietą kościstą; choć dobijała już pięćdziesiątki, nie wyglądała źle. Najpierw uściśnęła mi rękę, a potem objęła mojego brata, nieco zbyt długo i zbyt mocno, by można to było uznać za siostrzany uścisk. Natychmiast zrozumiałem, co się święci, i zapragnąłem brata walnąć. Zaledwie parę kilometrów dalej obcy mężczyzna czekał w celi śmierci, a tu Wayne szykował się, by posunąć jego żonę i za grosze kupić jaguara. W następnej sekundzie zdumiałem się, jak mogłem w ogóle tak myśleć: Wayne był moim bratem, a Yirgil Pendergast psychopata, który rozjeżdżał czyścicieli szyb i z głębokim zadowoleniem poinformował wyznaczonego przez sąd psychiatrę, że nigdy nie zabił człowieka, tylko żaby („...potem zaś na wzmiankę o czyścicielach szyb pan Pendergast odparł: «To tylko żaby w przebraniu, tego właśnie nie potraficie zrozumieć». Tak zeznał psychiatra podczas procesu karnego”).

A zatem jego żona próbowała żyć dalej. Zdarza się.

Yolanda miała sześciopak piwa. Usiedliśmy na plastikowych krzesłkach wokół motelowego basenu.

- Gdy ostatnio odpalili krzesło, siadł prąd w całym mieście i rozleciał się więzienny generator. Najwyraźniej coś jest nie tak z zasilaniem krzesła, ale okręgowy inżynier nie ma pojęcia co. - Yolanda nie sprawiała wrażenia specjalnie zatroskanej. Pociągnęła łyk z butelki i przesunęła

171

palcami po ozdobnej klamrze paska Wayne'a. - Nie muszę wam mówić, że Yirgil trochę się niepokoi. Wayne zamoknął głośno.

- Paskudna sprawa.

Wieczór był ciepły, Wenus świeciła jasno na niebie. Inny gość oglądał film wojenny; jakiś żołnierz krzyczał, wołając matkę, sierżant kazał mu natychmiast zamknąć jadaczkę.

- Tęsknię za Paulą. Tęsknię za moją żoną - niemal wyplułem z siebie te słowa.

Albo mnie nie usłyszeli, albo udali, że nie słyszą, bo nikt nie odpowiedział. Wayne gładził jasne włosy Yolandy, która mrużąc oczy, spoglądała w ciemniejące niebo i uśmiechała się. Podrapała się po zajadach w kąciu ust długim fioletowym paznokciem. Wojna dobiegła końca.

Skończyliśmy piwo i Wayne zaproponował, żebyśmy poszli gdzieś na drinka. Yolanda знаła świetne miejsce.

Na parkingu dostrzegłem pokryte brezentowym pokrowcem narzędzie zbrodni Yirgila Pendergasta. Spod pokrowca wyglądał tylko dolny skrawek srebrnego kołpaka jaguara. Pomyślałem o tajemniczych oczach zerkających przez szczeliny w żaluzji.

Do baru pojechaliśmy naszym wozem.

* * *

Na barowej markizie widniał obraz przedstawiający aligatora w kurtce stanowej Florydy pożerającego żołnierza Unii. Z ust Jankesa wychylał się język.

Wybraliśmy stół na werandzie, z której roztaczał się widok na łysiejące, porośnięte trawą wzgórze i północne odgałęzienie autostrady. Na ciemnym zboczach kręciło się kilka wysokich, chudych kur dziobiących suchą trawę. Od czasu do czasu któraś gdakała ochryple.

Wypiliśmy kolejną wódkę, kolejną piwa, znów kolejną wódkę, znów piwo i Wayne opowiedział o tym, jak w dzieciństwie zabił prądem mysz. Tyle że w tej wersji to ja zbudowałem pułapkę, a mysz eksplodowała.

- W następnej sekundzie zniknęła bez śladu, pozostawiając tylko wiszącą w powietrzu krwistą mgiełkę.

- Nienawidzę myszy - mruknęła Yolanda.

- Chciałem przez to powiedzieć dwie rzeczy - oznajmił Wayne. - Po pierwsze, Stanley w dzieciństwie był świnięty, a po drugie, elektryczność robi, co chce.

- Traktowałem też prądem naszego psa - dodałem.

Yolanda obdarzyła mnie sztucznym, wymuszonym uśmiechem.

- Wiesz, Stan, wiele cię łączy z Yirgilem. On też miał świetne stopnie z nauk ścisłych.

Wayne oznajmił, że ma fiuta pełnego szczyń, i dźwignął się z miejsca. Kiedy odszedł, Yolanda położyła mi dłoń na rękę.

172

- Nie potrafię nawet opisać, jak wielkiego wsparcia udzielił mi twój brat w tym trudnym okresie. Wayne spotykał się ze mną na czacie co dzień w porze lunchu. Nienawidzę jeść sama. Przysięgam, bez niego pewnie nie byłabym zwariowała i zupełnie straciła władzę nad moim ciałem, przestała mówić i robiła w majtki jak niemowlę.

A jako kobieta chcę, żebyś wiedział - ponieważ Wayne mówił, że twoja żona była chuda - chcę, żebyś wiedział, że mnóstwo naprawdę chudych kobiet pieprzy się dosłownie z każdym. Nie potrafię się powstrzymać.

- Muszę to sobie zapisać - mruknąłem.

Yolanda odparła, że chyba faktycznie.

Wayne wrócił, a ja poszedłem do baru i zacząłem grać w grę wideo, w której na ekranie pojawiają się dwa niemal identyczne obrazki przedstawiające seksownych mężczyzn, lecz na drugim brak elementów - na przykład muszki czy tatuażu - i trzeba nacisnąć ekran, by je *znaleźć*.

Po chwili przysiadła się do mnie ciemnowłosa dziewczyna w czerwonych dżinsach i kowbojkach.

- Gość po prawej nie ma czarnego paska na slipach.

- Dzięki - odparłem.

- Nie ma sprawy - mruknęła i poinformowała mnie, że ma na imię Jesse, a los wybrał mnie spośród wszystkich dżentelmenów w barze.

- Ach tak? A czego ten los ode mnie chce?

- Żebyś kupił mi Toma Collinsa. To dość niezwykły drink, ale los bywa kapryśny.

Nie miałem powodów, by wątpić w jej słowa. Ostatecznie to przecież los sprowadził mnie do Starke na Florydzie, gdzie rząd potężnymi uderzeniami prądu zabijał ludzi, którzy rozjeżdżali innych sportowymi wozami. Z łatwością uwierzyłem, iż ten sam los każe mi teraz postawić Toma Collinsa nieznajomej w obcisłych czerwonych dżinsach.

- Jestem Stanley - przedstawiłem się i kupiłem jej drinka.

Graliśmy dalej, przeglądając kilkunastu ogierów, wyszukując brakujące skarpetki i brwi, aż w końcu hawajski byczek w ręczniku zablokował nas na amen, bo żadne z nas nie zauważyło brakującego kucyka.

Jesse wróciła ze mną do stołu i Wayne zaszczyił nas wszystkich historią swych dwóch lat nauki na uniwersytecie Cornell, a także tego, jak go wywalili za próbę skrzyżowania marihuany z wodorostem. Ja tymczasem przyglądałem się uważnie Jesse, jej ładnej twarzy i zadartemu noskowi. Mój wzrok powędrował do koszuli ciasno opinającej małe, pozbawione stanika piersi, i z powrotem do zakrzywionego kła w kąciku ust.

- Na północno-wschodnim wybrzeżu można znaleźć tysiące przybrzeżnych jaskiń, w których da się hodować odporną roślinę, taką jak cannabis. Oczywiście wciąż pozostaje problem agentów federalnych i in formatorów, ale zubożali farmerzy mogliby w ten sposób nieźle dorobić.
- Wayne z zadumaną miną napił się piwa. - Byłem za blisko i pewni lu dzie zaczęli się niepokoić.

173

- Cały rząd to jeden wielki spisek. - Yolanda wepchnęła do torebki swą trzecią szklankę tego wieczoru.

- Nie wiedziałem, że chodziłeś do college'u, Wayne - wtrąciłem, kładąc dłoń na udzie Jesse.

Dziewczyna podniosła moją rękę i obejrzała linie na dłoni. Zaczęła mi masować palce, poruszać kostkami. Wsunęła do ust mój palec wskazujący i przygryzła sterczącą skórę.

- Mam - mruknęła.

Byłem wstrząśnięty, czułem lekkie mdłości, ale też wyraźnie mi stanął.

- Czuję się trochę, no wiesz... - Zakreślałem w powietrzu drobne kółka pozbawione jakiegokolwiek znaczenia.

Ona jednak zrozumiała.

- To cię podnieciło, co? Ale też było obrzydliwe. Nie wiem przecież, gdzie wcześniej byłeś, gdzie wsadzałeś swój palec, ale i tak go ugryzłam. To chore, co nie?

- Ale mnie się podobało. Choć faktycznie było okropne.

- Czasami taka właśnie jest miłość - powiedziała.

Wolno popijałem drinka. Patrzyłem na wzgórze i olbrzymie kurczaki przechadzające się pośród trawy. Chciałem wyjaśnić tej kobiecie moje ograniczenia - powiedzieć o niewierności, tchórzostwie, nienapisanej książce, o wciąż skrywanej tęsknocie za pysznym chlebem, który kształtował własnymi dłońmi kochanek mojej żony. Chciałem powiedzieć to wszystko i jeszcze więcej, ale słowa były niczym węże.

Oblizalem wargi, uśmiechnąłem się szeroko.

- Duże te kurczaki.

- To nie kurczaki, to emu - odparła Jesse. - Emu.

Głowa Wayne'a opadła na stół.

- Ty mięczaku - mruknęła wesoło Yolanda.

- Emu? - zdziwiłem się.

Jesse westchnęła. Widziałem, że powoli zaczyna tracić złudzenia co do mojej osoby, i w myślach powiedziałem jej, by lepiej do tego przywykła.

- Na Nowej Zelandii ludzie robią z nich hamburgery. Jeden z moich przyjaciół próbował hodować parę tysięcy, ale mu nie wyszło. Zdaje się, że emu strasznie dużo żrą. Gość stracił farmę, a emu zdziczały. Kręcą się po okolicy, czasami wpadają pod samochody. Nieważne.

- Ty wielki, stary mięczaku - mówiła Yolanda.

- Sp... - odparł Wayne, beknął przeciągle, po czym powtórzył. - Sp...

- Jesteś zła? - spytałem Jesse.

- Po prostu zdawało mi się, że coś między nami iskrzy, i tyle. - Jesse ścisnęła palcami mały nosek i znów westchnęła. Nonszalancko poprawiła krocze czerwonych džinsów. - Lepiej to przemyśl, koleś. Nic więcej nie powiem.

Wyszedłem zatem pozbierać myśli.

174

* * *

Znalazłem się u stóp wzgórza. Zacząłem się wspinać. Nie byłem pewien, dokąd idę, ale wiedziałem, że gdzieś dalej biegnie autostrada i jeśli nic mi nie przeszkodzi, w końcu natrafie na samochody. Księżyc chybotął się nad wierzchołkiem wzgórza.

Wkrótce koszula oblepiła mi ciało. Przystanąłem, by chwilę odetchnąć, i obejrzałem się na bar i moich przyjaciół na werandzie. Jesse uniosła rękę, Yolanda dźwignęła za włosy głowę mojego brata.

- Żegnajcie - powiedziałem i pomachałem. - Żegnajcie! Zamierzam wbiec pod samochód. Żegnajcie! - wrzasnąłem, wiedząc, że i tak muzyka zagłuszy wszystko.

Odwrociłem się, postąpiłem krok naprzód, pierwszy krok- i zamarłem.

Na tle księżycy ujrzałem sylwetkę emu. Wielkością dorównywał dorosłemu człowiekowi, miał grube, gęste pióra. Długi, kościsty profil skojarzył mi się z moją żoną.

Ptak, stojący najwyżej dziesięć metrów dalej, uniósł głowę znad ziemi; zdawało się, że węszy. Poruszył się dziób podobny do lufy karabinu. Emu spojrzał wprost na mnie. Oczy miał jasne, iskrzące się światłem księżycy. Widziałem już podobne oczy - każdej nocy, gdy zadawałem pytanie, a Paula mi opowiadała, jak wymknęła się śmierci.

Emu wydał z siebie przeciągły odgłos, ni to pisk, ni to krzyk, i zaatakował.

W nagłym przebłysku zrozumiałem kilka rzeczy naraz: pojąłem, że moją jedyną bronią są ręce, że mam tylko jedną szansę -jakimś cudem zbliżyć się dostatecznie, by wydłubać bestii oko. Zrozumiałem, że nawet to tylko by ją zraniło i aby wykończyć ptaka, musiałbym go udusić. Pojąłem, że będę musiał wycisnąć z niego oddech moimi palcami. I zrozumiałem, że mam przerąbane.

Stałem i czekałem na koniec.

Emu uderzał pazurami o ziemię, wzbijając obłoczki kurzu i błyskawicznie zmniejszając dzielący nas dystans. Trzepotał gniewnie małymi skrzydłami. Maleńkie, błyszczące oczy wwierały się we mnie, żądając, bym stał bez ruchu i słuchał historii, która zaraz się rozpocznie.

Paula, pomyślałem raz jeszcze i ptak stał się Paulą o czarnych, rozwianych włosach, w czerwonym szlafroku łopoczącym niczym peleryna i odsłaniającym białą skórę, z palcami wygiętymi w szpony. To była moja historia. Ale jak miałem uciec? Jak uratować się przed miłością, która mogła rozszarpać człowieka na strzępy? Miłością, która pod koniec wciąż kocha cię dość mocno, by wyjawić ostatnią trudną prawdę, powiedzieć, że wszystko się zmieniło?

Umieraj, pomyślałem i strzeliłem do niej z laserów w oczach.

Pióra połaskotały mnie w nogę, gdy ptak przebiegł obok w pędzie. Postawił jeszcze cztery czy pięć kroków i runął na ziemię w chmurze pyłu.

Podszedłem do niego i ukląknę, zacząłem szukać pulsu. Szyja zwierzęcia przypominała olbrzymią pierzastą szczotkę do rur. Była ciepła, ale niczego nie wyczułem.

175

Kurz osiadł na jego czarnych oczach, wokół białek dostrzegłem popękane żyłki. Przesunąłem palcami po głębokich zagłębieniach pod obojczykami. Emu musiał umierać z głodu. Wątpiłem, czy biedne zwierzę, ruszając do ataku, w ogóle mnie widziało. Wokół trupa leżało parę brązowych piór.

Wsunąłem dłonie pod ciało wielkiego ptaka, spodziewając się, że ze-gnę się pod ciężarem, ale okazał się bardzo lekki, nie cięższy niż dziecko.

* * *

Kiedy dotarłem do drzwi z martwym emu w objęciach, moi towarzysze już na mnie czekali. Obejrzeliby całą scenę z werandy i wciąż nie mogli otrząsnąć się ze zdumienia. Ptak właśnie miał mnie zabić, aleja pokonałem go wzrokiem, powaliłem lodowatym spojrzeniem.

• Masz moce wudu - oznajmiła Yolanda, wygrażając mi palcem, jak bym był niegrzecznym chłopcem.

• Bruce Lee - dodał Wayne. Oparł się o Yolandę, pokręcił głową i obliżał wargi. - Bruce Lee.

• Myślę, że wysiadło mu serce.

- Możesz płakać. - Jesse chwyciła mnie za rękę i pociągnęła do swego wozu po drugiej stronie parkingu.

- Bruce Lee - powtórzył jeszcze raz Wayne, po czym usiadł na ziemi obok ptaka.

- Co mam z nim zrobić?! - zawołała za mną Yolanda.

- Nie chciałem go zabić! - odkrzyknąłem. - Nie chciałem nikogo skrzywdzić.

- Ciii... - Jesse wepchnęła mnie do samochodu.

Odjechaliśmy. Przez okno ujrzałem Wayne'a leżącego na piasku w świetle neonu i przyciskającego do piersi martwego ptaka niczym powalonego towarzysza broni.

* * *

Jesse oznajmiła, że nim skonsumujemy naszą miłość, musimy wziąć ślub. Jej wuj Bob był pastorem i mógł to załatwić.

- Nie mogę spocząć z tobą w łóżu, jeśli nie weźmiemy ślubu. Te reguły nie podlegają negocjacji. To dziesiąte przykazanie, pozostałych dziewięć dostaniesz za darmo.

- Jestem już żonaty - wyznałem.

- To nie ma znaczenia - rzekła.

Nie miałem pojęcia, dokąd jedziemy, co chwila mijaliśmy latarnie. Owady zdawały się rzucać na przednią szybę.

- Zgoda - mruknąłem. Położyłem głowę na jej kolanach. Spojrzałem w górę, wprost w jej nozdrza. Były bardziej włochate, niż sądziłem. - Może sprawia to kąt widzenia, ale wygląda na to, że przydałaby ci się niewielka depilacja.

- Słonko - odparła.

176

Samochód się zatrzymał, moje ciało usiadło, a po sekundzie podążyła za nim głowa. Znaleźliśmy się na osiedlu przyczep. Moją uwagę przyciągnęła palma posadzona na zielonej wysepce pośrodku okrągłego podjazdu. Obwieszono ją białymi lampkami choinkowymi. Zamrugalem i nagle ogarnęła mnie przelotna, lecz przyjemna amnezja, która wymazała ostatnie cztery miesiące od świąt i sprawiła, że zaledwie kilka chwil dzieliło mnie od spotkania z Paulą. Była w domu, czekała na mnie. Mieliśmy razem otworzyć prezenty, uczcić dzień narodzin Dzieciątka.

W następnej sekundzie znalazłem się z powrotem w osiedlu przyczep na Florydzie. Święta zniknęły, żona zniknęła. Walnąłem głową w deskę rozdzielczą - raz, drugi, trzeci.

Jesse otworzyła drzwi i wywlokła mnie z wozu. Moje nogi ruszyły do przyczepy - czystej przyczepy z białymi ścianami i czarnym dachem, podobnej do innych stojących wokół. Ponad polem prostokątnych domostw świeciła obca gwiazda więziennych reflektorów.

- Nie zabiłem emu - oznajmiłem. Nagle poczułem, że bardzo mi zależy, aby ją o tym przekonać. Włochate nozdrza nie miały znaczenia. Sta nowiła moją ostatnią szansę. Nie chciałem, by sądziła, że wychodzi za mąż za seryjnego mordercę, drugiego Yirgila Pendergasta. Tym razem chciałem, by nam się udało. - Miał słabe serce, i tyle.

Jesse zaczęła się dobijać do drzwi przyczepy. Z wnętrza dobiegł głośny rumor i przekleństwo. W drzwiach stanął wyrośnięty mężczyzna w szlafroku, między połami migały czerwone bokserki. Jego twarz przepelniało zmęczenie i nuda jednocześnie, jakby właśnie obudził się z głębokiego snu o ciężkiej pracy w sekretariacie.

- Wujku Bobie, chcę się złączyć z tym mężczyzną w świętym związku małżeńskim - oznajmiła Jesse.

- A, tak, okay. - Wujek Bob podłubał palcem w ucho, obejrzał uważnie, wytarł go i gestem polecił nam wejść do środka.

Z całych sił chwyciłem rękę Jesse.

• Naprawdę jest pastorem? - Nawet w moim obecnym stanie upojenia czerwona bielizna budziła pewne wątpliwości.

• Najprawdziwszym - odparła Jesse. -1 żadnych więcej pytań. - Musnęła palcem mój rozporek. - To poważna i piękna chwila, którą będzie mi wspominać przez resztę życia.

W kącie przyczepy na ścianie wisiał wielki krzyż. Wujek Bob odsunął na bok kanapę i kazał nam zaczekać. Gdy wrócił, trzymał w rękach pudełko po butach pełne plastikowych obrączek.

- Wybierzcie po jednej - polecił. Zdecydowałem się na błyszczącą niebieską, Jesse wybrała dla mnie żółtą.

Wujek Bob kazał nam wziąć się za ręce. Z wymiętej kartki papieru maszynowego odczytał słowa przysięgi. Po wszystkim dałem Jesse obrączkę, a ona dała mi moją. Pocałowaliśmy się, wujek Bob pstryknął nam zdjęcie polaroidem.

177

Jesse zaprowadziła mnie do sypialni. Nie przyszło mi nawet do głowy spytać, gdzie będzie spał wujek Bob. Tak naprawdę o niczym nie myślałem. Wbijałem wzrok w podłogę, oczekując, że zobaczę w każdym kącie maleńkie pogniecione wydmy czerwonej pościeli. Ale było zbyt ciemno, bym zdołał zajrzeć w każdy kąt pokoju.

W następnej chwili zdejmowała ze mnie ubranie, byłem nagi, leżałem na łóżku, ona siedziała na mnie, a ja byłem w jej wnętrzu. Na szyi miała srebrny łańcuszek, na którym powiesiła jakieś dwa tuziny plastikowych obrączek, które podskakiwały przy każdym ruchu. Jej mały nosek marszczył się, chłopięca fryzura falowała.

- Jak udało ci się uciec dzikim niedźwiedziom? - spytałem, wiedząc, że nie zrozumie.

Ale ona zrozumiała.

- Skarbie - powiedziała moja nowa żona, wyginając mocno plecy.
- To ja jestem dzikimi niedźwiedziami.

* * *

Obudziłem się na parkingu przed barem w krzywo zapiętym ubraniu. Był dzień. Zamrugalem; nad moją głową wznosił się maniackalnie uśmiechnięty aligator w kurtce w barwach stanowych i żołnierz Unii. W świetle poranka dostrzegłem pokrywający ich kurz.

Piechotę wróciłem do motelu. Kilka razy zatrzymywałem się przy drodze. Próbowałem wymiotować w krzaki, ale nie miałem już czym. Gryzły mnie owady, a ja byłem za słaby, by je odpędzić.

Łóżko Wayne'a stało nietknięte. Na nocnym stoliku leżał liścik.

Wyszedłem z Yolandą zobaczyć, jak smażą jej starego. Miejscowy dowcipniś powiedział mi, że Yolandę nie żartowała, mówiąc, iż krzesło jest trochę kapryśne. Podobno ostatniemu klientowi, którego na nim posadzili, odleciała głowa. Pewnie chrzanił, ale chciałbym to zobaczyć.

Wiedz jednak, Stan, że gdybyś kiedykolwiek trafił na krzesło elektryczne i odleciałaby ci głowa, zrobiłbym potworną aferę. (A tak naprawdę trzymałbym twoją głowę w słoiku i pokazywał wszystkim. Żeby namie-szać im w głowach. Niniejszym zgadzam się, byś zrobił ze mną to samo, brachu).

Kiedy wrócę, opowiem, jak odpadła głowa i czy wydarzyło się coś jeszcze.

Wayne

Poszedłem do łazienki umyć twarz. W wannie leżał martwy emu, wokół jego głowy i szyi kręciło się kilka much. Zwymiotowałem.

Padłem na łóżko. Ziemia się poruszała. Słuchałem, jak jęczy, jęknąłem w odpowiedzi. Oboje byliśmy bardzo zmęczeni.

178

* * *

Ocknąłem się o zmierzchu, bolała mnie głowa i brzuch. Zamówiłem chińskie *żarcie* i poprosiłem o aspirynę. Wyniosłem emu do śmietnika z tyłu, tam złożyłem na wieczny spoczynek.

Wkrótce przynieśli *żarcie*, ale bez aspiryny. Zamówiłem w kablówce film porno i zjadłem obiad.

W jednej z końcowych scen filmu dwie kobiety kąpały się razem, mydląc sobie piersi i wychlapując wodę na stojące na podłodze świece. Wiedziałem, że tylko udają, ale wyglądały, jakby świetnie się bawiły.

- Wciąż jestem brudna na dole - oznajmiła jedna z dziewcząt, wydy mając usta.

- Wygląda to na zadanie dla Doktora Gąbki - odparła druga.

Zadzwoiłem do domu, odebrała automatyczna sekretarka. Moja żona na poleciała mi zostawić wiadomość.

O dwunastej zero trzy w nocy stan Floryda dokonał egzekucji Yirgila Armisteadą Pendergasta, Samochodowego Szajbusa, skazanego za trzy morderstwa z premedytacją. Wiedziałem o tym, bo w nagłym rozbłysku prąd w moim pokoju wysiadł, podobnie jak w całym Starkey. Godzinę odczytałem na fosforyzującym wyświetlaczu zegarka.

Kiedy Wayne zadzwonił, powiedział, że w chwili gdy popłynął prąd, stopy Yirgila stanęły w płomieniach. Nikt nie potrafił wyjaśnić dlaczego.

- Ale przecież nie trzeba geniusza, by się domyślić - dodał - że gość po prostu nie mył się dokładnie między palcami.

- Chcesz powiedzieć, że brud między palcami jest łatwo palny?

Uznałem jego milczenie za znak zgody.

* * *

- Mam bilet na statek - oznajmił Wayne.
- Rozumiem - mruknąłem.
- Nie zamierzam wracać - dodał.
- Co mam powiedzieć mamie i tacie? - spytałem.
- To znaczy, nie zamierzam wracać od razu. Płyniemy z Yolandą na Haiti. Zatem ty musisz zabrać do domu jaguara Yirgila.

• Haiti? - zdziwiłem się.

• Yolandą zna gościa od wudu, który twierdzi, że potrafi przywrócić Yirgila do życia.

Informacja ta sprawiła, że w moim umyśle pojawiło się kilka pytań. Wybrałem jedno z nich.

• Chcesz tego?

• No, niespecjalnie. - Wayne westchnął. - Ale nie chcę być typowym facetem, co się rządzi, chwytasz? Jednym z tych fiutów, którzy nigdy nie dzielą się pilotem do telewizora.

179

- Ale jeśli wskrzesi go z martwych, co będzie z waszym związkiem, Wayne?

- Wciąż próbujemy to ustalić. Nie spieszymy się, wiesz?

Wayne kazał mi się uśmiechnąć i się pożegnać.

Spakowałem moje rzeczy i ruszyłem do domu.

* * *

Po drodze znów zatrzymałem się w Appomattox i zostałem tam parę dni. Parę dni zamieniło się w tydzień. W pewnym momencie stwierdziłem, że czekam na coś -jakiś znak, może zgodę.

Odwiedziłem posąg Podróżnika i potarłem jego nos na szczęście. Kręciłem się na stopniach sądu, chętnie podając pomocną dłoń innym turystom, którzy potrzebowali kogoś, by zrobił im zdjęcie. Ale przede wszystkim czekałem. Piłem dietetyczną colę i nie rozmawiałem z nikim, kto mnie znał.

W końcu pewnego popołudnia, gdy siedziałem na masce jaguara, wpatrując się w pomnik generała Lee na wierzgającym koniu, podszedł do mnie mężczyzna z wiadrem wody z mydłem i samochodową gąbką. Naciągnął czapkę tak nisko, że nie widziałem jego oczu, jedynie mięsisty klin szczęki. Czulem bijący od niego zapach wódki.

- Może teraz ja się tym zajmę - rzekł, wyciągając rękę.

Oddałem mu kluczyki i wróciłem autobusem do Nowej Anglii. Gdy dwa lata później Wayne pojawił się w domu bez lewego oka, zachowywał się, jakby o jaguarze zapomniał na śmierć. Ani razu o niego nie spytał.

Albert Michalkiewicz okazał się alkoholikiem i moja żona rzuciła go po trzech miesiącach. Wkrótce potem przeczytałem w gazecie, że ogłosił bankructwo. Oczywiście nigdy już nie wybrałem się do jego piekarni, ale gdy przechodzę obok zabitej deskami witryny, czasami przystaję i pociągam nosem; minęły trzy lata, lecz na chodniku wciąż czuć słodką woń chleba.

Moja żona nie mówi o tamtych czasach, ja też do tego nie wracam. Nie czyniłem jej wyrzutów, gdy wróciła. Jakie miałem prawo?

Myślę, że jesteśmy szczęśliwi, tak jak podobni nam ludzie mogą być szczęśliwi: czasami wypijamy butelkę wina w miejscowej pseudofrancuskiej restauracji, wspólnie oglądamy telewizję. Mamy psa, którego wyprowadzamy na spacer. Teraz, gdy Wayne wrócił, czasami spotykamy się we trójkę, śmiejemy się i gramy w trivia. Brat nigdy nie mówił, co go spotkało na Haiti, gdzie podziwia się Yolanda ani czy użyli rytuału wu-du, by wskrzesić z martwych Yirgila Pendergasta. Lecz kikut obciętej w łokciu lewej ręki i zdjęcie beżowoskórego niemowlaka w śpiochach w grochy, które nosi w portfelu, powiedziały mi dosyć. Obecnie Wayne pracuje jako parkingowy na lotnisku. Mieszka sam. Raz wpadłem tam, by zaskoczyć go kanapką, i ujrzałem, jak siedzi w swej budce. Wyjął

180

szklane oko, gładził palcami zdjęcie dziecka w śpioszkach w grochy i spoglądał w przestrzeń. Wycofałem się szybko.

Zbudowaliśmy z Paulą domek dla ptaków. W weekendowe poranki lubimy patrzeć, jak zięby lądują tam, łopocząc skrzydłami, przechadzają się dumnie wokół, sprzecząją z innymi, puszą się i odfruwają. Tak, święcie wierzę, że jesteśmy całkiem szczęśliwi.

Zaledwie parę dni temu siedzieliśmy skuleni na sofie, niemal zakochani, prawie drzemiąc w naszym wspólnym cieple. Jednym okiem oglądałem telewizję. Nadawali właśnie talk-show, z rodzaju tych krzykliwych programów z rwaniem włosów z głowy.

Nagle ujrzałem wuja Boba i szczupłego ciemnowłosego mężczyznę, który wyglądał zupełnie jak moja druga żona. Siedzieli na scenie przed wznoszącymi się rzędami widowni. Na ekranie pojawiła się karta tytułowa następnej części programu. Wielkimi literami wypisano na niej:

**ZWIĄZKI DZIWOŁĄGÓW!
KOBIETA, KTÓRA STAŁA SIĘ MĘŻCZYZNĄ
PO POŚLUBIENIU PONAD STU NIEZNAJOMYCH, I JEJ BRAT - KOCHANEK!**

Moja żona opierała się o mnie, półdrzemiąc i gładząc mi pierś.

- Poślubił pan stu dwóch mężczyzn, zgadza się? A pan udzielił ślubów? - pytał gospodarz programu z bezbrzeżnym zdziwieniem. Miał nie samowitą fryzurę.

- Zgadza się - wujek Bob przytaknął z powagą. Jesse poruszył się, zakładając nogę na nogę.

- Jesteście też małżeństwem, pan i pański brat-siostra?

- Tak jest - potwierdził wujek Bob.

- Mężem i żoną - dodała cicho moja druga żona.

Wujek Bob wyciągnął rękę do Jessego i pogładził jego dłoń.

- Tak jest, mężem i żoną.

Gospodarz podrapał się po głowie i przez kilka sekund krążył tam i z powrotem w milczeniu.

- Rany - mruknął w końcu.

Widzowie wybuchnęli śmiechem.

- Prawdziwa z was para świrów, co? - Gospodarz mrugnął do zebra nej w studio publiczności, która zaczęła krzyczeć i tupać. Prowadzący za tańczył na scenie, wymachując ostro mikrofonem.

Wujek Bob zmarszczył brwi. Jesse słabo pokręcił głową, wydawał się kruchy i stary.

• O czym myślisz? - spytała sennie moja żona. Sięgnąłem po pilota i wyłączyłem telewizor. - Skarbie? - spojrzała mi w oczy. Może dostrze gła w nich coś znajomego.

• Zmęczyły mnie te parady dziwołagów - mruknąłem. - Wprowadza ją biedaków na scenę i naśmiewają się z nich. Obrzydlistwo.

Przytaknęła sennie i przymknęła oczy.

181

• Jak uratowałaś... - zacząłem, ona jednak zasłoniła mi usta dłonią.

• Nie cierpię tej gry. Nigdy jej nie lubiłam.

Patrzyłem, jak zasypia, i myślałem o Starce i Wayne, i godzinach pełnych wyrzutów sumienia, o drodze i Appomattox. Oszalałem i doświadczyłem wizji, lecz teraz powróciłem do domu i odzyskałem żonę. Rozgarnąłem palcami jej włosy i wyszeptalem, że ją kocham. Wiem, że Lee musiał podobnie głaskać Podróżnika, musiał mruzczeć mu do wielkiego ucha, obiecywać, że wszystko będzie dobrze. Ale zastanawiałem się, czy generał kiedykolwiek nadstawił własnego ucha i odważył się wysłuchać rady swego najbliższego przyjaciela.